

JULIETTE BENZONI

Katarzyna Tom 6

Catherine: Piège Pour Catherine. Les Montsalvy. Tome VI

Tłumaczyła: Barbara Radczak

CZEŚĆ PIERWSZA

OBLĘŻENIE

Rozdział pierwszy

OGNIE W DOLINIE

Pochylona nad grzywą wierzchowca, Katarzyna de Montsalvy z duszą na ramieniu gnała do swego miasta, błogosławiąc niebiosa za to, że zamiast swojej pięknej, lecz delikatnej klaczy paradnej wybrała tego silnego ogiera, którego dzielność zdawała się nie mieć granic i który dawał pewną nadzieję na ucieczkę przed pościgiem. Mansour dosłownie płynął w powietrzu, pokonując strome zbocze z rozpostartym białym ogonem, czyniącym go podobnym do komety. W promieniach zachodzącego słońca oświetlającego horyzont krwawymi blaskami jasna maść konia musiała być widoczna na milę. Katarzyna wiedziała, że rozpoznano ją i że nie uda się jej zniknąć. Za sobą słyszała ciężki tętent kopyt Machefera, konia intendenta, Josse Rallarda, który zawsze towarzyszył jej w wyprawach. Z oddali, z głębi mrocznej doliny porośniętej kasztanowcami, dochodził groźny galop niewidzialnych rozbójników...

Tego zimnego, marcowego dnia 1436 roku na wyżynie Lasu Kasztanowego, na południe od Aurillac, zalegał jeszcze śnieg, pokrywając czarną ziemię jasnymi płatami, które wiatr z północy zamienił w lód. Amazonka starała się je omijać, drżąc na samą myśl, co by się z nią stało, gdyby Mansour poślizgnął się i upadł...

Czasami odwracała się z trwogą, czując za plecami poruszające się rytmicznie hełmy i słysząc głuchy szcęk oręża. Odrzucała wtedy z wściekłością niebieską zasłonę, którą dziki pęd zarzucał jej na oczy. Kiedy kolejny raz obejrzała się zatrwożona, usłyszała uspokajający głos Jossego:

– Nie trzeba się odwracać, pani Katarzyno! Dojeżdżamy!... Zobacz sama! Już widać mury! Będziemy w Montsalvy przed nimi!

Istotnie. Na skraju płaskowzgórza zamajaczyła ciemna masa murów osady, odcinająca się od czerwonego nieba swymi grubo ciosanymi wieżami wzniesionymi z surowego granitu i z lawy wygasłych wulkanów, z otworami strzelniczymi, z wąskimi bramami osłoniętymi żelaznymi kratami i dębowym mostem zwodzonym. Mury proste, wiejskie, najeżone spiczasto zakończonymi klepkami z beczek, lecz mogące wytrzymać oblężenie i stanowić skuteczne schronienie dla ludzi.

Należało przybyć na tyle wcześniej przed rozbójnikami, by zdążyć zamknąć bramy i przygotować osadę do obrony. W przeciwnym razie dzika fala wpadłaby wraz z kasztelanką, znosząc Montsalvy i jego tysiąc mieszkańców z powierzchni ziemi...

Na samą myśl o tym serce Katarzyny zamarło. Zbyt często i zbyt blisko widziała wojnę, aby żywić złudzenia co do losu kobiet i dzieci w podbitym mieście, gdyby żadna złota, wina, krwi i kobiet horda zbirów napadła na nich, puszczając wodze najgorszym instynktom.

Pani de Montsalvy mocniej przycisnęła się do konia, drżąc ze strachu nie o siebie, lecz o to, że nie przybędzie na czas, by bronić swoich dzieci i poddanych.

Podobnie jak umierającemu w jednym mgnieniu staje przed oczami całe

jego życie, tak i jej ukazały się w tej chwili najdroższe osoby – dzieci, czteroletni Michał z okrągłą buzią i płowymi lokami oraz dziesięciomiesięczna Izabela, mały tyran królujący na zamku, w osadzie, a nawet w opactwie. Ujrzała Czarną Sarę, wierną towarzyszkę od czasu, kiedy jako dziewczynka znalazła się na Dziedzińcu Cudów, Sarę, która teraz, mając już 53 lata, wychowywała jej dzieci i zarządzała gospodarstwem. Była jeszcze Maria, żona Jossego, którą poznała ongiś w haremie kalifa Grenady i z którą wspólnie uciekły z niewoli. Była Donatka i jej mąż Saturnin, stary zarządca dóbr Montsalvych, byli mieszkańcy osady i Bernard de Calmont d'Olt, przeor klasztoru i jego spokojni, mądrzy mnisi... cały ten ludek, którego życie i bezpieczeństwo leżało teraz w jej rękach...

Nie mogła dopuścić, by wpadli w szpony drapieżców z Gévaudan!

Katarzyna i Josse galopowali teraz prosto do bramy północnej osady, bramy Aurillac, którą poprzedzało kilka zuchwale wysuniętych domów małego przysiółka Saint-Antoine. Konie przyśpieszyły. Josse chwycił zatknięty u pasa krowi róg, z którym nigdy się nie rozstawał, i zadał weń z całej siły, by zawiadomić strażę na murach o nadciągającym niebezpieczeństwie.

Jeźdźcy prawie równocześnie wpadli na dziedziniec, potracając młynarza na osła. Gruby Felicjan i jego wierzchowiec przewrócili się do góry nogami na stertę suszonego, krowiego łajna, służącego strażnikom jako opał.

Zatrzymany mocnym szarpnięciem koń Katarzyny stanął dęba.

– Rozbójnicy! – krzyknęła, kiedy Josse przestał dąć w róg. – Ścigają nas! Podnieść most! Spuścić kratę! Ja udam się do klasztoru i do bramy Entraygues!

Tymczasem Josse zeskoczył z konia i rzucił się na pomoc mieszkańcom, którzy zaczęli w pośpiechu gromadzić kamienie na murach i za pomocą klepek z beczek utykali otwory strzelnicze. Kobiety rozgdakały się jak przestraszone kury; zewsząd dolatywało ich zatrwożone „Jezus Maryja”, inne zaczęły odmawiać litanie do miejscowych świętych, szukając w popłochu swoich kurcząt. Krata opadła z okropnym skrzypieniem.

– Od kiedy już mówię, że trzeba ją naoliwić! – rozzłościł się Josse, chwytając za ciężki kołowrót służący do podnoszenia mostu. Felicjan, wygrzebawszy się z gnoju, pośpieszył mu z pomocą.

Katarzyna, wydając okrzyki na trwogę, ruszyła galopem główną drogą w stronę klasztoru. Spod kopyt końskich tryskały na lewo i prawo strumienie błota, przepędzając spłoszony drób i prosięta.

Karczmarz Pastouret na wszelki wypadek pozamykał szczelnie okiennice i przegnał z gospody nielicznych opojów.

Katarzyna resztką sił przemknęła przez romańską bramę klasztoru i zeskoczyła z konia przed przeorem, który podwinawszy rękawy, przycinał róże i nawoził swoje zioła lecznicze hodowane w małym, przyklasztornym ogródku. Skierował na Katarzynę młodą twarz szczęśliwego ascety z błyszczącymi oczami zdającymi się widzieć dalej i wyżej niż inni ludzie.

– Wpadasz tu jak burza, moja córko! Co się stało? Katarzyna bez żadnych zbędnych wstępów rzuciła:

– Każ bić na alarm, ojcze! Zbliżają się rozbójnicy! Trzeba postawić Montsalvy w stan gotowości!

Bernard de Calmont d'Olt spojrział na Katarzynę ze zdziwieniem.

– Grabieżcy? A skąd by się tu wzięli?

– Z Gévaudan, ojczy! To banda Béraulta Apchiera, wasza świętobliwość. Widziałam ich chorągiew. Grabią i palą wszystko, co napotkają po drodze! Wyjdź na wieżę, a ujrzysz płomienie i dym w wiosce Pons!

Ojciec Bernard nie potrzebował długich wyjaśnień. Zatknąwszy nóż ogrodniczy za sznur, którym przepasany był jego czarny habit, ruszył żwawo w stronę kościoła, krzyknąwszy na odchodnym:

– Wracaj do domu, pani, i zajmij się bramą południową! Ja zadbam o resztę.

Chwilę potem donośny, spiżowy głos Géraude, największego dzwonu w klasztorze, rozerwał ciszę wieczorną, a wiejący znad starych, wygasłych wulkanów kwaśny wiatr poniósł oszalałe dźwięki pradawnego, zawsze groźnego alarmu zwiastującego nieszczęście i łzy. Katarzyna, licząc jego uderzenia, poczuła ucisk w sercu. Podobnie jak Joanna d’Arc, zawsze lubiła dzwony, a życie jej domu jak i jej własne toczyło się niezmiennym rytmem odmierzonym przez dzwonicie klasztorne – od tego zmarzniętego o świcie na Anioł Pański po te wieczorne, spokojne i napawające otuchą. Lecz dzisiaj to dzwonicie, te krzyki trwogi wznoszące się do niebios odczuwała boleśnie każdą cząstką swej duszy i ciała.

– Arnoldzie... – szepnęła przez zaciśnięte wargi – dlaczego znowu jestem sama? Dlaczego znowu porwał cię demon wojny, a mnie każe zapłacić okup...

Za chwilę, z głębi mrocznych dolin, przez las kasztanowy, zza skał, wyłonią się gromadki przerażonych wieśniaków, ślepo prowadzonych dźwiękiem Géraude do zbawiennych murów, ciągnących za sobą kozy, barany, dźwigających zawiniątka z ubogim dobytkiem, wiklinowe kosze wypełnione ptactwem domowym i zbożem. Kobiety będą przyciskać do piersi niemowlęta, a dzieci mogące chodzić będą kurczowo trzymać się ich spódnic. Trzeba będzie ich wszystkich pomieścić, pocieszyć, dodać otuchy. Z pewnością już ruszyli w stronę zamku, korzystając z ostatnich promieni zachodzącego słońca.

Pomimo iż w dobrach Montsalvy przebywało niewielu rycerzy, Katarzyna nie obawiała się o swoje miasto. Jej poddani potrafili go bronić, a pobożni mnisi Bernarda de Calmonta byli nie mniej waleczy w boju niż zaprawione w walce wiarusy. Lecz co będzie w przypadku oblężenia? Ostra, góriska zima dobiegała końca, więc zapasy żywności były na wyczerpaniu. A teraz przyjdzie wyżywić tyle gęb!

Katarzyna zatrzymała się na chwilę przy bramie stojącej otworem w oczekiwaniu na uciekinierów. Pod jej kamiennym sklepieniem, w którym schowana była krata, zapalono łuczywo, którego blask padł na hełmy łuczników zgromadzonych tu przez sierżanta Mikołaja Barrala, żeby pomogli mu przyjąć i pogrupować uciekinierów.

Zauważywszy kasztelanę Mikołaj uniósł dłoń do hełmu i uśmiechnął się przez zasłonę sumiastych, czarnych wąsów nadających mu wygląd galijskiego wojownika.

– Kiedy usłyszałem bicie dzwonu, od razu zrozumiałem. Posłałem na mury trzech ludzi, żeby nadzorowali drogę i ścieżki. Możesz, pani, zająć się zamkiem.

– Już jadę. Postaraj się, Mikołaju, przyjąć jak najwięcej uciekinierów przed podniesieniem mostu. Biada tym, którzy nie zdążą! Obawiam się, że ich los będzie przesądzony!

– Kto nas atakuje?

– Apchierowcy. Z tego, co widziałam w Pons – nie oszczędzą nikogo. Sierżant wzruszył ramionami z chrzęstem kolczugi i potarł nos o skórzany rękaw.

– Te wściekłe psy z Gévaudan od dawna mają puste żołądki! Toć to przednówek. Doszły mnie słuchy, że dotarli do Nasbinals i że nawet dali się we znaki mnichom z Aubrac. Lecz nie przypuszczałem, że podejda aż tutaj. Nigdy nie zapuszczali się w te strony.

– Mylisz się. Byli tu zeszłej jesieni – przerwała z goryczą Katarzyna. – Bérault d'Apchier był na chrzcinach mojej córki, Izabeli.

– Doprawdy, dziwny to sposób wyrażania podziękii za doznaną gościnność! Co do mnie, to myślę, pani Katarzyno, że musieli się dowiedzieć o wyruszeniu pana Arnolda na wojnę. Więc sposobność wydała się zbyt pociągająca: dobra Montsalvy pod pieczęcią białogłowy!

– Dowiedzieli się, Mikołaju, wiem nawet od kogo! W Pons widziałam mężczyznę podpalającego polana pod stopami kobiety powieszzonej na drzewie za włosy. To był Gerwazy Malfrat!

Sierżant splunął pod nogi i ponownie potarł nos rękawem.

– Ten parszywy bękart! Trzeba było go pojmać, pani Katarzyno! Pan Arnold na pewno tak by postąpił!

Katarzyna nie odpowiedziała, lecz skinawszy sierżantowi na pożegnanie, skierowała konia w stronę murów okalających zamek. Mijały już dwa miesiące od wyjazdu Arnolda. Tamtego dnia śnieg pokrywał całą okolicę i drogi były nieprzejezdne, lecz on ruszył w drogę zabierając ze sobą kwiat szlachty z hrabstwa i najmłodszych żołnierzy palących się do wojaczki. Przygotowując wiosenną kampanię, konetabl de Richemont, którego król mianował swoim namiestnikiem w Ile-de-France, zbierał swoje oddziały, żeby zaatakować Paryż. Nadszedł bowiem czas, by wreszcie odebrać Anglikom stolicę, w której, jak wieść niosła, panowała straszna nędza. Pan de Montsalvy, przyjmując wysłannika konetabla, nie wahał się ani chwili. Wyruszył bardzo szczęśliwy – myślała Katarzyna – zamienić nudę owerniackiej zimy na upajające i intensywne życie na polu walki, takie, jakie kochał najbardziej.

A przecież tamtego jesiennego wieczoru, w dniu chrzcin Izabeli, Arnold obiecał, że nigdy jej nie opuści, że już zawsze będzie ją ze sobą zabierać ruszając na wojnę. Niestety, dwa miesiące temu przeziębła się. Była słaba i niezdolna do długiej drogi w siodle w czas tak ponury. Pani de Montsalvy odniosła wrażenie, że jej pan i władca był prawie zadowolony, iż ta okoliczność zwalnia go od dotrzymania danej obietnicy, którą widocznie zaczął traktować jak dziecinadę. „I tak, moja duszko – powiedział na pocieszenie, podczas gdy ona z oczami pełnymi łez patrzyła, jak przymierza zbroję – nie mogłabyś ze mną pojechać! Walki będą zacięte. Anglicy uczepili się Francji jak świnia koryta. A tu są dzieci, lenno, poddani! Potrzebują swojej kasztelanki!” „A czyż nie potrzebują także i swego pana? – spytała. – Tak długo go tu brakowało!”

Surowa, piękna twarz Arnolda spochmurniała, a jego czarne brwi zmarszczyły się. „Potrzebowaliby mnie, gdyby groziło im prawdziwe niebezpieczeństwo! Ale, dzięki Bogu, nie mamy wrogów. Dawno poznikwały z naszej górzystej Owernii angielskie posterunki, a ci, którzy mogliby przez sympatię dla Burgundii przechylić się na stronę wroga, nie śmiają się już do tego

przyznawać. Co zaś do rozbójników, ich czas minął bezpowrotnie. Aymerigot Marchès nie zagraża już ani naszym ziemiom, ani naszym sakiewkom. Za to król powinien zakończyć dzieło odzyskania ziem, które należą mu się od Boga. Albowiem jak długo Paryż będzie jeszcze w rękach Anglików, tak długo Karol nie będzie się mógł uważać za króla Francji. Ruszam więc do boju, lecz gdy tylko walki ustaną i odniesiemy zwycięstwo, wezwę cię! Do tego czasu nie ma tu, powtarzam, żadnego niebezpieczeństwa, serce ty moje! Zresztą, zostawiam ci Jossego i najbardziej zaprawionych w boju moich rycerzy...”

„Najbardziej zaprawionych”, być może... lecz za to najstarszych... Wolących raczej grzać zgrzybiałe kości przy ognisku, popijając grzane wino, niżli czuwać w długie, zimne noce przy otworach strzelniczych. Najmłodszy z nich był ich dowódca, Mikołaj Barral, zbliżający się do czterdziestki, co w czasach, w których nie żyło się długo, było, rzec można, wiekiem bardzo dojrzałym. Był jeszcze Bernard de Calmont d’Olt i trzydziestka jego mnichów, o których pan de Montsalvy miał jak najlepsze mniemanie.

Tak więc pewnego mroźnego poranka pan opuścił swoje włości na karym koniu, dzierżąc dumnie swoją chorągiew łopoczącą na wietrze. Chorągiew w kolorze piaskowym i srebrzystym wyglądała ponuro na tle kolorowych proporczyków wesoło furkoczących u lanc jego rycerzy.

Byli wśród nich najlepsi przedstawiciele okolicznej szlachty, poczytujący sobie za honor móc iść wraz z panem de Montsalvy na odsiecz stolicy: rody Roquemaurel z Cassaniouze, Fabrefort z Labesserette, Sermur, pan de la Salle i pan de Villemur w otoczeniu swych ludzi cieszących się, że idą na wojnę jak żakowie na wakacje.

Katarzyna, patrząc za odjeżdżającymi w podmuchach lodowatego wiatru, na próżno wyczekiwała, by Arnold odwrócił się i przesłał jej ostatnie pożegnanie. Czuła wręcz, że chętnie puściłby się galopem, aby co rychlej dobić do swych towarzyszy broni, innych kapitanów królewskich, pana la Hire, Xaintrilles’a, Chabannes’a, dla których wartość życia polegała na stawianiu czoła niebezpieczeństwu i odnoszeniu zwycięstw w walce. Bardziej zależy mu na przyjaciółach niż na mnie... – pomyślała.

A jednak w noc poprzedzającą wyjazd Arnold kochał ją jak szaleniec. Posiadał ją raz po raz, aż pościel stała się mokra od potu, wielbiąc niestrudzenie oddane mu ciało i wypełniając zamknięty pokój okrzykami zwycięstwa. Katarzyna nie знаła go jeszcze takim, nigdy też nie odczuwała tak silnej ani tak pełnej rozkoszy. Jednak w chwili największego zwycięstwa w jej umyśle zakiełkowała dziwna myśl i kiedy wreszcie dzwon klasztorny zadzwonił na jutrznię, a Arnold ledwo dysząc opadł na łożo, gotów zatopić się w głębokim śnie jak zmęczony pływak w otchłani, Katarzyna przytuliła się do niego i muskając ustami twarde mięśnie jego piersi, wyszeptwała:

– Jeszcze nigdy tak mnie nie kochałeś... Dlaczego?... Arnold zmęczonym głosem spokojnie odpowiedział:

– Ponieważ miałem na to ochotę... oraz po to... żebyś o mnie nie zapomniiała, kiedy będę daleko...

Następnie umilkł i zasnął na dobre, ściskając w dłoni wilgotną dłoń żony, jakby chcąc zatrzymać ją przy sobie. Wtedy Katarzyna upewniła się w swych domysłach. Zresztą Arnold, nie uznający kłamstwa, przyznał to sam: najlepszym sposobem, żeby młoda żona nie zapomniiała o mężu w czasie jego dłuższej

nieobecności, jest macierzyństwo. Typowo męskie podejście zazdrosnego męża do sprawy... W przytulnych ciemnościach zasuniętych stor Katarzyna uśmiechnęła się...

Jednak ta ostatnia szalona noc nie przyniosła spodziewanych przez Arnolda owoców, a już o świcie uśmiech Katarzyny zastąpiły z trudem powstrzymywane łzy. Teraz gdy niebezpieczeństwo, w które Arnold nie wierzył, zawisło nad Montsalvy, Katarzyna była zadowolona, że egoistyczne plany jej męża spaliły na panewce. Cóż poczęłaby bowiem będąc w odmiennym stanie?

Bezwiednie odepchnęła od siebie wspomnienie tamtej nocy i przekroczywszy barbakan stanęła na dziedzińcu, gdzie panowało niezwykle ożywienie.

Na dziedzińcu wrzało jak w ulu. Służące biegały w różnych kierunkach, jedne dźwigały z pralni kosze pełne mokrej bielizny, inne pojemniki z wodą i konwie wypełnione oliwą, ustawiając je wokół potężnych ognisk rozpalonych na murach pod wprawnym okiem starego Saturnina. Przy kowadle uwijali się kowal i zbrojarz, siejąc wokół skry.

W połowie drogi między częścią mieszkalną i kuchniami, przy piecu, z którego kilka kobiet wyciągało złociste, dymiące bochenki chleba, Katarzyna zauważyła Sarę, która skrzyżowawszy ręce na brzuchu przepasanym wielkim, białym fartuchem panowała nad wrzawą tak spokojnie, jakby nic się nie stało. Uśmiech i gest dłoni, jakie posłała z daleka kasztelance, były takie jak zwykle, ani gwałtowniejsze, ani bardziej nerwowe. A jednak to dzięki niej, zanim jeszcze Katarzyna wydała pierwszy rozkaz, w zamku rozpoczęto przygotowania do wojny.

Pierwszy raz od wybudowania zamek miał odeprzeć natarcie wroga. Nie minął jeszcze rok od czasu jego ukończenia. Montsalvy wybudowali go na miejscu starej fortecy Puy de l'Arbre, zburzonej ongiś z rozkazu króla, za pieniądze otrzymywane corocznie od przyjaciela Jakuba Serce, któremu Katarzyna podarowała najwspanialszy ze swoich klejnotów, słynny czarny diament, złożony obecnie w skarbcu Notre Dame w Puy-en-Velay.

Nowy zamek wybudowany w pobliżu bramy południowej był otoczony grubymi murami obronnymi zwieńczonymi blankami. W jego majestatycznej surowości, w jego potężnych, szarych granitowych murach łączących bastiony, w jego dębowej palisadzie, w jego wysokiej, kwadratowej wieży obronnej otoczonej strzelistymi wieżyczkami, w jego wysokich, rzeźbionych oknach, w jego koronce złożonych wiatrowskazów, w jego siedmiu spiczastych wieżach wzmacniających mury było coś, co przywodziło na myśl baśniowego smoka. Lecz czy zdoła odeprzeć ogień wroga, grad kamieni i pocisków z katapult oraz machin oblężniczych przywleczonych pod jego mury?

Kiedy Katarzyna mknęła przez las i nieomalże wpadła na rozbójników, nawet nie miała czasu, żeby ocenić ich siły, a i Josse niczego więcej nie zauważył. Kto wiedział, co apchierowcy ukryli w swoich sakwach? Kasztelanka drżała tak samo o swój zamek, jak i o ludzi. A to dlatego, że był on po trosze jej własnym dziełem.

To ona położyła kamień węgielny, to ona omawiała plany z przeorem Bernardem i bratem architektem z klasztoru jeszcze wtedy, kiedy wszyscy w Montsalvy, na czele z nią, myśleli, że już nigdy nie ujrzą Arnolda na tym

świecie. Chciała, żeby zamek był niedostępny, nie do zdobycia, a więc należało zbudować go na stromej skale i za głównych strażników mieć zawrót głowy i samotność. Zależało jej na tym, by przede wszystkim był ostoją miasta i przeorstwa, nawet za cenę własnego bezpieczeństwa. I tak, zamek włączony do murów obronnych Montsalvy miał swoje słabe strony, które kasztelanka знаła, a z których najgorszą niewątpliwie było niebezpieczeństwo zdrady.

Katarzyna, co prawda, miała pełne zaufanie do swoich dwudziestu pięciu rycerzy i ich dowódcy Mikołaja Barrala, ale kto mógłby zaręczyć, że wśród ponad tysiąca dusz zamkniętych w mieście nie znajdzie się jedna podła, która ulegnie pokusie trzydziestu srebrników Judasza? Już jednego niegodziwca wyгнаła za mury. Był nim Gerwazy Malfrat, który natychmiast dołączył do apchierowców. Głupia pobłażliwość, gdyż Malfrat zasłużył stokrotnie na śmierć. Był to sprytny jak lis złodziej, który potrafił równie zwinnie wślizgnąć się do każdego kurnika, jak pod pierzyny dziewcząt. Okradał ojców, a córkom robił bachory, lecz co dziwne, gdy ojcowie pomstowali i przysięgali, że mu nie podarują, to żadna z dziewcząt nigdy nie pisnęła ani słowa skargi. Można by rzec, że pomimo zhańbienia były szczęśliwe.

Ostatnia z nich, mała, śliczna Bertylka, córka tkacza Martina, nie mogła znieść hańby i pewnego poranka wyłowiono ją z rzeki bladą i zimną jak ten nieszczęsny poranek. Pomimo matczynej rozpacz, pomimo próśb Katarzyny, nie można było jej pochować w poświęconej ziemi, lecz przy drodze, jak jakąś przekłętą. Jediną pociechą, jaką Katarzyna mogła ofiarować rodzicom, było wykopanie małego grobu przy kaplicy w Reclus, starej, opuszczonej pustelni, w której ongiś skazany mnich odbywał pokutę. Całe miasteczko oplakiwało Bertylkę. Powiadano, że to nieszczęśliwa miłość pchnęła dziewczę w objęcia śmierci, miłość do Gerwazego, który rozkochawszy ją w sobie znudził się nią i zaczął latać za inną. Szeptano także, że to on pchnął ją do samobójstwa, gdyż był okrutny i odczuwał przyjemność widząc cierpienie kobiety. Opowiadano jeszcze wiele rzeczy...

Kiedy poddani wylegli na dziedziniec zamku, wymachując groźnie widłami i kosami i żądając wydania winowajcy, Katarzyna kazała Mikołajowi Barralowi pojmać Gerwazego i wtrącić do lochu. Nie potrafiła jednak wydać wyroku śmierci ani kazać postawić szubienicy. Skazała Gerwazego na chłostę i kazała go wyrzucić za mury na śnieg, na łaskę niebios i wilków.

Wiedziała, że swym działaniem obraża Martina, ojca dziewczęcia, który domagał się głowy uwodziciela. Lecz jak miała wyjaśnić mu, że nie może kazać powiesić człowieka, gdyż w dniu wielkiego gniewu lud Paryża powiesił jej ojca na sztyldzie własnego sklepu złotniczego?

Przeor Bernard poparł ją: „Nie zabijaj!” – powiedział i na pocieszenie dodał: „Jeśli Bóg zechce, by umarł, umrze jeszcze tej nocy z zimna, wyczerpania lub zagryzą go wilki”.

Ale Gerwazy nie umarł i Katarzyna wyrzucała sobie teraz pobłażliwość, oskarżała się o czułośćkowość, gdyż obecnie z jej winy złoczyńca zagrażał miastu, domowi, najbliższemu. Była bliska sądzić, że wyroki boskie bywają równie dziwne co jej własne, i nie rozumiała, dla jakiej tajemnej przyczyny ona właśnie musi ponosić ich konsekwencje.

Z gorzkim uśmiechem pchnęła konia poprzez wielki dziedziniec.

Wypełniał go szcęk broni, walenie młotków i syk ognia, a wielki pies

podwórzowy szczerzył kły, jakby chciał gryźć. Dzwon nie przestawał bić na alarm.

Podeszła do Sary, która strofowała dziewczki kuchenne pochlipujące ze strachu.

– Mażą się, jakby za chwilę wszystkie miały zostać zgwałcone! – zrzędziła ochmistrzyni. – Ledwie zaczęły bić dzwony, a już sześć z nich schowało się pod łózkami! A ty tam, Gaspardo, zamiast gapić się w niebo, lepiej byś poszła do stodół przygotować świeże siano dla uchodźców!

Złajana pomknęła przed siebie, szeleszcząc żółtym czepek, gdy tymczasem na dziedziniec wtoczył się stary wóz z pełnymi kołami ciągnięty przez wołu, z gromadką kwilących dzieciąt przyciskających się do niemej z przerażenia matki. Sara ruszyła w ich stronę, lecz Katarzyna zatrzymała ją:

– Co robią dzieci?

– Śpią. Donatka jest z nimi, lecz ty powinnaś udać się do nich. Masz taką minę, jakbyś ujrzała diabła!

– Bo w istocie tak było! Miał sto ryczących głów w kaskach, tysiąc ramion miotających siekierami, ciskających pochodniami na strzechy, tysiąc macek, którymi powyciągał z domów ludzi, by rzucić ich na kolana w błoto, by poderżnąć im gardła!

Sara przekrzywiła głowę ustrojoną w czepek z dwoma rogami, nadający jej twarzy niesamowity wygląd, i spojrzała badawczo na bladą twarz Katarzyny.

– Co zamierzasz? Katarzyna wzruszyła ramionami.

– Bronić się, oczywiście! Przeor czyni przygotowania, by nas wesprzeć i – dodała z naiwną dumą silniejszą od strachu – do mnie należy dać przykład, gdyż jestem panią de Montsalvy! Ty zajmiesz się przybywającymi, ja zaś wracam do bramy Aurillac zobaczyć, jak się rzeczy mają. W nocy rozbójnicy nie przystąpią do oblężenia, gdyż w ciemności nie znajdą drogi. Lecz z pewnością dotarli już do płaskowzgórza.

Zawróciła konia w kierunku zbliżających się grup wieśniaków. Na ich twarzach malował się strach. Pamiętali wszyscy najazd Kastylijczyka cztery lata temu, wściekłego psa Villa-Andrando: wielu z nich było wtedy torturowanych, inni widzieli, jak konają najbliżsi. Spiżowy głos dzwonu przypomniawszy im cierpienia; jęki agonii wypełniły uszy tych, którym wtedy udało się przeżyć.

Idąc modlili się głośno, lecz na widok kasztelanki umilkli, prosząc ją o ochronę. Do każdego skierowała słowo pocieszenia, a jej pozorny spokój zmniejszył ich lęk.

W miarę jak ludzie napływali, miasto, które zazwyczaj z nadejściem nocy zwijało się i zapadało w sen jak wielki, czarny kot, teraz pełne było zgiełku i światła. Na murach, powyżej zabarykadowanej bramy Aurillac, kłębił się tłum. Mężczyźni, kobiety, dzieci i starcy – wszyscy jazgotali jednocześnie, a wśród nich miotał się Josse, usiłując ich uciszyć.

Katarzyna zsiadła z konia i podciągając końce sukni ruszyła do nich kamiennymi schodami. Ktoś zauważywszy kasztelankę krzyknął:

– Kasztelanka nadchodzi! Miejsce! Zrobić miejsce dla naszej pani! Słyszając to, Katarzyna uśmiechnęła się, lecz jej serce ścisnęło się na widok bezmiaru szczerzego zaufania i miłości poddanych. Czyżby stanowiła jedyną ostoję, jedyną nadzieję tych ludzi? Dla tych prostych ludzi była uosobieniem świętej panienki jaśniejącej w niebie, ich największą nadzieją i jedynym

ratunkiem. W głębi duszy zdała sobie sprawę ze swojej słabości, podczas gdy powinna okazać się godną pokładanego w niej zaufania.

Dziesiątki rąk wyciągnęły się, by pomóc jej wspiąć się na ostatnie stopnie, i po chwili znalazła się przy przeorze Bernardzie, którego twarz zdradzała niezwykle napięcie.

– Miałem właśnie posłać po ciebie, Katarzyno! Próbowałem układać się, lecz ci ludzie chcą mówić tylko z tobą!

– Więc przemówię do nich! Choć nie mam wielkiej nadziei, że zostanę wysłuchana...

Oparłszy dłonie o parapet otworu strzelniczego, wychyliła się na zewnątrz. Opadający za murami Montsalvy stok tętnił życiem. Rozbójnicy byli zajęci zakładaniem obozowiska. Na skraju lasu wznoszono namioty z tego, co grabieżcom wpadło w rękę. Na oko było widać, że niektóre były z nie wyprawionych, lepkich od brudu kozich skór. Inne z szerokich pasów wyblakłych tkanin i kawałków płótna workowego. Ogniska oświetlały zarośnięte twarze wojaków na czerwono. Niektórzy zajęci byli przygotowaniem wieczerzy. Niechlujni służący obdzierali ze skóry dwie dzikie świnie i kilka baranów. W wielkich kotłach zawieszonych na ustawionych na krzyż pikach gotowała się woda. Z opuszczonej zagrody kilku wytaczało beczkę wina. Co dziwne, rozbójnicy nie podpalili jeszcze żadnego domostwa.

Spojrzenie Katarzyny padło na grupę wojaków stojących nieruchomo po drugiej stronie fosy z głowami uniesionymi w stronę murów. Jeden z nich, z wyglądu najstarszy, wysunął się na czoło i rozpoznawszy kasztelanę, zarechotał uragliwie:

– To tak wygląda twoja gościnność, pani na Montsalvy? Z jakiej to przyczyny zastajemy zamknięte bramy, kiedy ja i moi synowie przybywamy z przyjacielską wizytą?

– Przyjacielska wizyta? Pałac, rabując i zabijając? Nasze bramy otworzyłyby się przed tobą i twymi synami, lecz pozostaną zamknięte przed twymi żołdakami! Odpowiedz: po co przybywasz?

Człowiek znowu zarechotał i Katarzyna pomyślała, że Wilk z Gévaudan zasłużył na swoje przezwisko... chociaż wilki obraziłyby się z powodu takiego porównania. Pomimo zaawansowanego już wieku i lat spędzonych w siodle miał ciągle siłę niedźwiedzia. Wyglądał jednak jak bandyta, a nie jak szlachetnie urodzony pan, którym był w istocie. Spod podniesionej przyłbicy widać było surową twarz, długi, porośnięty rzadką szczecina podbródek, nadający mu wygląd starego rysia. Oczy bez określonego koloru, osadzone głęboko, nigdy nie mrugające powieki, skóra koloru mętnego wina, pokryta skorupą brudu i fioletowe, obwisłe wargi, które rozszerzając się w obleśnym uśmiechu, ukazywały komplet szerniałych kłów z trudem udających zęby.

Mąż ten był odrażająco paskudny i niezwykle brudny, lecz spod jego krótkiego, postrzępionego i wytłuszczonego płaszcza prześwitywała lśniąca zbroja.

Za nim stało trzech jeźdźców: byli to jego dwaj synowie i bękart. Synowie Jehan i Franciszek byli podobni do starego jak dwie krople brudnej wody: ta sama siła, ten sam wygląd podstępного wilka, tylko ich oczy błyszczały jak rozżarzone węgle, a mięsiste usta miały kolor świeżej krwi. Co do bękartu Gonneta, owocu gwałtu na zakonniczy, młodej i cichej dziewczynie

wziętej siłą pośród pożogi klasztoru i porwanej do baranowskiej wieży, by służyć rozkoszy właściciela i wydać owoc przed śmiercią, odcinał się on wyraźnie od swoich braci przyrodnych. Był od nich szczuplejszy, miał jasne włosy, lecz w jego delikatnych rysach drzemała przebiegłość, a jasne oczy były jak nieprzenikniona głębia trzęsawisk o zdradliwych błotach. Miał odkrytą głowę i jego płowe włosy rozwiewał wieczorny wiatr. Nie będąc rycerzem, nie nosił szpady, lecz z łęku siodła zwisał topór drwali wraz ze... świeżo odcięta ludzką głową...

Katarzyna odwróciła wzrok, bojąc się, że ją rozpozna...

Nie słysząc odpowiedzi, powtórzyła swe pytanie ostrzej:

– Czekam! Czego tu szukacie?

Stary zarechotał, wytarł wilgotny nos o rękawicę, odcharknął i splunął.

– Szukamy przejścia, paniusiu! Tylko przejścia! Jesteś przecież strażniczką drogi do Entraygues i do Conques! Wędrowcy przejeżdżając przez Montsalvy płacą myto. Czy możesz więc nam odmówić?

– Rzeczywiście, podróżnicy przejeżdżają tędy w dzień, lecz nigdy w nocy! Nigdy też żaden oddział zbrojny nie dostał pozwolenia, by przejechać przez nasze miasto! Jeśli chcecie udać się do Conques, musicie jechać dolinami!

– Chcesz, żeby nasze konie poskręcały karki? Nic z tego! Wolimy przejechać przez Montsalvy!

– Tylko przejechać? Czyżby? – rzucił przeor.

– No... może trochę się zatrzymać. Zjeść, odpocząć... Chyba możecie przyjąć chrześcijan?

– Chrześcijanie nie przybywają z takimi bagażami! – krzyknęła kasztelanka wskazując palcem na ohydne trofeum Gonneta. – Wracajcie tam, skąd przybywacie! Choć... obawiam się, że nie zostawiliście po sobie już nic do spalenia ani do złupienia!

– Rzeczywiście – przyznał stary swoim bezbarwnym głosem. – A więc to takie przyjęcie nam zgotowałaś, pani? Twój małżonek zgotował nam lepsze jeszcze nie tak dawno temu!

– Wasze przybycie oznacza, że źle zrobił! Odejdźcie stąd! Montsalvy nie otwiera swych bram, kiedy jego pan jest nieobecny! Zresztą, sami o tym dobrze wiecie, gdyż w przeciwnym wypadku nie ośmielilibyście się tu przyjść!

Pod krzaczastymi brwiami Béraulta zapłonął błysk radości.

– Oczywiście, że wiedzieliśmy! Wiemy też, że w waszych murach są sami mnisi, starcy i dzieci! Potrzebujecie więc mężczyzn i dlatego przybyłem, by zapewnić wam moją ochronę!

Wokół Katarzyny zawrzało. Mieszkańcy Montsalvy przysłuchujący się dotąd w ciszy wymianie zdań postanowili pokazać kły.

– Spójrz w lustro, Bérault! – wrzasnęła gruba jejmość, imieniem Gauberta. – Bierzesz siebie za jakiegoś młodzika! Mamy tu młodszych i waleczniejszych! A co do twojej ochrony, to możesz ją sobie...

To, co w przekonaniu Gauberty miał sobie zrobić z proponowaną przez siebie ochroną, wywołało uśmiech Katarzyny i wycie radości zgromadzonych. Na głowę Wilka z Gévaudan posypały się drwiny i lawina przekleństw, które bogobojny przeor na próżno starał się powstrzymać. Mieszkańcy Montsalvy nienawidzili Wilka z Gévaudan i panicznie się go bali, a obcięta głowa, z której ciągle ciekła krew spływając po nogach konia Gonneta, jeszcze bardziej

podniecała ich gniew.

Ich pięści zacisnęły się, a w stronę nieruchomych jeźdźców posypały się pierwsze kamienie. Jeden z nich, ciśnięty wprawną ręką, trafił Jehana, który szpetnie zaklął.

Stary Bérault uniósł się w strzemionach i wściekły ze złości zagrział:

– Wejść i tak, bando graniasta, i wszystkich was pozarzynam jak świnie! Chcę tego miasta i będę je mieć razem z tobą, burgundzka wywłoko! Kiedy ten zarozumiały osioł Arnold wróci ze swych wojennych galopad, zostanie zamkniętą bramę, swoich ludzi pod moim butem, a swoją żonę w moim łóżku! Chyba że sam będę miał jej dosyć, wtedy moi ludzie pobaraszkują z nią do woli! Pytasz, po co przybywam, Katarzyno? Powiem ci: po twoje złoto i po ciebie!

Katarzyna ruchem dłoni nakazała ciszę groźnie pomrukującemu tłumowi cisnącemu się wokół. Obelgi rozbójnika nie docierały do niej.

– Po moje złoto, powiadasz? Jakie złoto?

– No, no, piękniśiu, nie udawaj niewiniątka! Nie trzeba było urządzać tak bogatego święta z okazji urodzin córki Izabeli! Oczywiście, przyjęcie starej królowej i konetabla było wspaniałe... i pozwoliło nam ocenić bogactwo twego zamku i tego, co jest w środku. Co za piękny widok, te wszystkie jedwabie, te dywany, ta złota i srebrna zastawa! Do diaska! Chcę swojej części!

– Jakim prawem?

– Prawem silniejszego, do kaduka! Gdybyś widziała, w jakim stanie jest moja wieża w Apchier, sama byś się przekonała, że potrzebuje odnowy! Jednak najbardziej doskwiera mi brak wielkiego, wygodnego łóża z piękną blondynką w środku, żeby mnie grzała! A co do moich ludzi, to czekając na swą kolej, zadowolą się tymi gdaczącymi wokół ciebie kokoszami...

Ludzie z Montsalvy nie mogli dłużej tego słuchać. Ich cierpliwość się wyczerpała. Zanim Katarzyna zdążyła odpowiedzieć, dwóch stojących przy niej łuczników napięło łuki, by zamknąć usta bandycie, lecz przeor Bernard, szybki jak błyskawica, stanął przed nimi ze skrzyżowanymi ramionami. Przeczuwał bowiem, że za wszelką cenę należało uniknąć czynów nieodwracalnych i że śmierć starego Béraulta niczego nie rozwiąże.

– Nie strzelajcie! – krzyknął. – Jeszcze nie czas na atak! Zachowajcie zimną krew, gdyż ten człowiek właśnie do tego zmierza, byście ją stracili. A ty, Béraulcie z Apchier, przestań obrażać pana Boga i ludzi! Wszyscy wiedzą, że ta ziemia należy do Kościoła, będąc jednocześnie hrabiowskim lennem. Jest także miejscem azylu. Kto ją atakuje, napada na samego Pana Boga, który jest tu panem.

– Mam jeszcze dość życia przed sobą, mnichu, żeby układać się z Bogiem! Kiedy ta ziemia będzie już moja, zrobię mu piękny prezent ze złota, które tu zdobędę. Mój spowiednik jest bardzo wyrozumiałym człekiem: zada mi trzy Pater Noster, trzy Ave Maria i sześć mszy, a dostanę rozgrzeszenie i będę niewinny jak baranek, nawet gdybym wyciął w pień całe to gniazdo szczurów!

– Powiedziano ci już, że nie ma tu żadnego złota! Pan Arnold zabrał je ze sobą!

– Zadowolę się meblami i zastawą! – obstawał przy swoim Apchier. – Poza tym idzie wiosna, a wraz z nią zastępy handlarzy ruszą na targi na południu, gromady pielgrzymów do Conques i miejsc świętych w Hiszpanii. Wszyscy oni płacą tu myto, a to rzecz bardzo popłatna, czyż nie, święty człeku?

Rozumiesz teraz?

Tak, przeor zrozumiał, a Katarzyna wraz z nim. Bandyta nie przybył, by palić, łupić i uciec ze zdobyczą: przybył, by się zadomowić, by pobierać okup od wędrowców, którzy ciągnąc na południe musieli przechodzić przez Montsalvy!

Katarzyna w przypiływie gniewu rzuciła się w stronę Apchiera i krzyknęła:

– Zapominasz zbroju o jednym: on jest panem tej ziemi! Nawet jeśli uda ci się nas pokonać i zająć miasto, co nie będzie się podobało Panu Bogu, pamiętaj, że prędzej czy później Arnold de Montsalvy wróci i wtedy nie umkniesz przed zemstą! Nie zapominaj, że król kocha go i że konetabl jest także naszym przyjacielem!

– Być może... Jeśli wróci!... Lecz właśnie coś mi się widzi... że nie wróci! Więc lepiej, byśmy się od razu dogadali!

– Nie wróci?... – z piersi Katarzyny wyrwał się zduszony krzyk.

– Uspokój się! – szepnął jej do ucha przeor, ściskając ją za ramię. – Nie pokazuj, że przejmujesz się jego słowami. Bandyta chce cię wyprowadzić z równowagi, żebyś popełniła jakieś głupstwo. Zresztą posłuchaj... Nie możemy dalej pertraktować.

W istocie, wzdłuż murów rozpętała się prawdziwa burza okrzyków wojennych, którym towarzyszył grad kamieni, przed którymi czterej jeźdźcy musieli umknąć. Do tego wszystkiego zaczął padać drobny, lodowaty deszcz. Napastnicy jak niepyszni oddalili się do swojego obozowiska, trzej młodzi jakby nie zwracając uwagi na pociski, tylko stary Bérault oglądał się, raz po raz grożąc miastu zacisniętą pięścią.

Katarzyna zeszła z muru i spojrzała na otaczających ją ludzi. W świetle łuczyw ich twarze były czerwone i gniewne, a ze wszystkich ust dobywał się zgodny okrzyk:

– Nie poddamy się, Katarzyno! Nie obawiaj się: mury wytrzymają, a my mamy dość siły! Stary rozbójnik wkrótce pożałuje, że tu przybył! Nie oddamy łatwo naszego miasta!

Kasztelanka spontanicznie ścisnęła wyciągnięte do niej ręce, kiedy nagle handlarka płócien, zwalista Gauberta, spytała:

– Co miał na myśli stary Bérault mówiąc, że pan Arnold nie wróci? Nastąpiła cisza. Gauberta wypowiedziała bowiem głośno to, o czym skrycie myślała również Katarzyna. Przeor postanowił jednak uciąć rozmowę, gdyż strach w oczach kasztelanki był aż nadto widoczny.

– Nie obawiajcie się, to tylko gadanina starego, mająca na celu osłabienie naszej odwagi.

Katarzyna przetarła drżącą dłonią wilgotne czoło.

– Gdyby ciebie tu nie było, mój ojciec, chyba popełniłabym szaleństwo i ruszyłabym do ataku! A to ostatnia rzecz, jaką należy uczynić... Sądzę, że powinniśmy się naradzić, co czynić. Oblężenie będzie trudne i potrzebuję dobrych rad każdego z was.

Powoli mury opustoszały. Z wyjątkiem strażników czuwających nad bezpieczeństwem przez całą noc, wszyscy wrócili do siebie, by ocenić stan zapasów i prosić Boga o uratowanie miasta i jego mieszkańców przed krwiożerczością Wilków z Gévaudan. Jedynie starszyzna udała się do zamku na

naradę.

Tak jak co miesiąc, wszyscy zgromadzili się w wielkiej komnacie, zawieszanej arrasami i kilimami z Aubusson, obiektami pożądania apchierowców, wokół tronu, na którym jeszcze nie tak dawno zasiadał Arnold de Montsalvy w żupanie z czarnego zamszu i złotym łańcuchu na szyi, witając zebranych dowcipem lub połajanką, w zależności od okoliczności i nastroju. Z reguły narady odbywały się przed południem wokół jasnego ognia na kominku, a pan Arnold zawsze kazał podawać dzbany z ziołowym winem, żeby wychodząc z zamku jego poddani mieli zapal do pracy.

Tego wieczoru było jednak inaczej. Co prawda, płonął jak zwykle ogień na wielkim kominku, lecz tym razem złowieszcze cienie wypełniały komnatę, snując się aż pod wysokim sklepieniem, pod którym zawieszane były rzędy kolorowych chorągwi.

Zza okien nie dobiegały wesołe odgłosy zamku, jak śmiech służących czy gdakanie kur, lecz panowała złowroga cisza, a na tronie nie zasiadał potężny rycerz, tylko zwiewna kobieta, która jeszcze nigdy nie wydała się zgromadzonym taka szczupła i delikatna.

Obok niej stał przeor Bernard z wygoloną czaszką i swoją zadumaną twarzą. Chudy był ci on jak szczapa, lecz wszyscy wiedzieli, że duszę ma zahartowaną jak najszlachetniejsza stal. Był to jednak człowiek Kościoła, dla którego rezygnacja i miłość bliźniego stanowiły jedyną broń, podczas gdy obecna sytuacja wymagała brutalnej siły.

Pani de Montsalvy patrzyła na wchodzących, dziwiąc się, że tego dnia ci sami ludzie wyglądają jakoś inaczej. Jej spojrzenie przesunęło się kolejno po wszystkich twarzach, ogorzałych na słońcu, śniegu i wietrze. Twarze te, szerokie i wyraziste, należały do ludzi stworzonych do ciężkiego znoju zwykłych dni, a ich skóra była tak pobrużdżona, że przypominała nieurodzajną ziemię owerniacką. Tego wieczoru, odziani w czarne, odświętne bluzy, wkładane zawsze przed udaniem się do zamku, ze swoimi długimi włosami i sumiastymi wąsami, w których z powodzeniem mógł się ukryć zarówno uśmiech zadowolenia, jak i drapieżne zęby, przypominali do złudzenia swych przodków, Arwernów, którzy stworzyli państwo i wymyślili słowo „niezależność”.

Ludzie z Luern i z Bituit, cesarze arwerneńscy, którzy ruszali do boju na srebrnych wozach w otoczeniu sfory psów, musieli mieć takie same oblicza i takie same postaci, jakby wyrzeźbione z łupków i lawy wulkanów, z których budowali swoje warowne grody.

Był wśród nich Felicjan Puech, młynarz okrągły jak beczka z wielkim brzuchem, na którym pękały szwy jego bluzy, i z rękami tak wielkimi, że jedną był w stanie podnieść worek mąki; był August Malvezin, sprzedawca świec, z którego rąk wychodziły najpiękniejsze świece w całej okolicy; był olbrzymi Antoni Couderc, coś w rodzaju szczeciniastego cyklopa z długimi ramionami, który był zarówno kowalem, jak i kołodziejem; byli też bracia Cairou, tkacze: Martin, starszy z nich, ojciec nieszczęsnej Bertylki zmarłej z miłości, i Noel, mąż zwałistej Gauberty i najzjadliwszy język w Montsalvy. Obaj średniego wzrostu, podobni do siebie pomimo różnicy sześciu lat: te same chude twarze z wystającymi kośćmi policzkowymi, te same obwisłe wąsy, które nadawały ich zaciśniętym wargom wyraz smutku i pogardy. Był też wśród nich kotlarz, Józef

Delmas, człek wesoły, lubiący sobie popić i pośpiewać.

Wszyscy zajęli swoje miejsca na stołkach ustawionych w półokręgu wokół tronu. Pośrodku zasiadł stary sędzia Saturnin, jak zwykle poważny. Do zgromadzonych dołączył sierżant Mikołaj Barral i brat Antym, skarbnik klasztoru.

Przeor ruchem dłoni nakazał zgromadzonym, by powstali.

– Moje dzieci, zgromadziliśmy się tutaj tego wieczoru, by się naradzić. Nie będzie to jednak jedna z tych narad, do których jesteśmy przyzwyczajeni. Nie będziemy rozprawiać o cenie płótna, o kłopotach z pobieraniem myta czy o zarazie żyta... lecz o śmiertelnym niebezpieczeństwie, w jakim znalazło się nasze miasto. Dlatego prosimy najpierw Boga, by miał nad nami litość i by nas wspomógł w boju przeciwko krwawemu przeciwnikowi, który stanął u naszych wrót...

Ojcze nasz, któryś jest w niebie...

Wszyscy padli na kolana i podjęli żarliwie starą modlitwę, prawie wykrzykując ostatnie jej słowa:

...i od wszelkiego złego!

Katarzyna modliła się w ciszy o cud, który sprowadziłby z powrotem Arnolda, choć wiedziała, że dopóki powstańcy nie sprowadzą do Paryża prawdziwego króla Francji, jest to niemożliwe.

Usiadłszy z powrotem na wysokim, hebanowym krześle, skrzyżowała dłonie na niebieskiej sukni i z uwagą wysłuchiwała brata Antyma, który zdał relację ze stanu zapasów klasztoru, potem Saturnina o zapasach miasta i zamku, które mu wcześniej przekazał intendent, Josse Rallard. Sytuacja była niewesoła. Miasto mogło przetrzymać najwyżej dwa miesiące oblężenia, po czym mieszkańcom zajrzy w oczy głód, nie mówiąc o tym, że ucierpią zbiory.

Saturnin zwinął pergamin wśród śmiertelnej ciszy i spojrzał na kasztelanę.

– Oto jak się mają sprawy, pani. To pozwoli nam przetrwać przez kilka tygodni... założywszy, że uda się nam odpierać natarcie tego szaleńca.

– A kto tu mówi, że się nam nie uda? – huknął Mikołaj, zaciskając dłoń na rękojeści szpady. – Mamy dość odwagi i siły! Z jedzeniem czy bez jedzenia potrafimy bronić naszego miasta!

– Nie mówię, że jest inaczej – zaprotestował spokojnie sędzia. – Chcę tylko powiedzieć, że najeźdźcy są silni, a nasze mury, choć wysokie, nie są nie do zdobycia... Spojrzeć prawdzie prosto w twarz nie jest tchórzostwem...

– Dobrze wiem! Lecz ja ci powiadam, że... Katarzyna wstała, przerywając rozpoczynającą się kłótnię.

– Zbędne wasze waśnie, panowie! Obydwaj macie rację! Nie brakuje nam odwagi, lecz jeśli chcemy wyjść cało z tej przygody, potrzebujemy pomocy!

– A gdzie jej szukać, o wielki Panie? – westchnął gruby Felicjan.

– W fortecy w Carlat – rzuciła Katarzyna i zamilkła. Niebezpieczeństwo musiało być rzeczywiście wielkie, jeśli pomyślała o szukaniu tam wsparcia. Bowiem groźna ta cytadela, wybudowana na skale bazaltowej, przywodziła kasztelance na myśl okrutne wspomnienia począwszy od Marii de Combom, kuzynki Arnolda, która z zazdrości próbowała tam zabić małego Michała, a Arnold przebił ją sztyletem; potem ten straszny dzień, kiedy w miejscowym kościele odprawiano mszę za duszę pana de Montsalvy, który odszedł do

leprozorium, podczas gdy na okolicznych skałach oplakiwały go kobzy pana Kennedy'ego... Carlat było też jednak miejscem schronienia po napaści bandytów z Valette, a także wtedy, gdy król skazał Montsalvych na banicję, a ich zamek został zrównany z ziemią. Potem ta cytadela nie do zdobycia została uświęcona przez to, że zamieszkała w niej święta, Bonne de Berry, a wieść o jej dobrodziejstwach rozeszła się po całej okolicy. Przed śmiercią hrabina podarowała Carlat najmłodszemu synowi, Bernardowi, hrabiemu de Pardiac, który darzył Montsalvych wielką przyjaźnią. W czasie nieobecności męża twierdzą zarządzała jego żona, Eleonora de Bourbon.

– Musimy wysłać posłańca do Carlat! – powtórzyła Katarzyna. – Hrabia Bernard utrzymuje w twierdzy potężny garnizon, z którego możemy, nie osłabiając fortecy, odciągnąć kilka kompanii łuczników, którzy rozkurzyliby bandytów Apchiera na cztery wiatry!

– Zgoda! – przystał Antoni Couderc. – Poślijmy do Carlat, lecz nie później niż tej nocy! Dopóki miasto nie jest otoczone, można wyjść zeń od południa. Ja pójdę!

Wstał z miejsca, a był tak wielki i czarny, iż zdało się nagle, że pośrodku komnaty wyrosła góra. Dobra wola i odwaga wrzały w nim jak kipiące mleko w zbyt małym garnku, lecz tkacz Noel Cairou twardo zaoponował.

– Nie ma mowy, Tosiek! W mieście potrzebny jest kowal! Potrzebna broń! Za to można obyć się bez tkacza. Ja pójdę!

Zewsząd rozległy się protesty. Każdy chciał pójść, pragnąc z całej duszy poświęcić się dla swego miasta. Wszyscy rozgadali się naraz i w sali rozległa się głośna wrzawa, którą przeor Bernard przerwał ruchem dłoni.

– Uspokójta się, chłopcy! Żaden z was nie pójdzie! Poślę jednego z moich braci. Wszyscy oni znają dobrze okolicę i z łatwością pokonają osiem mil dzielących nas od Carlat. A gdyby, na nieszczęście, posłaniec został pojmany, być może klasztorne szaty uchronią go od okrutnego losu. Bracie Antymie, pójdź do klasztoru i wezwij tu brata Amabla. Pani Katarzyna przekaże mu krótki list do hrabiny, po czym on natychmiast ruszy w drogę. Noc jest ciemna choć oko wykol. Nikt go nie zoczy. Będzie mógł wyjść przez bramę...

Takie rozwiązanie wszystkich pogodziło. W chwili kiedy decyzja została podjęta, niewyczuwalna obawa, która pomimo odwagi zgromadzonych ścisła za gardła, uleciała jak za dotknięciem różdżki.

Pojawienie się Sary z tradycyjnym winem ziołowym oraz służącej z pucharami ostatecznie poprawiło humory. Atmosfera rozluźniła się i wszyscy poweseleli; wychylono zdrowie mieszkańców Montsalvy, kasztelanki i ludzi z Carlat. Po obsłużeniu zebranych Sara podeszła do Katarzyny, która odsunawszy się na bok, pisała list przy pulpicie z brązu.

– Nie spodziewałam się, że będą tacy weseli mając wroga pod bokiem! Co im się stało?

– To nadzieja dodała im skrzydeł – uśmiechnęła się Katarzyna. Zdecydowaliśmy, że wyślemy posłańca do Carlat, by prosić o pomoc. Sama wiesz dobrze, że tam nie odmówią nam pomocy!

– Problem w tym, żeby tam dotarł. Bérault z pewnością wystawił wszędzie swoje czujki. Nie boisz się, że twój mnich wpadnie w ich ręce?

– Brat Amabl jest szybki i zwinny. Będzie miał się na bacności... a poza wszystkim, moja droga Saro, nie mamy wyboru!

Chwilę później posłaniec w czarnym habicie ukląkł przed przeorem, by odebrać list i przyjąć ostatnie błogosławieństwo przełożonego. Następnie Mikołaj Barral i przeor Bernard zaprowadzili go do bramy, podczas gdy starszyzna Montsalvy wróciła do siebie, Katarzyna zaś ruszyła za Sarą do własnych apartamentów.

Z wyraźną ulgą przekroczyła próg swego pokoju. Może dlatego, że miała zaufanie do swoich ludzi i do tych murów. Pomieszczenie było jasne, wesołe, a także ciepłe dzięki płonącym w kominie polanom kasztanowca. Kolorowe witraże w wąskim oknie błyszczały jak drogie kamienie, oświetlone ogniskami rozpalonymi na dziedzińcu i na murach. Pachniało gorącą smołą i olejem.

Usiadła na szerokim łożu, zdjęła uciskający ją czepek, rozpuściła włosy, włożyła w nie ręce i potrząsnęła, aż się całe napuszyły.

– Czy chcesz, żebym cię uczesała? – zaproponowała Sara, która wróciła do swej pani z kubkiem ciepłego mleka. – Czy zejdiesz na wieczerzę?

– Nie, nie... jestem zbyt zmęczona... Pójdę ucałować dzieci, a potem się położę. Przynieś mi coś małego do przegryzienia.

– Czy znowu boli cię głowa?

– Tak. Lecz sądzę, że mam powód.

Sara bez słowa zanurzyła swe duże, ciemne dłonie w jedwabiste sploty i delikatnie zaczęła masować skronie oraz czoło swej pani.

Cyganka była szczerze zaniepokojona, gdyż od wyjazdu Arnolda Katarzyna często cierpiała na migreny, z którymi Sara zwykle dawała sobie radę, lecz wcale jej się to nie podobało i przywodziło na myśl niedobre wspomnienia.

Otóż Katarzyna jako dorastająca dziewczyna na skutek okropnego szoku nerwowego omal nie umarła na zapalenie opon mózgowych i Sara obawiała się, że ta choroba kiedyś powróci.

Tymczasem Katarzyna, zamknawszy oczy, poddawała się jak dziecko zabiegom przyjaciółki, żałując tylko, że nie są w stanie wyrwać z jej mózgu jednej myśli: dlaczego Bérault oświadczył, że Arnold nie wróci. Czy było tak, jak mówił przeor, że bandyta chciał ją wytrącić z równowagi, czy też w jego strasznych słowach kryła się prawda?

– Spróbuj przez chwilę o niczym nie myśleć – mruknęła Sara. – W przeciwnym razie ból nie minie!

Dawna Cyganka od czasu zamieszkania w Montsalvy pogłębiła znacznie swą wiedzę ze sztuki niesienia ulgi ludzkim niedolom. W lasach i na płaskowzgórzu rosło moc ziół leczniczych i grzybów. Powoli Czarna Sara zdobyła sławę na trzy mile dookoła. Sławę, przez którą ściągnęła zresztą na siebie niechęć miejscowej czarownicy, Ratapennady, starej, ponurej wiedźmy o kocich oczach, zaszytej w swej chacie w leśnej głuszy. Ratapennada, o której nikt nie wiedział, kiedy się urodziła ani jakie imię dostała na chrzcie, żyła zgodnie z najlepszymi tradycjami swego stanu, zawarłszy pakt z sową, krukiem i sporą kolekcją żmij i ropuch, których jad służył jej do sporządzania tajemnych mikstur. Mieszkańcy Montsalvy bali się jej okropnie, wierząc, że to ona sprowadza na nich katastrofy, zarazę na bydło i niemoc męską. Nikt jednak nie śmiał jej tknąć.

Nawet sam Arnold nie odważyłby się wejść jej w drogę: liczył na to, że wkrótce i tak starucha przeniesie się do lepszego świata, gdzie już nikomu nie

potrafi zaszkodzić. I chociaż mieszkańcy unikali spotkania z nią jak ognia, często na ścieżce prowadzącej do jej chaty podrzucali kosz jaj, kurkę czy chleb dla udobruchania kreatury, do której jednak udawali się często z daleka w bezkسیężycowe noce dla zasięgnięcia porady i odczynienia uroków.

Powiadano, że wiedźma jest bogata i że w dole z gadami trzyma skarb, ale strach, jakim napawała, był tak wielki, że żaden najgorszy człowiek ani nawet najbardziej zakuty zbój nie odważyłby się go jej odebrać. Powiadano także, że Ratapennada ma kilku przyjaciół, do których należał podobno wygnany przez Katarzynę Gerwazy, który teraz sprowadził na Montsalvy nieszczęście...

Katarzynie udało się wreszcie przegnać uporczywe myśli i jej migrena ustępowała. Wtedy Sara powiedziała cicho:

– Czy wiesz, że paż jeszcze nie wrócił?

Kasztelanka oprzytomniała, otworzyła oczy i zadrżała: co za nowe nieszczęście zgotował jeszcze los? Czy ten okropny dzień nigdy się nie skończy?

– Bérenger nie wrócił? Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym od razu?

– Myślałam, że zauważysz sama... A zresztą, nie wiem, co mogłabyś zrobić o tej porze...

– Mój Boże! Co mogło mu się przytrafić? Przyznaję, że całkiem o nim zapomniałam...

Wyrwawszy się z rąk Sary, zaczęła nerwowo przemierzać pokój, zaciskając ręce na ramionach, jakby było jej zimno. Bała się głośno wyrazić swe obawy, aby się nie dowiedzieć, że jej paż wpadł w ręce Apchierów.

Od kiedy Bérenger pół roku temu pojawił się w Montsalvy, w zamku odmieniła się atmosfera. Ten czternastoletni chłopiec, pochodzący z rodu Roquemaurel, których zamczysko, choć podupadające, lecz nadal solidne, wznosiło się nad rzeką Lot, należał do rodzaju ludzi nie znanego dotąd wśród szlachty owerniackiej: uważał, że życia nie warto trawić na wywijaniu szpadą ani na polowaniach na dzikie świny, na waśniach rodowych, wielkim żarcu czy na picciu do upadłego. Był z niego wielki marzyciel, myśliciel i pacyfista. Próżno byłoby szukać takiego drugiego na dwadzieścia mil wokół, lecz nikt nie wiedział, po kim odziedziczył swoją naturę.

Jego ojciec, Ausbert, tęgi zabijaka, wielki miłośnik wina i płci nadobnej, mógłby z racji swojej siły i gwałtownej natury być sobowtórem galijskiego bożka Teutates'a władającego piorunami. Jego dwaj starsi synowie zaś, dwaj płowowłosi olbrzymi, znani byli w całej okolicy z potężnych pijatyk, bijatyk i podłych sztuczek wycinanych kanonikom. W tej chwili obaj bracia, powierzwszy zamek Roquemaurel uwielbianej nad życie matce, Matyldzie, która przypominała Katarzynie hrabinę de Châteauvillain, dołączyli swe lance do chorągwi hrabiego de Montsalvy i ruszyli radośnie, by „pokazać tym wściekłym psom z Paryża, bardziej angielskim niż sami Anglicy, ile warta jest dobra, stara owerniacka szlachta!”

Bérenger podobny był do rodziny tylko z wyglądu: wysoki i silny nad wiek, lecz poza tym delikatny, wesoły i nie ukrywający swej awersji do broni. Najbardziej ze wszystkiego kochał muzykę, poezję i naturę. Nie pociągało go również życie zakonne – zauważono to, kiedy, dla odzyskania wolności, podłożył ogień pod klasztor, do którego go oddano, by uczynić zeń biskupa. Po

tej zaszłości rada rodzinna postanowiła oddać go na służbę do Arnolda de Montsalvy. Tylko on, królewski kapitan o uznanej sławie wojownika, mógł zrobić zeń człowieka.

Montsalvy zgodził się, lecz ruszając na Paryż musiał przełożyć edukację wojskową młodzieńca na później.

Tak więc, Bérenger pędził przyjemnie dni w dobrach Montsalvy, biegając po polach, niczym minstrel, z lutnią na plecach, układając ballady, kantyleny i piosenki, które wieczorami śpiewał Katarzynie. W głębi serca młody Bérenger kochał się w kuzynce, Hauvecie de Montarnal, piętnastoletniej dziewczynce, delikatnej jak motyl. To z jej powodu uciekł z klasztoru, lecz raczej dałby sobie wyrwać język, niżby miał się przyznać do tego starannie ukrywanego uczucia.

Katarzyna bardzo lubiła swego pazia, wołała więc nawet nie myśleć, jaki los by go czekał, gdyby wpadł w szpony zbójów.

– Gdzie on się podziewa?

– Prawie zawsze udaje się w stronę rzeki. Zdaje się, że lubi łowić ryby... Tylko, że ma dziwny sposób łowienia, gdyż nieczęsto udaje mu się cokolwiek wyciągnąć na brzeg! Za to często wraca mokry jak szczur... jakby się sam rzucał do wody!

– Co chcesz przez to powiedzieć, Saro? Nie czas na zgadywanki! Cyganka wzruszyła ramionami.

– A to, że ta mała Montarnal co prawda rzadko podnosi oczy, lecz zdaje mi się, że jej źrenice mogłyby usidlić nawet świętego i że twój paż jest w niej na zabój zakochany, chociaż zdziera gardło, by słać twoją urodę – za co zresztą powinien oberwać kiedyś od pana Arnolda – i że to wszystko źle się skończy! Jeśli pan de Montarnal spostrzeże kiedyś, co się święci, to zamiłowanie małego Bérengera do „nocnych połowów” w rzece może się skończyć dla niego dłuższym w niej zanurzeniem!

– Bérenger zakochany? Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wcześniej?

– Bo to na nic by się nie zdało... Gdy chodzi o miłość, masz zbyt miękkie serce... Tylko że dzisiaj rzecz jest bardziej poważna... Paż mógł napotkać poważne przeszkody...

– Poślij po Mikołaja Barrala! – przerwała Katarzyna. – Pazia trzeba odnaleźć jeszcze tej nocy! Jutro, kiedy miasto zostanie obleżone, Bérenger nie będzie miał szansy się przedostać!

Sara bez słowa ruszyła na poszukiwania sierżanta. Natknęła się na niego przy jednym z ognisk na murach. Mikołaj oznajmił jednak, że na razie nie może szukać pazia.

– Noc jest zbyt ciemna! Nawet sam diabeł nic by nie dojrzał! Mogę zostawić strażnika przy bramie, to wszystko, co na razie da się zrobić. Paż zawoła, żeby mu otworzyć. A jeśli nie wróci do świtu, postaram się wysłać zwiady. Czy jesteś pewna, że poszedł na ryby?

– Tak twierdzi Sara – zamiast Cyganki odparła Katarzyna, która jak cień ruszyła za wierną służką.

– No, w takim razie to musi być prawda. Ona nigdy się nie myli! Słowa te wypowiedział z takim namaszczeniem i powagą, że Katarzyna przetarła oczy ze zdumienia. Zdecydowanie za dużo niespodzianek jak na jeden wieczór. Czyżby dowódca łuczników był zakochany w Sarze? W końcu nie byłoby w tym nic dziwnego. Dojrzałość Cyganki osiągnęła bowiem swoje apogeum, a jej okrągłe

kształty mogły rozmarzyć niejednego dzielnego syna gór takiego jak Mikołaj.

Katarzyna, odesławszy sierżanta, pozwoliła Sarze zdjąć z siebie suknię, koszulę i długą taśmę z białego płótna, którą obwiązywała sobie piersi do jazdy konnej. Potem z przyjemnym dreszczem wślizgnęła się w swoją ulubioną suknię na futrze, której jedwabista miękkość mile pieściła jej nagą skórę od karku po kolana. Była to najwygodniejsza z jej sukienek, uwielbiała ją wkładać wieczorem po męczącym dniu. Lecz ta, z odważnym rozcięciem z boku, była stworzona do czułego tête-à-tête zakochanej pary i przypominała jej zbyt wiele... – zbyt wiele błogich chwil z mężem. Przyjemny dotyk futra na skórze przypominał inny dotyk w sposób niemożliwy do wytrzymania, a spośród aksamitnych fałdów odzienia pewien zapach mieszał się z jej zapachem kobiecym: męski zapach, który tego wieczoru wydał się jej zbyt okrutny. Nie, to nieprawda, co powiedział ten stary cap, Bérault! To niemożliwe, że nie wróci... że jego głos, jego ręce, jego ciało nigdy już nie pojawią się w tym pokoju! – myślała.

– Zdejmij ze mnie tę suknię! – krzyknęła z rozdrażnieniem. – Daj mi inną, wszystko jedno którą, byle nie tę!

Zacisnęła mocniej zęby, żeby nie wybuchnąć szlochem, drżąc na ciele chorym z miłości, z niepokoju i ze strachu. Miała ochotę wybiec z pokoju, wsiąść na konia i pogalopować prosto przed siebie, na kraniec nocy, na kraniec własnego strachu, bez odpoczynku, pogalopować do swego męża, żeby przytulić się do jego piersi, choćby po to, by wydać nań ostatnie tchnienie...

Sara, przerażona jej krzykiem, rzuciła się do niej i prawie zerwała z niej suknię. Uważnie przyjrzała się twarzy nagiej kobiety stojącej przed nią. Nie potrzebowała żadnych wyjaśnień: zbyt dobrze ją знаła!

Ująwszy w swoje ręce jej drżące ramiona, potrząsnęła nimi łagodnie.

– Uspokój się – wyszeptwała z czułością. Po czym z mocą dodała: – On wróci!!!

– Nie... nie! Bérault Apchier rzucił mi to w twarz! Arnold nie wróci! Dlatego ośmielił się zaatakować!

– Nie wierz w to! To podstęp! Powinnaś się wstydzić, że dałaś się nabrać na jego przechwałki! Ja ci powiadam, że wróci! Czy kiedykolwiek cię okłamałam? Wiesz przecież, że czasami przyszłość uchyla przede mną rąbka tajemnicy? Twój mąż wróci, Katarzyno! Jeszcze nie skończyłaś cierpieć przez niego...

– Cierpieć?... Jeśli wróci, to jakże mogłabym cierpieć przez niego?... Sara wolała nie przeciągać tej wymiany zdań. Zarzuciła na swą panią suknię z miękkiego blanszetu, lekkiego białego płótna o gęstym splocie, tkanego przez białogłowy w Valenciennes. Zdecydowanie zawiązała jedwabne sznureczki wokół jej nadgarstków i szyi czując, że nieszczęsna kobieta powoli uspokaja się.

– No, teraz wyglądasz jak prawdziwa zakonnica! Tego wieczoru to wszystko, czego potrzebujesz! – rzuciła ze śmiechem. – A teraz chodź ucałować swoje maleństwa, i do łóżka! Przyniosę ci kasztany gotowane w mleku z cukrem i wanilią... jeżeli Michałek nie zjadł wszystkiego!

Nieco uspokojona Katarzyna dała się zaprowadzić do sąsiedniego pokoju przeznaczonego dla dzieci i Sary. Na kominku płonął ogień, a u wezgłowia wielkiego łóża z czerwonymi zasłonami świeciła się lampka oliwna, rzucająca łagodny blask na płową głowę śpiącego chłopczyka, zatopionego w

śnieżnobiałej pościeli, pokrytej pikowaną, purpurową kapą. Jego gęste, jasne pukle lśniły jak opiłki złota, a długie, ciemne rzęsy ocieniały łagodnie okrągłe policzki dziecięcia. Z półotwartej buzi wypadł ssany przed zaśnięciem palec. Druga rączka, leżąca na pościeli z rozcapierzonymi, różowymi paluszkami, wyglądała jak rozgwiazda.

Katarzyna z czułością ujęła łapkę i złożyła nań delikatny pocałunek, po czym ułożyła ją na miękkiej pościeli. Następnie podeszła do córki.

Z drugiej strony lampki oliwnej, w wielkiej kołysce wyrzeźbionej w drewnie kasztanowym, w której także Arnold wydawał pierwsze okrzyki, z niezwykle godnością spała dziesięciomiesięczna Izabela de Montsalvy...

Nadzwyczaj podobna do ojca, miała takie same czarne oczy, dołeczki w policzkach, a spod batystowego kapturka wystawał jedwabisty, czarny pukiel sięgający do małego noska. Zacisnąwszy piąstki, spała z bardzo poważną miną, lecz naprawdę było to bardzo wesołe dziecko i cały zamek szalał na jej punkcie, co ona wykorzystywała, tyranizując całe otoczenie. Wszyscy wiedzieli, że kiedy dorośnie, da sobie radę w życiu. Jeśli, czasami, patrząc w rozmarzone oczy synka, Katarzyna odczuwała przelotny niepokój, że jest zbyt delikatny i zbyt łagodny, co do Izabeli nie miała żadnych obaw. Jej zadziorne oczy mówiły same za siebie...

Ukląkszy pomiędzy łóżkiem a kołyską, zagłębiła się w gorącej modlitwie, prosząc Boga, by oddalił niebezpieczeństwo od tego pokoju, od tych dziecięcych główek powierzonych jej pieczy...

– Spraw, Panie... błagam cię, spraw, by nic złego im się nie stało! Są takie małe, takie bezbronne... A wojna jest straszna, okrutna... i ślepa...

Jej modlitwa przekroczyła ściany dziecinnego pokoju i objęła wszystkie dzieci i wszystkie matki przybyłe do zamku na dźwięk dzwonu, by schronić swoje zagrożone życie za murami Montsalvy. Wydała rozkazy, by w miarę możliwości zapewnić im jak najlepsze warunki, gdyż czuła się siostrą tych wszystkich matek.

Kasztelanka czy pasterka – stary, odwieczny strach przed pożogą i zagładą, na jakie narażone były dzieci – odczuwały tak samo. Strach, który mężczyźni być może również odczuwają, lecz który jest u nich słabszy niż odwieczne zamiłowanie do wojaczki.

Jako odpowiedź na jej niespokojne pytania słane do niebios dochodziły okrzyki strażników zmieniających warty na wieżach. Na murach miasta strażnicy Mikołaja trzymali straż, a wkrótce miały nadciągnąć posiłki hrabiego d'Armagnaca, by wykurzyć wściekłego lisa. Horda napastników nie będzie mogła długo się opierać, a matki z Montsalvy będą znowu mogły spać spokojnie...

Kasztelanka z nadzieją w sercu wstała z klęczek i czyniąc ostami znak krzyża wyszła z dziecinnego pokoju.

Rozdział drugi

KORONCZARKA AZALIA

Posłaniec!... Zginął!... Zabity!...

Niespokojny głos Sary wyrwał Katarzynę ze snu, sprowadzając ją na nowo do groźnego świata, od którego wieczorem nie mogła się oderwać. Otworzywszy oczy, ujrzała pochyloną nad sobą twarz Sary, twarz straszną, granitową, skamieniałą z przerażenia.

– Co ty mówisz? – spytała z trudem.

– Brat Amabl... zamordowany... Ludzie Béraulta pojмали go i zmasakrowali!

– A skąd to wiadomo? Czy odnaleziono jego ciało? Sara roześmiała się ironicznie.

– Ciało, powiadasz? W tej chwili całe miasto wyległo na mury, żeby je oglądać! Bérault kazał nadziać je na hak rzeźnicki i wystawić na widok publiczny przy domu sędziego. Jest przeszyte tysiącem strzał i wygląda jak jeź... a jedną z nich przybity jest do piersi nieszczęśnika twój list!

Pod Sarą ugięły się nogi. Osunąwszy się na kufer, przycisnęła do piersi drżące dłonie, po czym zmienionym głosem dodała:

– To pomioty szatana... Wszystkich nas pozabijają!

Katarzyna zeskoczywszy z łóżka jęła grzebać w kufrze w poszukiwaniu sukienki, lecz nagle zatrzymała się i spojrzała na Cygankę z niedowierzaniem.

– Ty, Saro? Ty się boisz?

Nie było to pytanie, lecz zdziwione stwierdzenie. Jeszcze nigdy, nawet w najtrudniejszych chwilach, Katarzyna nie widziała tak przerażonej Sary. Było to tak nieoczekiwane, że sama poczuła, iż traci grunt pod nogami.

Jeżeli jej najsilniejsza podpora podda się, na kim będzie mogła polegać w tę czarną godzinę?

Zrozpaczona i gotowa do płaczu, powtórzyła z wyrzutem, sama nie wierząc własnym słowom:

– Ty się boisz!

Sara ukryła twarz w dłoniach i rozplakała się ze wstydu i przerażenia.

– Przebacz mi! Wiem, że cię zawiodłam... lecz gdybyś widziała...

– Zobaczę!

I Katarzyna, powodowana nagłym przypływem gniewu, wciągnęła pierwszą lepszą suknię oraz miękkie botki i nawet nie zwiąawszy włosów wybiegła z pokoju, pokonała kręte schody i rzuciła się na dziedziniec.

Jak burza przebiegła przez dziedziniec z jasną masą włosów tańczących na plecach, potracając Jossego i nawet nie słysząc, co intendent do niej mówi. Już była na głównej ulicy, biegnąc ile tchu w piersi z podniesioną do kolan sukienką. Nigdy dotąd nie odczuwała takiego gniewu. Nie wiedziała, co robi ani dlaczego biegnie, lecz pchała ją jakaś nieznana siła, czyniąca z niej kogoś obcego, gwałtownego i gniewnego, żadnego krwi.

Wreszcie dotarła na mury, gdzie zastała milczący tłum, który na widok kasztelanki rozstał się. Ona jednak nie poznawała tych wszystkich ludzi: ich

twarze były tak samo skamieniałe i szare jak twarz Sary, oczy puste, usta nieme...

Któryś ze zgromadzonych wyrzeźił ochryplym głosem:

– Sługa boży... nie żyje...

Tak było w istocie... Jak bowiem powiedziała Sara, nieszczęsny mnich przeszyty setką strzał, wisiał na haku rzeźniczym, w czarnym habicie zeszywniałym od zakrzepłej krwi, straszny ze swymi wielkimi palcami u nóg wykrzywionymi w śmiertelnych skurczach. Tych kilka słów wybełkotanych przed chwilą uświadomiło Katarzynie, jak wielki strach ogarnął jej poddanych: ofiara była sługą bożym! Rozmiar zbrodni przekraczał ludzkie pojęcie tych prostych ludzi.

A tam, przy trupie, na wprost skamieniałego ze zgrozy miasta, dwóch tępych żołdaków naigrawało się z ofiary, dłubiąc w zębach.

Katarzyna, nie panując nad sobą, krzyknęła na całe gardło:

– Tak, umarł!!! Zabili go nam!!! A wy zamierzacie tak stać i nic nie robić? I zanim ktokolwiek zauważył, wyrwała łuk jednemu z żołnierzy.

Gniew, podwoiwszy jej siły, pozwolił bez trudu napiąć twardy naciąg. Strzała świsnęła jak wściekła zmija i utkwiała w gardle jednego ze zbójów, który osunął się na ziemię z rzeżeniem, zduszonym po chwili przez buchającą krew. Młoda kobieta sięgnęła po następną strzałę, by obalić drugiego żołdaka, lecz w tej sekundzie i ten padł obok swego towarzysza, dosięgnięty celną strzałą Jossego, który dołączył do Katarzyny.

Ludzie z Montsalvy przebudzili się. Ich strach zniknął. Na żołdaków z Apchier, którzy nadciągnęli w sukurs swym kompanom, runął grad pocisków z kuszy i strzał, zmuszając rozbójników do odwrotu. Wkrótce między murami zamku a obozem wroga nie pozostał nikt oprócz trupów nieszczęsnego mnicha i jego dwóch strażników.

– Przestańcie strzelać! – krzyknął Josse. – Nie marnujcie amunicji po próżnicy!

Jakiś głos, pełen oburzenia, zaprotestował:

– Nie możemy chyba pozwolić, by biedny brat Amabl wisiał tam jak lis schwytyany w sidła, by zgnił na naszych oczach od deszczu i wiatru!

To przez usta Gauberty, torującej sobie drogę wśród tłumu jak korab i powiewającej długim ogonem zwisającym z czepka na kształt żagli, przemówiło miasto. Zastępując antyczny chór, zażywna jejmość zbliżyła się do Katarzyny, dominując nad nią o całą głowę, ozdobioną grubymi jak ramię dziecka warkoczami. Handlarka płótnami, stanąwszy przed kasztelanką w swej ulubionej pozie, podpierając się pod boki, dodała:

– To był święty człowiek, łagodny jak baranek boży i umarł za nas! Powinien spocząć w poświęconej ziemi, a nie tkwić tam wśród tych łotrów! Lecz jeśli nikt nie chce pójść po niego, przysięgam na krzyż mojej matki, że ja pójdę! Otwórzcie tylko bramę!

Katarzyna zawahała się. Wyjście poza bramy miasta, nawet zbrojnie, oznaczało ryzyko walki, w której napadnięci nie mieliby przewagi, a rozbójnicy z łatwością by ich zmietli i korzystając z otwartej bramy dostaliby się do środka. Z drugiej strony Gauberta miała rację: pozostawienie ciała mnicha w rękach tych katów byłoby wstydem.

Gauberta czując, że Katarzyna przychyła się do jej zdania, zaczęła

nalegać.

– Więc jak będzie, pani? Co robimy? Czy...

Powolne bicie klasztornego dzwonu przerwało jej słowa i wyrwało Katarzynę z zamyślenia. Machinalnie wszyscy odwrócili się w stronę miasta, gdzie w tej chwili zabrzmiał śpiew żałobny.

– Mnisi! – rzucił ktoś. – Nadchodzą! Wszyscy wyszli z klasztoru. Istotnie, augustyni w dwóch rzędach podchodzili do bramy Świętego Antoniego. Szli z dłońmi splecionymi w szerokich rękawach i nasuniętymi na twarze kapturami. Mocnymi głosami śpiewali modlitwę za umarłych. Na czele kroczył przeor Bernard, mając po bokach dwóch mnichów z wysokimi świecami z żółtego wosku. Święty mąż, odziany w fioletowy ornat ze srebrnym krzyżem na piersi, niósł w rękach monstrancję, w której błyszczała hostia. Kiedy się zbliżał, ludzie klękali.

Wkrótce pochód dotarł do kraty, a przeor dał znak, by ją podniesiono. Na murach wszystkie oczy spoczęły z niemym pytaniem na Katarzynie.

Kasztelanka przestała się wahać. Przed Bogiem nie zamyka się bram!

– Otwórzcie bramę! – krzyknęła. – I niech łucznicy staną przy otworach strzelniczych gotowi do strzału! Załadujcie kusze! Jeśli któryś zbój zbliży się do przeora, strzelajcie nie czekając rozkazu!

Krata podniosła się z przenikliwym zgrzytem. Ryzyko było wielkie. Ludzie, którzy tak strasznie zmasakrowali mnicha, z pewnością nie cofną się przed Najświętszym Sakramentem. Być może za chwilę zaleje ich krwawa horda i wkrótce wszystko się skończy... Skrzypienie zwodzonego mostu zabrzmiało jak odgłosy apokalipsy.

Katarzyna chwyciła za łuk i włożywszy doń strzałę, stanęła w otworze strzelniczym.

– Jeśli Bérault d'Apchier pokaże się, ja pošlę mu pierwszą strzałę! – oświadczyła spokojnie.

Powoli napięła cięciwę. Cienki, jesionowy łuk wygiął się do połowy. Katarzyna czekała.

Obozowisko wroga wydawało się dziwnie ciche. Nie było widać żywej duszy. Nic się nie ruszało. Lecz za zasiekami z gałęzi, pokrytymi świeżo zdjętymi skórami, można było wyczuć wstrzymane oddechy i świdrujące spojrzenia.

Procesja przeszła przez most. Na chwilę śpiew zdusiły mury i barbakan, po czym modły wybuchły z nową mocą, zwiastującą gniew Boży.

Dies irae, dies illa Salve saeculum in favilla...

Jednak mnisi zamiast posuwać się do przodu w pewnej chwili zaczęli się cofać na krótki rozkaz swego przełożonego.

– Wycofajcie się za mury! Podnieść most!...

Zdziwiona Katarzyna popuściła cięciwę i wychyliła się. Za murami widać było samego przeora, wznoszącego do nieba ręce z monstrancją. Za nim ukazało się tylko trzech mnichów. Dwóch z nosidlami, jeden z drabiną. Tymczasem most podnosił się zgodnie z jego rozkazem.

– Nie chce narażać miasta... – szepnął Josse z napięciem. – Ależ przeor ryzykuje życie!

– Rozkaz, by nie podnoszono mostu! Musimy wziąć na siebie część ryzyka! Poza tym rozstaw swoich ludzi w oknach pierwszych domów na ulicy!

Josse, ongiś paryski rzeźmieszek, zbiegł po cztery schody, a Katarzyna skierowała swą uwagę na przeora. Zbliżał się nieśpiesznie, a za nim mnisi z noszami. Jego fioletowy ornat rozwiewał wiatr.

Kiedy zbliżył się do trupa, w obozie wroga coś się poruszyło. Przed palisadę wyszedł potężny człowiek i stanął w wyczekującej postawie. Katarzyna rozpoznała Béraulta Apchiera i skierowała w jego stronę swój łuk, gdyż bandyta był uzbrojony. Opierał swe długie łapy na wielkiej, nagiej szpadzie, lecz nie ruszył się do przodu.

– Odejdź, przeorze! – krzyknął. – To jest moja sprawiedliwość! Nie mieszaj się do nie swoich spraw!

– To jeden z moich synów, którego kazałeś zaszlachtować, Béraulcie! Przyszedłem po niego. A to jest twój Bóg, ukrzyżowany przez tobie podobnych. Uderz, jeśli się ośmielisz, lecz potem szukaj tak głębokiego boru i tak tajemnego miejsca, które byłoby w stanie ukryć twoją zbrodnię i twój wstyd, gdyż będziesz przeklęty na ziemi i w niebie aż do skończenia świata! No, chodź! Zbliź się! Na co czekasz? Spójrz uważnie: niosę złoto, złoto, które tak kochasz i po które przybywasz z daleka. Wystarczy, żebyś wyciągnął rękę. Wystarczy, żebyś uniósł szpadę, która ci tak wiernie służy!

Przeor wznosząc nadal monstrancję zbliżał się do wroga, podczas gdy trzech jego towarzysze odczepili ciało mnicha i ułożyli je na nosidle z wielkim trudem z powodu sterczących zeń strzał. W miarę jak przeor zbliżał się do wroga, wielki złoczyńca zdawał się kurczyć, niczym diabeł z przypowieści zamieniony w karła przez oblanie wiadrem wody święconej. Drżał jak jesienny liść i przez chwilę można było sądzić, że ulegnie tajemnym siłom i zegnien zesztywniałe od pychy i reumatyzmu kolana. Jednak za nim pojawili się jego synowie, jego bękart i szyderczy Gerwazy Malfrat. Miłość własna nie pozwoliła mu się ugiąć, pomimo strachu przed życiem pozagrobowym, do którego się zbliżał ze względu na swój wiek.

– Odejdź, przeorze! – powtórzył zmienionym głosem. – Możesz zabrać swego mnicha. W nocy wszystkie koty są czarne. Nie żył, kiedyśmy się spostrzegli, kim jest. Ale nie sądz, że żałuję. Jeszcze się spotkamy, kiedy nie będziesz miał Boga za obrońcę!

– Zawsze będzie ze mną, gdyż moje ręce każdego dnia dotykają jego Ciała i jego Krwi! Nawet kiedy go nie widzisz, jest ze mną, tak samo jak zawsze jest obecny w tym spokojnym mieście, które chcesz skazać na zagładę!

– Na zagładę? Skądże znowu! Miasto chcę zdobyć i zdobędę! Ale przeor już go nie słuchał. Jak matka chroniąca dziecko, przycisnął monstrancję do piersi i skierował kroki z powrotem do miasta, które ze ściśniętym sercem, wstrzymując oddechy obserwowało w ciszy całe zajście.

Mnisi z nosidłem powoli przeszli przez bramę, a za nimi przeor modląc się cały czas. Potem brama się zamknęła.

W obozie wroga nikt się nie poruszył. Za to w mieście wybuchła radosna wrzawa zwycięstwa, gdy tylko opadła krata.

– Niech pani strzela, Katarzyno! – rzucił Josse. – Ten wściekły pies jest łatwym celem! Strzelaj, a uwolnisz nas od niego!

Lecz Katarzyna z westchnieniem odłożyła broń i pokręciła głową.

– Nie mogę. Przeor by mi tego nie wybaczył. Bérault nie ośmielił się go tknąć. Jeśli jeszcze wierzy w Boga, może zrezygnuje z zamiaru i odejdzie od

naszego miasta. Pozwólmy mu się zastanowić...

– Zastanowić? Jego ludzie i on sam żądni są krwi i złota. Jeśli więc myślisz, że odstąpią, to się mylisz. Ja ci to mówię, pani.

– No to niech atakują! Odepchniemy ich!

Atak jednak nie nastąpił tego dnia. Bérault d'Apchier przystąpił do okrażenia miasta. Jego ludzie powoli zacieśniali krąg wokół murów, wciskali się między skały i krzaki jak stalowe węże, zajmowali ścieżki, stawiali nowe namioty i kuchnie. Z lasów dochodziły odgłosy obalanych drzew, które miały posłużyć do wykonania drabin. Zbierano gałęzie na faszyny do wypełnienia fos. Piękne sosny otaczające miasto traciły korony i padały z bolesnym skrzypieniem, a ich rozlane soki roznosiły świeży zapach wiosny w powietrzu śmierdzącym gorącym olejem.

Przez cały dzień Katarzyna przebywała na murach. Wraz z Mikołajem Barralem i Josse Rallardem przebiegała miejsca obrony, wieże, sprawdzała hurdyce, badała zapasy kamieni, strzał, drewna, broni i poszczególne stanowiska walki.

Bohaterski czyn przeora Bernarda dodał wszystkim odwagi, wzmocnił wolę walki. Przemożny strach zniknął. Wszyscy byli głęboko przekonani, że sam Pan Bóg będzie wspierał ich w walce, a i Katarzyna wierzyła, że uda się jej odeprzeć wroga bez większego trudu.

Pozostało jednak jeszcze jedno zmartwienie: jej paż ciągle nie wracał. Miała nadzieję, że schronił się u swej matki.

Sara, nie mogąc pokonać wstydu za swą chwilową słabość, dwoiła się i troiła, czuwając nie tylko nad normalnym funkcjonowaniem zamku, lecz także doglądając uciekinierów i pilnując, by niczego im nie zabrakło. Zaoferowała nawet swą pomoc przeorowi przy pośmiertnej toalecie brata Amabla, gdyż była zręczna i za pomocą noża i oliwy usunęła ostrza strzał z ciała zmarłego. Teraz jego ciało, obmyte w winie i owinięte prześcieradłem, spoczywało w krypcie klasztornej, czekając na pochówek, który miał się odbyć w nocy, tak aby mnisi mogli uczestniczyć w czasie dnia w obronie miasta razem z innymi mieszkańcami.

Wkrótce przygotowania zakończyły się i nie pozostawało nic innego do roboty jak obserwować ruchy wroga. Powoli miasto przyzwyczajało się do stanu oblężenia i każdy, kiedy tylko jego obecność na murach nie była konieczna, wracał do swoich codziennych zajęć.

Spośród kobiet zamieszkałych w Montsalvy jedna trzymała się na uboczu. Była to piękna dziewczyna o czarnych oczach i jedwabistej, ciemnej karnacji. Przybyła do Montsalvy dziesięć lat temu wraz z matką, koronczarką z Puy, która po śmierci pierwszego męża wyszła za Augustyna Fabre, cieślę. Matka, będąc słabego zdrowia, zgasła wkrótce którejś srogiej zimy, a Augustyn zaopiekował się dziewczyną jak własną córką. Stopniowo Azalia zajęła miejsce matki. Utrzymywała dom w doskonałym porządku i tak jak matka zajęła się wyrobem koronek, przewyższając ją wkrótce kunsztem. Zdobyła bogatą klientelę w okolicznych zamkach i wśród miejscowych notabli.

Sama pani de Montsalvy zamawiała u Azalii wiele rzeczy, podziwiając jej umiejętności i zmysł artystyczny. Koronczarka była jednak jedyną kobietą w mieście, z którą nie potrafiła się zaprzyjaźnić. Zresztą żadna kobieta w mieście jej nie lubiła. Być może z powodu sposobu, w jaki patrzyła na chłopców, a

nawet żonatych mężczyzn, albo z powodu tego gardłowego śmiechu podobnego do gruchania gołębic. A może z powodu zbyt odważnego dekoltu, z jakim zwykła się pokazywać w swym oknie. Piękna i niebiedna Azalia mogła już sto razy wyjść za mąż, lecz mimo wielkiego powodzenia wśród chłopców nie przyjęła oświadczeń żadnego.

„Chcę wyjść za mąż z miłości i będę kochać tylko jednego, godnego mnie, czyli takiego, który byłby zdolny do wszystkiego z miłości dla mnie!” – zwykła mawiać mrużąc kocie oczy, które niejedna z kobiet chętnie by jej wydrapała. W ten sposób Azalia doszła do dwudziestu pięciu lat i nadal pozostawała w stanie panieńskim, ku zadowoleniu zresztą samego Augustyna, który bał się, że wydając ją za mąż, straci gospodynię.

„Żadna ciemiega nie jest ciebie godna, moja perło! – mawiał Augustyn, gładząc jej jedwabisty policzek. – Ty jesteś godna wielkiego pana!”

Naturalnie, Augustyn nie był przez to lubiany przez młodzieńców, a matrymonialne marzenia ojczyma doszły do uszu Katarzyny. Donatka, małżonka Saturnina, kiedy powtórzyła słowa Augustyna swej pani, nie mogła ukryć oburzenia, lecz Maria, żona Jossego, która w haremie zdobyła zadziwiającą wiedzę na temat kobiecej natury, natychmiast wyjaśniła, jak się rzeczy mają:

– Augustyn powiada „wielki pan”, lecz jego córka myśli o „panu Arnoldzie!” Trzeba widzieć, jak patrzy na naszego pana, kiedy on przejeżdża konno przez miasto: istna kotka oblizująca się przed spodkiem śmietany. A jakie ukłony przed nim składa!

– Opowiadasz głupoty, Mario! Nie ośmieliłaby się mierzyć tak wysoko! – odparła wtedy Katarzyna.

Jednak w głębi serca poczuła nieprzyjemne ukłucie. Była pewna miłości swego męża i nie obawiała się sidła mieszczyki. Niemniej przypominała jej Azalia dwie kobiety, których obawiała się najbardziej w swym życiu: Marię de Comborn, kuzynkę, która kochała się w Arnoldzie aż do zbrodni, i sułtanek Zobeidę, która więziła go w swym pałacu. Z pierwszej Azalia miała łapczywe pożądanie, a z drugiej ogromną zmysłowość, takie same czarne jak węgiel włosy i takąż bursztynową skórę. I czasem, kiedy koronczarka przychodziła do zamku ze swymi wyrobami, Katarzyna zastanawiała się, czy przypadkiem dziewczyna ta nie jest trzecią postacią damskiego demona, który chce jej zabrać jej miłość.

Tamte dwie, Maria i Zobeida, zginęły jednakowo, i to z ręki samego Arnolda od ciosu wymierzonego sztyletem ze srebrnym krogulcem, który zawsze był dla Katarzyny talizmanem i ostatnią obroną, lecz czy można było przewidzieć reakcje mężczyzny?

Gdyby Katarzyna urodziła się w zamku szlacheckim, z pewnością nie zwróciłaby uwagi na tak prostą rywalkę, lecz będąc córką zwykłego złotnika, nigdy nie lekceważyła przeciwnika, jakikolwiek by on był, i nigdy się nie myliła.

Od czasu wyjazdu Arnolda Katarzyna zapomniała o swych niejasnych obawach, jakie wzbudzały w niej płonące źrenice i wilgotne usta Azalii, a obłączenie odsunęło tę sprawę na boczny tor.

Przy studni zebrały się kobiety i rozprawiły o tym, jak wykurzyć wroga, lecz Azalia jak zwykle trzymała się na uboczu, przysłuchując się im z drwiącym uśmiechem.

– Straszny koniec brata Amabla nie załatwia niczego – powiedziała Gauberta. – Trzeba pomyśleć o nowym posłańcu.

– A jak chcesz wysłać swego posłańca? – spytała inna. – Przerzucić go przez mury, prosząc Pana Boga, by poleciał jak najdalej?

Gauberta wzruszyła pogardliwie ramionami i krzyknęła:

– W zamku są podziemia, można je wykorzystać.

Istotnie, kiedy Katarzyna i przeor Bernard odbudowywali niedaleko bram Montsalvy stary zamek Puy de l'Arbre, kazali zrobić w jego podziemiach przejście, którym w razie oblężenia można by było wyjść. I jak to było w zwyczaju od wielu wieków, tajemne przejście zaczynało się w wieży, a kończyło daleko w polu, ukryte wśród skał i krzaków. Nie należało o tym trąbić głośno i Katarzyna, która zbliżyła się do kobiet kazała handlarce płótnami mówić ciszej.

– Nie mów tak głośno, Gauberto, bo jeszcze ktoś cię usłyszy.

– A kto, pani? Nie myślisz chyba, że wśród nas chowa się zdrajca!

– Nie – uśmiechnęła się Katarzyna – lecz masz donośny głos droga przyjaciółko. Mogłabyś, tak jak Dziewica Orleańska, dowodzić armią...

Okropny hałas i odgłosy walenia młotka przerwały jej w pół słowa. Pochodziły z jednego z domów stojących w pobliżu studni, zajmowanego przez Augustyna, ojczyma Azalii. Przez otwarte na oścież, mimo panującego przenikliwego chłodu, drzwi jego warsztatu wylatywały wióry.

Katarzyna zwróciła się do koronczarki:

– Twój ojciec ostro pracuje, jak się zdaje. Co takiego robi?

– Trumnę. Pierwszą... dla brata Amabla.

– Pierwszą, powiadasz? Czyżby liczył na to, że potrzeba będzie ich więcej?

Azalia uśmiechnęła się dziwnie, a jej przenikliwe spojrzenie owionęło bezczelnie kasztelankę.

– Potrzeba będzie więcej i pani dobrze o tym wie! Czy oblężenie potrwa, czy miasto zostanie zdobyte, mojemu ojcu nie zabraknie roboty. Dobrze wiesz, pani, że przez ciebie wiele ludzi straci życie!

Wśród kobiet zaległa nieprzyjemna cisza. Katarzyna zastanawiała się, czy się nie przesłyszała. Gauberta i jej przyjaciółki spoglądały po sobie, nie wierząc własnym uszom. Kasztelanka pierwsza się otrząsnęła i zmarszczywszy brwi, spytała:

– Co masz na myśli, Azalio?

– Tylko to, co rzekł pan Bérault d'Apchier... chyba że źle usłyszałam. On chce złota i... ciebie, pani! Złoto możesz mu dać, ale siebie? Tak więc ludzie będą umierać za ciebie! Tylko za ciebie... ponieważ pan Arnold już nigdy nie wróci!

Cedząc słowa, zdjęła z cembrowiny dzban wypełniony wodą i miękkim ruchem bioder zarzuciła go sobie na ramię. Uśmiechała się perfidnie, zadowolona z wrażenia wywołanego przez słowa, które dotknęły Katarzynę w najczulsze miejsce. Nie zdążyła jednak odejść od studni, kiedy potężna para policzków wymierzonych przez Gaubertę, wspomaganych jej stu osiemdziesięcioma funtami żywej wagi, obaliła ją na ziemię wśród okruchów stłuczonego dzbanu. Mocą rozpędu sama Gauberta upadła obok swej ofiary, usiadła na niej okrakiem i dalejże ją okładać i szarpać za włosy.

– Gauberto! – krzyknęła Katarzyna przerażona wściekłością wykrzywiającą twarz zwalistej kobiety. – Zostaw ją!

Gauberta jednak nie słyszała. Przyparłszy Azalię kolanem do ziemi, ciągnęła ją za warkocze, wreszcie napluła jej w twarz i zagrzała:

– Gdybym nie znała twojej bogobojnej matki, Panie świeć nad jej duszą, rzekłabym, że powiła cię maciora! Nagle martwisz się losem naszych mężczyzn, a gdy który mówi ci o miłości, to zadzieras dumnie nosa! Marzy ci się wielki pan, a jako że nie możesz mieć pana Arnolda, pomyślałaś, że któryś z bandy Apchiera też załatwi sprawę, czyż nie? Którego sobie upatrzyłaś? Którego, śpiewaj mi tu zaraz!

Rozwścieczona, policzkowała dziewczynę z taką zaciętością, że Katarzyna wystraszyła się, iż wykończy ją na dobre.

– Rozdzielmy je, Babeto! – krzyknęła do swojej sąsiadki. – Gauberta gotowa ją zabić!

– Phi! Wielka mi rzecz! – zachnęła się żona wytwórcy świec – to by ją nauczyło rozumu. Mój najstarszy syn dosyć wylał przez nią łez. Ale, do usług, pani Katarzyno.

Z pomocą innych kobiet, które zresztą nie przykładaly się zbyt do swego zadania, ponieważ te poczciwe matki rodzin nie widziały niczego złego w tym, co przytrafiło się fertycznej koronczarce, udało im się odciągnąć spienioną Gaubertę od swej ofiary.

Czerwona od otrzymanych razów i od krwi spływającej ze zranionego okruciami rozbitego dzbana ramienia, koronczarka wstała zalewając się łzami. Jej przemoczona spódnica była uwalana błotem, a bluzka rozdarta na plecach. Jednak nieszczęsny widok Azalii nie ostudził zapału Gauberty, którą z trudem udawało się utrzymać z dala od dziewczyny. Po czym, ponieważ kobiety nie chciały jej wypuścić, ryknęła pod adresem dziewczyny, którą Maria odprowadzała do domu:

– Powinnaś tarzać się w błocie przed naszą panią i błagać ją o przebaczenie!

Augustyn, zaniepokojony wrzawą, wyszedł na próg warsztatu, trzymając w jednej dłoni młotek, a w drugiej drewniane kołki. Prawie wpadł na przybraną córkę – brudną, przemoczoną i pobitą.

– To nic – próbowała wyjaśniać Maria, czując wiszącą w powietrzu kolejną burzę. – Miała małą sprzeczkę z Gaubertą...

Lecz Augustyn, nie słuchając, odsunął ją ręką z drogi i ruszył w stronę grupki kobiet. Wytrzeszczył oczy, a jego twarz stała się tak samo czerwona jak jego wełniana czapka. Wymachując młotkiem wyglądał bardzo groźnie, lecz to nie wystarczyło, by przerazić wojowniczą handlarzkę płócien.

– Ja nie chcę nic mówić! – wrzasnęła na widok cieśli. – Lecz z tej twojej córki to niezłe ziółko! Gdybyś częściej pieścił jej boki, może nie byłaby taka złośliwa.

– A co takiego ośmieliła się powiedzieć? Może mi to powtórzysz?

– A myślisz, że będę się kępować?

Augustyn nadciągał jak burza wymachując młotkiem, tak że kobiety trzymające Gaubertę skuliły się, jakby chcąc uniknąć ciosów. Katarzyna puściła Gaubertę i stanęła między nią a cieślą.

– Dosyć tego! – rzuciła ostro. – Teraz ja mówię i macie mnie słuchać!

Augustynie, zatknij swój młotek za pasek! A ty, Gauberto, masz natychmiast się uspokoić!

Cieśla zatrzymał się przed kasztelanką i niechętnie zdjął czapkę z głowy.

– Mam chyba prawo wiedzieć, co uczyniono mojej córce! – mruknął.

– Zgoda! – rzuciła Gauberta, której wracał dobry humor. – Lecz najpierw dowiedz się, co ona powiedziała. A co do tego, co jej zrobiliśmy, to będziesz zadowolony: wymierzyłam jej policzek, czego ty nigdy nie ośmieliłeś się zrobić. I w każdej chwili mogę zacząć od nowa, chyba że sam się tym zajmiesz: powiedziała, że zgarniesz niezły grosz za trumny dla tych, którzy zginą przez panią Katarzynę!

– Ona nie mogła tego powiedzieć!

– Ale powiedziała! – wtrąciła Katarzyna. – Utrzymuje, że wszystkie te nieszczęścia spadły na miasto i jego mieszkańców z mojego powodu, tylko z mojego... Czy i ty jesteś tego zdania?

– Nnnnie... Oczywiście, że nie... Nikt z nas nie chciałby żyć pod panowaniem Apchierów. Są twardzi i okrutni. Lecz gdyby pan Arnold nie wrócił...

– Nie widzisz powodu, by bronić swoich – dokończyła twardo Katarzyna czując, że błędnie.

Spojrzała uważnie na upartą twarz cieśli. Najwyraźniej miał jej za złe to, co właśnie się wydarzyło, lecz nie śmiał tego powiedzieć wprost. Lecz Gauberta, która wszędzie musiała wtrącić swoje trzy grosze, rzuciła:

– Pan Arnold wróci! A nawet gdyby nie wrócił, ma syna, a my mamy przeora za drugiego pana! I wara Apchierom od nas! A teraz możesz powiedzieć swojej córce, że zanim wyda Katarzynę, bo najwyraźniej o tym się myśli w waszej rodzinie, wyślemy Azalię nagą za mury, żeby przekonać się, co z nią zrobią „panowie” Apchierowie, na których ma taką wielką ochotę!

– Nie zaczynaj od nowa! – przerwała Katarzyna. – Nie mam tego za złe twej córce, Augustynie! Musi się bać, i to wszystko ze strachu. A ty ze swej strony nie gniewaj się na Gaubertę. Zrobiła to z przyjaźni do mnie. A teraz, pogódźcie się!

Augustyn niechętnie wymamrotał coś pod nosem, a Gauberta powiedziała, że Azalia może się jej nie obawiać, pod warunkiem że nie będzie opowiadać bredni. Następnie wszyscy zaczęli się rozchodzić. Mieszczki uniosły swoje dzbany i kłaniając się kasztelance podążały do swoich domów, żywo rozprawiając o wydarzeniu.

Katarzyna ruszyła na spotkanie z przeorem. Za nią podreptała Gauberta. Pomimo wszelkich oznak przywiązania okazywanego przez jej ludek, hrabinie było ciężko na sercu, gdyż wśród tego ogólnego poświęcenia i wierności odkryła małą zadrę. Niewielką wprawdzie i z pewnością niegroźną, lecz i tak za dużą w chwili, kiedy miasto powinno stanowić jedność.

Katarzyna co prawda nigdy nie miała złudzeń co do uczuć, jakie Azalia mogła do niej żywić od tamtego zimowego poranka, kiedy to na dziedzińcu zamkowym spostrzegła spojrzenia posyłane przez koronczarkę Arnoldowi. Wtedy to pojęła, że Maria miała rację i że Azalia mogła jej tylko nienawidzić. Lecz to, że również ojczym myślał tak jak ona, było dla niej przykrym odkryciem, gdyż kazało jej sądzić, że być może więcej osób w mieście myślało podobnie.

Gauberta drepcząca obok kasztelanki i obserwująca ją kątem oka przerwała jej ponure myśli z właściwą sobie gwałtownością.

– Nie należy się nimi przejmować, pani Katarzyno! Augustyn jest tak zapatrzony w swoją córunię, że nie zdaje sobie sprawy z tego, że to zła bestia, a na dodatek nie jest stąd!

– Ja też nie jestem stąd – odparła cicho Katarzyna.

Gauberta stanęła jak słup soli, postawiła dzban na ziemi i pokręciła głową z politowaniem. Katarzyna pomyślała, że mieszcza jest przekonana, iż jest słaba na umyśle.

– Pani? O Przenajświętsza Panienko! Ależ pani jesteś bardziej stąd niż kto inny. Może urodziłaś się w Paryżu, lecz co ci z tego pozostało? Pan Arnold i pani stanowicie jedno, a jeśli on nie jest stąd, to kto? Chcesz czy nie, jesteś kamieniem węgielnym zamku Montsalvy i nikt ani nic nie może cię stąd wyrwać... lub mówić co innego!

– Dziękuję ci, Gauberto! Lecz sądzę, że lepiej będzie dla nas wszystkich, by Azalia trzymała język za zębami i że trzeba jej pilnować.

– Bądź spokojna, pani Katarzyno, już my będziemy ją mieć na oku! Ponieważ kobiety doszły do bramy klasztornej, Gauberta skłoniła się głęboko i ruszyła w swoją stronę.

Katarzyna walcząc ze łzami, weszła do środka wpuszczona przez brata furtiana, który poinformował ją, że przeor czeka na nią w sali kapitulnej.

– Daje lekcję małemu panu! – dodał z poczciwym uśmiechem.

– Lekcję? Dzisiaj?

– Oczywiście! Jego wielebność nie lubi tracić czasu, nawet podczas oblężenia.

W rzeczy samej, wkrótce do jej uszu doszedł głos małego Michała recytującego wiersz. Skrzypienie drzwi pchniętych dłonią Katarzyny przerwało recytację w pół słowa. Michał siedział na taborecie, z którego zwisały jego za krótkie nóżki, a naprzeciwko niego stał przeor ze skrzyżowanymi ramionami, trzymając się za podbródek. Na widok matki malec zrobił zawiedzioną minę.

– Och! Pani matko! Dlaczego przyszłaś tu o tej porze?

– A nie powinnam?

– Tak, nie powinnaś! Mam nadzieję, że nic nie słyszałaś?

Po tym niespokojnym pytaniu Katarzyna domyśliła się, że Michał uczył się wiersza, który miał jej ofiarować z pewnością na Wielkanoc wraz z życzeniami świątecznymi. Uśmiechnęła się więc, przybierając niewinną minę.

– Nic nie słyszałam. Drzwi były przecież zamknięte, lecz jeśli ci przeszkodziłam, to bardzo cię przepraszam.

– Nic to – odparł Michał wspaniałomyślnie – jeśli nic nie słyszałaś.

– Na dzisiaj lekcja skończona – rzekł przeor gładząc ucznia po złocistej głowie. – Dosyć się napracowałaś, a teraz możesz iść do Sary.

Malec zeskoczył z taboretu, podbiegł do matki i objął jej nogi swymi małymi ramionami.

– Proszę mamy... czy mógłbym nie wracać od razu do domu?

– A gdzie chcesz pójść?

– Do Augusta! On dzisiaj zaczyna robić wielką gromnicę wielkanocną i powiedział mi, że mogę przyjść.

Katarzyna podniosła go z ziemi, przycisnęła do piersi i ucałowała w

okrągłe, pokryte miękkim puszkciem policzki.

– Możesz iść, synu! Ale nie zanudzaj Augusta i nie siedź u niego za długo. Sara by się niepokoiła.

Michał obiecał wszystko, czego chciała, cmoknął ją w nos i ponieważ pilno mu było podziwiać sztuczki mistrza Augusta, ześlizgnął się na ziemię i ruszył biegiem, odprowadzany czułym spojrzeniem matki i przeora.

– Ma cały zapał i ciekawość ojca! – powiedział brat Bernard.

– To prawdziwy Montsalvy – odparła dumnie Katarzyna – lecz zastanawiam się, czy nie jest bardziej podobny do swego wuja Michała niż do ojca. Jest delikatniejszy niż mój mąż, mniej gwałtowny. To prawda... jest jeszcze taki mały... Ale muszę przyznać, że niektórzy z was zadziwiają mnie, a przede wszystkim ty, ojciec. Podczas gdy grozi nam śmiertelne niebezpieczeństwo, dajesz lekcję Michałowi, a mistrz August przygotowuje gromnice na Wielkanoc. A kto wie, czy będziemy jeszcze żywi podczas świąt?

– Czyżbyś w to wątpiła, pani? Zbyt słabo ufasz Bogu, moja córko! Wielkanoc już za dwa tygodnie. Może nie będzie tak wesoło jak zwykle, lecz wierzę, że wszyscy się zbierzemy, by chwalić naszego Pana.

– Och, żebyż cię wysłuchał! Przyszłam tu, by cię zapytać, ojciec, co zrobimy teraz, kiedy biedny brat Amabl... Pomyślałam, że może przez podziemne przejście zamku...

– Oczywiście! Wykorzystamy je, by wysłać następnego posłańca.

– Kto jednak podejmie tak wielkie ryzyko? Potworna śmierć brata Amabla na pewno osłabiła odwagę niejednego osiłka.

– Nic się nie bój, mam już człowieka, którego nam potrzeba. Przyszedł do mnie jeden z chłopców z Krzyża Koguta. Chce ruszyć jeszcze tej nocy.

– Tak szybko? Dlaczego?

– Z powodu zajęć rolniczych. Otóż padało przez cały dzień i tej nocy może wszystko zmrozić, lecz jak tylko ziemia wyschnie, trzeba będzie przejść przez kratę i oczyścić zboża z ostów. Trzeba też posadzić kapustę i jarzyny. Gdyby obleżenie się przedłużało, to roboty kwietniowe nie zostaną wykonane i nie będzie zbiorów. Nie ma tu takiego, kto by nie zaryzykował życia dla ocalenia swych plonów.

– Ktoś powiedział, że jest inny sposób, by ocalić Montsalvy... łatwiejszy...

– Jaki?

– Oddać Béraultowi Apchierowi to, czego tak pożąda: bogactwa zamku i...

– I ciebie, pani? Ależ to istne szaleństwo! Kto ci wbił taki pomysł do głowy?

Katarzyna opowiedziała mu pokrótce scenę przy studni, a przeor przysłuchiwał się jej z nie ukrywanym zniecierpliwieniem.

– To Gauberta ma rację! – krzyknął, kiedy Katarzyna skończyła. – A Augustyn jest winien, że wbija dziewczynie do głowy pomysły, które ani nie przystoją jej stanowi, ani nie są zbyt mądre. Już od jakiegoś czasu myślę o tym, żeby śledzić ją potajemnie: spotyka się z ludźmi, którzy mi się nie podobają.

– Z kim? Z chłopakiem?

– Nie, nie z chłopakiem. Już bym to wolał. Z Ratapennadą. Otóż ostatnimi czasy różni ludzie spotykali ją często w okolicy chaty czarownicy. Jeśli temu nie przeszkodzimy, nieszczęsna gotowa zaprzedać duszę dla ziszczenia swych

nierozumnych marzeń.

W środku nocy jakiś cień spuścił się po drabinie do tajemnego przejścia pod zamkiem. Niósł łuczywo, sztylet i list. Zanim zniknął w czeluściach, do Jossego, który go odprowadził, posłał uśmiech, mrugnął okiem i pomachał ręką.

Od tego czasu słuch po nim zaginął...

Rozdział trzeci

W PODZIEMIACH...

Atak nastąpił o świcie. Korzystając z ostatnich zimnych chwil nocy, kiedy to ludzie są zesztywniali od długiego czuwania i niezbyt zdolni do obrony, Bérault d'Apchier skierował swych zbirów do ataku na dwa punkty murów, które wydawały mu się najsłabsze.

W nocy rozbójnicy zdołali bezszelestnie wypełnić część fosy faszynami i kiedy tylko niebo pojaśniało, ustawili drabiny w tych dwóch miejscach.

Przygotowania te, choć wykonywane z dużą ostrożnością, nie uszły uwagi strażników i kiedy pod wodzą bękartu Gonneta żołdacy rzucili się do drabin, powitał ich taki grad kamieni i strumienie wrzącego oleju, że zmuszeni zostali do szybkiego odwrotu. Gonnet oparzony w ramię uciekał, wyjąc jak ranny wilk i wygrażając obrońcom miasta pięścią. Ze złości podpalił najbliższą fermę, która wkrótce strzeliła w niebo wysokimi płomieniami.

Mieszkańcy zgromadzeni wokół Katarzyny na murach patrzyli, jak pochłania ją gęsty, czarny dym, który wiatr rozciąga po szarym niebie długimi, brudnymi pasmami. Maria Bru, opierając się na ramieniu męża, płakała rzewnymi łzami widząc swój dobytek trawiony przez płomień.

– Oddamy wam wszystko – rzekła z przejęciem Katarzyna. – Jak tylko przegnamy tych bandytów, odbudujemy wasz dom.

– Z pewnością odbudujemy! – potwierdził Saturnin. – Wszyscy się do tego przyłożymy. Niebawem zaś nadejdzie pomoc, gdyż nie mamy wiadomości o naszym posłańcu, a to oznacza, że udało mu się przejść.

Katarzyna spojrzała na niego z wdzięcznością i żeby pocieszyć nieco Marię, wręczyła jej trzy złote monety.

Następnego dnia został odparty kolejny atak i ponownie spłonęła ferma, tym razem Krzyż Koguta.

Podczas wieczornej narady w zamku ziołowe wino miało gorzki smak.

– Jak tak dalej pójdzie, to codziennie spłonie jedna ferma lub folwark, a do Wielkanocy nie pozostanie wokół nic, tylko spalona ziemia!

– powiedział Felicjan Peuch, młynarz, wyrażając głośno myśli ogółu.

– Posiłki nadejdą o wiele wcześniej – odpalił Mikołaj Barral.

– W tej chwili Jeannet już na pewno jest w Carlat. Stawiam swój hełm przeciwko kaczanowi kapusty, że wkrótce ujrzymy lance Kadeta Bernarda, które przyśle nam Eleonora, jego żona!

Jednak ani następnego, ani kolejnego dnia wspomniane lance nie pojawiły się i w zamku zakiełkował niepokój. Nawet kiedy Felicjan przyszedł do sierżanta z wielkim kaczanem kapusty, żeby zrobić wymianę na hełm, powitały go nieco wymuszone uśmiechy. W Montsalvy coraz mniej chciało się śmiać.

W Niedzielę Palmową zaczął padać deszcz i wydawało się, że nigdy nie przestanie. Nie był to jednak wiosenny deszcz, lecz okropne nawałnice niesione wściekłymi podmuchami wiatru, rozmywające zbocza i porywające strumienie czarnej ziemi na dno dolin, i wypłukujące korzenie drzew. Jak by tego nie było dosyć, spadł grad. Kule wielkości orzecha podziurawiły bezlitośnie rozmytą

ziemię i siekąc pierwsze wrażliwe kielki roślin, zniweczyły nadzieję na zbiory.

Najeźdźca jednak nie ustępował. Tkwił uparcie wśród morza błota, ukryty w podziurawionych przez grad namiotach, tych, których nie porwał szalejący wiatr zawieszając je na szczytach drzew. Zmuszony przez pogodę do zaprzestania ataków, stał się jeszcze bardziej zacięty i bardziej wściekły. Dowódcy pozajmowali opuszczone domy, lecz większość cierpiała niewygodę, zgrzytając zębami na myśl o ciepłych łózkach i szczelnych dachach ukrytych za pobliskimi, dobrze strzeżonymi, grubymi murami.

Katarzyna i przeor dwoili się i troili, by podtrzymać na duchu swoje owieczki.

– Odbudujemy wszystkie zniszczone domy! – zapewniała Katarzyna, mając na myśli Jakuba Serce i jego obficie zaopatrzone kantory.

– Bóg jest z nami – podejmował przeor Bernard. – Dlatego trzyma wroga w bezpiecznej odległości, oddalając od nas śmiertelne żniwo, mniejsza więc o kilka zagonów pszenicy czy żyta. Nie ma dymu bez ognia...

Jednak mimo wszystko zarządził wielkie modły zbiorowe. Nawet najstarsi nie pamiętali, żeby Wielki Tydzień był kiedykolwiek taki żarliwy... i taki mokry.

Większość mieszkańców, kiedy nie modliła się lub nie podsycala ognisk, spędzała czas na wypatrywaniu proporców hrabiego Armaniaka. Lecz horyzont niezmiennie pozostawał pusty.

Kiedy minął tydzień od wyruszenia Jeanneta z posłaniem, mieszkańcy Montsalvy zaczęli podejrzewać, że posłańcowi stało się coś złego. Ich złe przeczucia potwierdziły się w nieoczekiwany sposób.

Wielkanoc 8 kwietnia wstała z trudem, zalana deszczem, jak wiele poprzednich dni. Niebo wisiało nisko i zdawało się, że słońce opuściło ziemię na zawsze.

Katarzyna, podobnie jak inni, wstała z łóżka wraz ze świtem, by oddać cześć Zmartwychwstaniu Pana. O świętowaniu oczywiście nie mogło być mowy. Przeor miał jednak odprawić uroczystą sumę, po której mieszczanie i uciekinierzy mieli zostać przyjęci w zamku na uroczystym posiłku.

Przygotowaniami zajęły się Sara, Donatka i Maria, które od świtu krzątały się w olbrzymiej zamkowej kuchni, jak za dawnych, dobrych czasów.

Katarzyna miała właśnie do nich dołączyć, kiedy zauważyła biegnącego w jej stronę co tchu Saturnina. On, zawsze taki poważny, w tej chwili zdawał się nieomalże wesoły. Według niego wiadomość, którą przynosił, była najlepszym prezentem wielkanocnym.

– Czyżby wreszcie nadciągała pomoc?

– Tak! Lecz nie ta, na którą czekaliśmy, pani Katarzyno. W każdym razie pomoc!

Istotnie, przed jedną z bram mały oddział starał się przedrzeć przez linię wroga, chcąc dotrzeć do zamku.

– Ilu ich jest?

– Wydaje się, że około dwudziestu. Nie mają żadnego znaku szczególnego, ale biją się dzielnie. Mikołaj czeka na twój rozkaz, pani, by podnieść kratę.

– Idę z tobą! Nie ma czasu do stracenia. Chyba że... Kasztelanka zachowała dla siebie dalszy ciąg swej myśli, która mogłaby zgasić radość starca.

Bérault d'Apchier był szczwanym lisem. Kto mógł wiedzieć, czy ta mała grupa, bez znaku szczególnego, lecz „bijąca się dobrze”, nie była pułapką i sposobem na otwarcie bram miasta? Pobiegła jednak do bramy, pod którą istotnie wrzała walka. Dwudziestka jeźdźców, uzbrojonych jak popadło, przedarła się przez ludzi Apchiera, zaskoczonych niespodziewanym atakiem, i skierowała w stronę miasta.

– Kim jesteście? – krzyknęła z murów Katarzyna.

– Otwórzcie, na Boga! – odparł ledwo dysząc czyjś znajomy głos. – To ja, Bérenger!

Głos ten dobywał się z wnętrza zadziwiającej kompozycji różnych części zbroi, miotającej pośrodku zawieruchy ogromnym toporem i kręcącej nim diabelskie młynki, niebezpieczne zarówno dla nieprzyjaciela, jak i dla swoich towarzyszy. Wojak ten rozdzielał na oślepie ciosy, czyniące zdecydowanie większy honor jego dobrej woli niżli doświadczeniu. Na dźwięk znajomego głosu serce Katarzyny zadrżało radośnie.

Zanim jednak zdążyła wydać rozkazy, Mikołaj Barral i dwaj jego ludzie chwycili za kołowroty, podnieśli bramę i spuścili zwodzony most, a tymczasem łucznicy zasypali zbójników deszczem strzał.

Wejście Bérengera i jego kompanów odbyło się tak szybko, że ledwo most zadrżał pod końskimi kopytami, a natychmiast został podniesiony, zaś na olbrzymie, dębowe deski posypały się strzały i pociski z kuszy. Po chwili paż, zdejmując z głowy o wiele za duży jak dla niego hełm, z okropnym łoskotem swej fantazyjnej zbroi zeskoczył z konia prosto w objęcia sierżanta.

– Na rany Chrystusa, mój chłopcze! – ryknął Mikołaj. – Ależ z ciebie groźny wojak! Jakiś ty błąd po tej zaciętej potyczce!

– Jeszcze nigdy w życiu nie miałem takiego pietra! – wyznał paż, szczękając zębami. – Pani! Co za radość ujrzeć cię znowu! – dodał, starając się na próżno zgiąć pokrywające go żelastwo, by skłonić się przed Katarzyną. – Przybyłem tak szybko, jak się dało, ale ciągle napotykałem przeszkody. Mam nadzieję, że nie ucierpieliście dotąd zbytnio?

– Nie, Bérenger, wszystko w porządku... lub raczej prawie w porządku. Lecz ty, mój chłopcze, skąd przybywasz?

– Od matki, która serdecznie cię pozdrawia i modli się za ciebie... a także z Carlat...

– Z Carlat? A ci ludzie? – spytała wskazując na jego towarzyszy zsiadających z koni.

– Oni są z Carlat. To wszystko, co gubernator mógł ci przysłać. A to dlatego, że hrabina Eleonora wyjechała do Tours, gdzie trwają już przygotowania do ślubu delfina z Małgorzatą Szkocką. Wolał też, by nie nosili znaków herbowych, po których wściekłe psy domyśliłyby się, że twierdza Carlat jest gorzej strzeżona.

Spośród nowo przybyłych wysunął się człowiek wyglądający na dowódcę i stanąwszy przed Katarzyną ukląkł na jedno kolano, by w ten sposób okazać, że on i jego ludzie są gotowi umrzeć dla niej. Katarzyna zamiast podziękować uśmiechnęła się blade.

Zawód był zbyt mocny: dwudziestu ludzi, kiedy ona liczyła na co najmniej dwie setki. Przy pomocy tak szczupłych sił nie uda się jej odeprzeć wroga.

Niepokój i zmieszanie na jej twarzy były tak widoczne, że Barral, obawiając się, jaki wpływ wywrze to na ludzi, którzy zbiegli się zaciekawieni zamieszaniem, pośpiesznie wkroczył do akcji.

– Trzeba przybyszy zaprowadzić do zamku, pani Katarzyno, pozwolić im odpocząć i posilić się. Anim się spodziewał, że z ciebie taki chojrak! – krzyknął rubasznie, waląc Bérengera po plecach z taką siłą, że ten aż się zakrztusił. Po czym dodał ciszej: – Lepiej, żeby nowina nie rozeszła się zbyt szybko. Na razie należy powiadomić tylko radę... i przeora.

Ten zresztą właśnie nadchodził, radośnie rozchlapując kałuże i nie troszcząc się o swój odświętny habit.

Wtajemniczony w sytuację, wszedł bez wahania do gry i głośno wyraził radość z powrotu pazia. Następnie skierował wszystkich w stronę zamku, oznajmiając, że po mszy rada zbierze się wyjątkowo w sali kapitulnej klasztoru.

Mikołaj Barral zajął się zakwaterowaniem nowych ludzi, a Katarzyna zabrała Bérengera do zamku i oddała go w ręce Sary.

Bohater dnia został zaprowadzony do łaźni, rozebrany, wykąpany, oczyszczony zgrzeblem, wysuszony i rozciągnięty na szerokiej płycie kamiennej serdecznie wymasowany przez Sarę we własnej osobie, która nie żałowała młodzieńcowi aromatycznych olejków. Wszystko odbyło się zgodnie ze średniowiecznym zwyczajem, według którego kobiety dokonywały ablucji pana domu, jego syna i najważniejszych oficerów. Ażeby uhonorować gościa, także powierzano go zabiegom kosmetycznym dam.

Katarzyna zaś siedziała obok na taborecie, obejmując rękami kolana, i słuchała opowieści pazia, przerywanej często jękami bólu ofiary dręczonej silnymi dłońmi Sary.

Otóż Bérenger wracał powoli z „wędkowania” przez las, kiedy usłyszał dzwony i domyślił się, że w zamku stało się coś dziwnego. Zbliżając się do miasta, zauważył postacie przemykające się do zamkniętej bramy. Wtedy postanowił obejść miasto dookoła, zobaczył obóz rozbójników i słyszał groźby rzucane przez ich herszta.

– Schowałem się w ruinach Puy de l’Arbre, skąd mogłem obserwować, co się dzieje w obozie wroga... i na swoje nieszczęście widziałem, jak dręczyli mnicha. Tak mnie to przeraziło, że uciekłem z tego miejsca jak najdalej. Moi bracia spaliliby się ze wstydu, gdyby mnie widzieli.

– Przeciwnie, gdyby przed chwilą widzieli, jak dzielnie sobie poczynasz, byłiby z ciebie dumni. Walczyłeś jak lew!

– Przestań no jęczeć, bohaterze! Czy to kto kiedy widział rycerza o tak delikatnej skórze?

– Ty mnie nie masujesz, Saro, ty mnie urabiasz jak zaprawę murarską! Ale, o czym to ja mówiłem? Właśnie! Uciekłem. Przez cały dzień chowałem się po lasach, czekając, aż zapadnie noc. Przyszła mi do głowy myśl, by odszukać podziemne przejście i w ten sposób wrócić do zamku.

– Podziemia? – spytała ze zdziwieniem Katarzyna. – A więc wiedziałeś o ich istnieniu?

Bérenger posłał jej uśmiech na wpół nieśmiały, na wpół skruszony, gdy tymczasem Sara zawinęła go w wielki kawałek cienkiego płótna, by usunąć z jego skóry nadmiar olejku.

– W naszym zamku jest podobne przejście. Nietrudno było je znaleźć

schodząc do piwnic w wieży. Czasem też strażnicy pozwalali mi wyjść tamtędy z zamku...

– Żeby pójść w nocy na ryby! – uzupełniła bezlitośnie Sara. – Pan, panie Bérenger, brałeś nas za głupków, wyobrażając sobie, że twoje nocne wypadki pozostają nie zauważone!

– Przestań, Saro! – przerwała Katarzyna. – Nie pora, by mu to wypominać. Kontynuuj, Bérenger. Dlaczego więc nie wróciłeś do zamku?

– Kiedy się zbliżyłem, była ciemna noc. Miejsce wydawało się bezludne, lecz przez ostrożność posuwałem się krok po kroku, starając się nie opuszczać krzaków. Wtedy usłyszałem nie opodal jakieś męskie głosy. Jeden z nich niecierpliwym się tak długim oczekiwaniem. Wtedy drugi mu odpowiedział: „Cierpliwości! Jeszcze trochę! Doniesiono mi, że na pewno tej nocy wyślą nowego posłańca przejściem podziemnym”.

Obydwie kobiety, które go słuchały, krzyknęły jednocześnie:

– Doniesiono? Kto mógł donieść?

– Nie dowiedziałem się nic więcej. Trzeci głos kazał im milczeć. Nastąpiła cisza, więc i ja się skuliłem i czekałem. Mimo że wstrzymywałem oddech, moje serce waliło tak mocno, że zdawało mi się, iż w całym lesie je słychać. Jednocześnie gorączkowo szukałem sposobu, by ostrzec człowieka mającego wyjść z podziemia. Wszystko jednak rozwiązało się zbyt szybko, szybciej, niż się spodziewałem. Jakaś postać ukazała się wśród skał maskujących wyjście z podziemia. Zobaczyłem tylko, jak poruszyły się krzaki i jakiś cień zrobił ostrożnie dwa lub trzy kroki. Nieszczęśnik nie zdążył jednak zrobić następnego: ukryci mężczyźni z okrzykiem zwycięstwa rzucili się na niego i pojmali...

– Zabili go?

– Nie. Związali i zakneblowali. Kilka chwil później zobaczyłem, jak śmiejąc się i żartując, odeszli z długą, mocno związaną paczką na plecach. Kiedy przechodzili nie opodal skały, za którą byłem ukryty, udało mi się rozpoznać ich przewodnika. To był...

– Gerwazy, oczywiście! – krzyknęła Sara. – Przeklęte plemię! Tylko on mógł wiedzieć o istnieniu podziemnego przejścia!

– Tylko on? – przerwała Katarzyna sceptycznie. – Okazuje się, że coraz więcej ludzi wie o naszym tajemnym przejściu: począwszy od Gauberty, która mówiła o nim głośno przy studni, aż do tego podłego Gerwazego, któremu, biję się w piersi, sama nieopatrznie darowałam życie... Niekiedy pobłażliwość bywa zbrodnią... Lecz powiedz, co stało się potem, Bérenger?

– Pobiegłem do matki po pomoc i radę. To mądra i doświadczona kobieta i... kocha cię, pani. Kiedy dowiedziała się o twoim położeniu, ogarnęła ją wściekłość i rozpacz zarazem, gdyż moi bracia pozostawili w Roquemaurel tylko pięciu niezdatnych do niczego ludzi i pokojówki. Wszyscy pozostali ruszyli na Paryż, by szukać sławy. Sława!... Przepraszam za wyrażenie. Wielu z nich nie powróci, a wśród tych, którzy powrócą, będą kaleki bez rąk, bez nóg, bez oczu, inni stracą...

– Bérenger! – przerwała kasztelanka. – Wiem od dawna, co myślisz o wojnach, lecz to, co mnie obchodzi w tej chwili, to zakończenie twojej przygody. Potem będziemy mieć dosyć czasu na dywagacje.

Paź, któremu Sara właśnie włożyła na długie, chude nogi o wielkich stopach obcisłe, zielonoczarne getry, poczerwieniał jak piwonia i posłał

kasztelance zawstydzone spojrzenie.

– Przebacz, pani, zapominam, jak pilno ci dowiedzieć się reszty. Otóż moja matka rzekła: „Pani Katarzyna i przeor Bernard zapewne wysłali posłańca do Carlat. Ponieważ nigdy biedak tam nie dotrze, ty mój Bérengerze musisz go zastąpić! I postaraj się, do diabła, choć raz nie splamić honoru rodziny!” Po czym wręczyła mi zawiniątko, do którego włożyła bochenek chleba, polec słoniny i manierkę wina. Dostałem też jednego z dwóch koni pociągowych, jakie jeszcze jej zostały, i błogosławieństwo na drogę. Koń dostał podwójną rację owsa, kłaśnięcie w zad i ruszyliśmy... Okrężną drogą dotarłem do Carlat, gdzie zastałem taką sytuację, jak już mówiłem...

Zapadła cisza, której ani Katarzyna, ani paż nie starali się przerwać. Umysły obu kobiet zaś prześladowało jedno pytanie: kto w Montsalvy był zdrajcą i donosił Gerwazemu Malfratowi?

– To może być tylko dziewczyna! – stwierdziła wreszcie Sara i nie ukrywając pogardy dodała: – One wszystkie szaleją za nim!

„Dziewczyna? Może kobieta...” – Katarzyna starała się odszukać w pamięci jakąś twarz czy choćby imię, które kojarzyłoby się z Gerwazym, w chwili kiedy go wyгнаła. Nie znalazła jednak nic oprócz wspomnienia biednej Bertylki. A należało za wszelką cenę znaleźć tę parszywą owcę. Kto to mógł być? Przecież znała osobiście tych wszystkich ludzi.

Małe miasto jest jak duża rodzina, kiedy pan kocha na tyle swoich poddanych, by nie przywiązywać wagi do zachowania dystansu. A wśród tych wszystkich poczciwych ludzi byli i raptownicy, i uparciuchy, i mściwi, i tępaki, lecz żaden nie byłby zdolny do takiej podłości. Wszyscy byli prawi, uczciwi, a ich serca były czyste tak jak ich odświętne stroje, które pomimo obłęzenia dzisiaj przywdziali.

A jednak był wśród nich ktoś...

Na naradzie, która odbyła się w wielkiej sali kapitulnej, opowieść pazia została powitana śmiertelną ciszą. We wszystkich oczach można było wyczytać jedną myśl: zdrajca był wśród nich!

– Jest pewien sposób... – przerwała pełną napięcia i niepokoju ciszę Katarzyna. Wszystkie oczy skierowały się w jej stronę, czekając w napięciu na dalszy ciąg. – Trzeba rozpuścić wieść, że naszym zamiarem jest wysłać kolejnego posłańca podziemnym przejściem. Zataimy, że wiadomo nam, co stało się z biednym Jeannetem. Powiemy więc, że nie mogąc się doczekać pomocy, wysyłamy posłańca do Carlat, by prosić o nią hrabinę Eleonorę. I którejs nocy wyślemy posłańca śladem Jeanneta, ale nie samego... Damy mu silną eskortę.

– Nie wiem, do czego zmierzasz, pani? – wtrącił przeor.

– Otóż Bérault, tak jak tamtej nocy, wyśle ludzi, by schwytali naszego nowego posłańca – ciągnęła Katarzyna. – Według opowieści Bérengera, do pojmania Jeanneta Apchier wysłał czterech ludzi, w tym Gerwazego. Nasz posłaniec posłuży jako przynęta. Kiedy ludzie Béraulta pojną go, nasi wpadną im na kark, uważając, by nie zabić żadnego. Muszę ich dostać żywcem, a zwłaszcza Gerwazego Malfrata!

– A co uczynisz z jego ludźmi?

– Każę powiesić Gerwazego! – krzyknął Marcin. – A katem mogą być ja!

– Być może! Lecz najpierw zmuszę ich do mówienia! Wszelkimi

środkami!

Słowa Katarzyny cięły powietrze z precyzją strzały, odbijając się takim groźnym echem pod sklepieniami, że poddani spojrzeli na swą kasztelanę z oniemieniem. Stała przed nimi prosta i cienka jak ostrze szpady, i także sztywna. Nagle odnieśli wrażenie, że jeszcze nigdy nie widzieli jej takiej, być może dlatego, że w jej zazwyczaj łagodnym spojrzeniu nigdy nie było ani takiej dzikości, ani takiej nieugiętości.

Oznajmiała bowiem decyzję, której nic ani nikt nie zdoła zmienić.

– Wszelkimi środkami – powtórzył przeor z lekkim niedowierzaniem. Katarzyna gwałtownie odwróciła się w jego stronę. Jej policzki płonęły. Usta były twardo zaciśnięte.

– Tak, ojcze! Wszelkimi! Łącznie z torturą! I błagam cię, nie patrz tak na mnie! Wiem, co myślisz. Jestem niewiastą i okrucieństwo nie przystoi mojemu stanowi. Nienawidzę go. Lecz pomyśl, że za wszelką cenę muszę dowiedzieć się dwóch rzeczy, ponieważ życie nas wszystkich od nich właśnie zależy: imienia żmii kryjącej się wśród nas... i co właściwie zagraża memu mężowi.

– Czy sądzisz, że uda ci się dowiedzieć tego wszystkiego od schwytyanych ludzi?

– Tak! Zwłaszcza od Gerwazego! Wkradł się w łaski Béraulta i zna wszystkie jego sekrety. Jeśli więc kierował akcją pojmania pierwszego posłańca, z pewnością będzie kierował akcją pojmania drugiego. Muszę dostać tego łotra, gdyż on jest przyczyną wszystkich naszych nieszczęść. Lecz tym razem, wasza wielebność, wiedz, że nie będzie mógł liczyć ani na moją łaskę, ani na litość czy współczucie!

Ostatnie słowa Katarzyny przywitała burza oklasków. W twardej mowie kasztelanek notable z Montsalvy odnajdywali echo władczego tonu pana Arnolda. Spodziewali się zwykłej kobiecej nieśmiałości, uczuciowości i niezdecydowania, tymczasem ona przemawiała jak dowódca, byli więc gotowi pójść za nią aż na koniec świata.

W porywie wdzięczności Marcin Cairou rzucił się do jej stóp ze łzami w oczach, ciskając jednocześnie błyskawice; chwycił gronostajowy rąbek jej sukni i przywarł do niego ustami.

– Pani! – krzyknął – kiedy schwytemy tego przeklętego syna, nie będziesz musiała daleko szukać kata. Ja się tym zajmę i przysięgam na pamięć o moim dziecku, że przemówi!

– Nie, Marcinie, nie ciebie poproszę o tę przysługę. Prześladowca nie jest dobrym mścicielem. Mściciel musi być zimny, obojętny. W tobie jest zbyt wiele nienawiści. Mógłbyś go zabić.

– Nie... Przysięgam, nie!

– A zresztą... Jeśli jest takim niegodziwcem, jak sądzę, to myślę, że nie będziemy musieli uciekać się do tej ostateczności. Tym razem dopilnuję, by sprawiedliwości stało się zadość. Zostanie powieszony... A ty, ojcze, będziesz mógł być obecny przy egzekucji. A teraz, drodzy przyjaciele, musimy ustalić szczegóły naszego planu.

Narada trwała długo i kiedy późno w nocy notable opuścili wielką komnatę, Katarzyna została sama z przeorem w opustoszałej sali. Święty mąż westchnął głęboko, wstał z krzesła i wsunawszy ręce w szerokie rękawy podszedł wolnym krokiem do kasztelanek. Katarzyna domyślała się, co ma jej do

powiedzenia, lecz oczekiwała ataku z mocnym postanowieniem, że nie da zwieść się z obranej drogi.

– Wypowiedziałaś, pani, niebezpieczne słowa. Czy sądzisz, że dobrze czynisz podburzając ludzi do gwałtu?

– To nie ja, ojczy, wybrałam drogę gwałtu: to nasi agresorzy. Jaką tedy broń zgodną z prawem Chrystusa możesz nam zaproponować, skoro zdrajca jest wśród nas, skoro nieprzyjaciół zna nasze tajemnice i nasze posunięcia, kiedy tylko je podejmiemy? Gdyby przejście podziemne nie było tak trudno dostępne, Bérault, dzięki temu nędznikowi, który go informuje, już dawno byłby tutaj, w sercu naszego miasta! Czy wmówisz mi, że nie użyłby przemocy i że powitałby nas liliami i gałązkami oliwnymi?

– Wiem, pani, że masz rację... lecz ta broń, to straszna broń... Szubienica... Tortury... Czy godzi się, by białogłowa ich używała?

Katarzyna wyprostowała się dumnie. W swoim długim fioletowym stroiku zdobiącym złote sploty wydawała się jeszcze wyższa.

– W tej chwili, przeorze, nie jestem kobietą! Jestem panią na Montsalvy, jego obrońcą i gwarantem. Atakują mnie, to się bronię! Co zrobiłby pan Arnold, według ojca, gdyby znalazł się w naszym położeniu?

Zaległa chwila ciszy, po czym przeor zaśmiał się gorzko, wzruszył ramionami i odwrócił głowę.

– Wiem... Postąpiłby o wiele gorzej! Lecz on to on... a ty, pani, to ty!

– Nie! – krzyknęła mocnym głosem, w którym zabrzmiała cała jej pasja. – Stanowimy jedno! I ty o tym wiesz lepiej niż ktokolwiek. Tak więc, przeorze, zapomnij o pani Katarzynie i pozwól działać Arnoldowi de Montsalvy!

Jej dumne wyznanie wiary, jej krzyk miłości oznajmiający z mocą bliską rozpaczki jedność z kochanym mężczyzną, dla której, począwszy od dnia, w którym spotkała go po raz pierwszy, walczyła do granic możliwości, brzmiały w głębi jej jestestwa jeszcze późno w noc, kiedy udawała się na zasłużony spoczynek.

Była zmęczona i zmartwiona zarazem, gdyż podejmując tak poważną decyzję prawie wbrew woli przeora, brała na swoje barki przytłaczający ciężar odpowiedzialności. Lecz Arnold nie uznawał ustępstw i nawet podczas jego nieobecności należało respektować tę zasadę.

Wraz z nadejściem nocy ustał deszcz, lecz jego miejsce zajął lodowaty wiatr wdzierający się w rzędy hurdydycji i przeganiający chmury jak przerażone stado smagane biczem oszalałego pastuszka. Tej nocy z pewnością mróz dokończy dzieła zniszczenia po deszczach. Po odparciu wroga trzeba będzie napisać szybko do Bourges i powiadomić Jakuba Serce o ciężkiej sytuacji, by zamienił na zboże, pasze, wino, sól i na wszystko, czego może zabraknąć przyszłej zimy, daninę, jaką płacił ciągle pani de Montsalvy za to, że wyciągnęła go z biedy po zatopieniu jego statku.

Jakub z łatwością zrozumie, że rezygnuje ze złota, z cennych przypraw i jedwabi, kiedy nie ma co jeść. Najtrudniej będzie znaleźć zboże, którego w całej Francji było jak na lekarstwo...

Zajęta swymi myślami weszła na ciemne schody prowadzące do wieży. Nagle poczuła obok siebie czyjąś obecność. Myśląc, że to jeden z żołnierzy schował się przed wiatrem, odwróciła głowę, by rzucić mu „dobranoc”. W tym momencie ktoś chwycił ją za ramiona i zaczął popychać do przodu. Z

przerażeniem dostrzegła, że w jednym machikule została zdjęta podłoga. Pod jej stopami widniał wielki otwór ziejący wilgocią fosy, otwór, do którego niewidzialny człowiek popychał ją bezlitośnie. Zaczęła krzyczeć:

– Na pomoc!... Na pooooo...

Dłonie zacisnęły się kurczowo. Katarzyna próbowała w panice ucześcić się czegoś, lecz ręce ześlizgnęły się po kamieniu, a brutalny cios napastnika powalił ją na ziemię.

Na szczęście upadła w poprzek machikułu i jej uda, brzuch i piersi zawisły w próżni, lecz rękoma udało się ucześcić desek. Znowu zawyła, podczas gdy napastnik kopał ją po plecach i nerkach, by wepchnąć ją do dziury. Na szczęście usłyszano jej krzyki i już dało się słyszeć, że ktoś nadbiegał. Napastnik przestał atakować, a w ciemności zamajaczył blask łuczywa.

– Pani Katarzyno! – krzyczał stary Donat de Galauba, który nadciągał w towarzystwie dwóch innych ludzi. – Co się stało?

Pochylił się, by podnieść Katarzynę, która traciła siłę w rękach.

– Uwaga! – ostrzegł jeden z ludzi – machikuł jest pod nią otwarty!

Może wpaść do fosy!

– Szybciej! – jęknęła. – Spadam!...

Donat szybko chwycił Katarzynę w pasie, a drugi ucześcił się jego paska, by oboje nie wpadli do dziury, po czym wspólnymi siłami wyciągnęli kasztelanę i ułożyli ostrożnie na posadzce.

Była blada jak kreda, a w jej spojrzeniu widoczne było bezgraniczne przerażenie.

__Był tam... schowany we wnęce przy schodach. Rzucił się na mnie od tyłu...

– Kto to był? Widziałaś go, pani?

– Nie, nie rozpoznałam go. Chciał zepchnąć mnie do fosy, lecz pan Bóg pozwolił, bym mogła ucześcić się desek... Wtedy zaczął mnie okładać...

Donat ujął jej mokrą i czerwoną od krwi rękę.

__jesteś pani ranna! Muszę natychmiast zanieść cię do zamku. Sara się tobą zaopiekuje.

Katarzyna pokręciła głową z ożywieniem.

– Ranna... Nie zauważyłam. To nic poważnego. A ty biegnij szybko za tym człowiekiem! Zostaw mnie tutaj, Donacie!

– Ludzie, którzy przybyli tu ze mną, już ruszyli jego śladem! Leż spokojnie pani!

Jednak strach złamał jej nerwy. Jęcząc chwyciła kurczowo starego za ramiona.

__Muszę wiedzieć... Muszę się dowiedzieć, kto chciał... Ktoś mnie nienawidzi, Donacie... Ktoś mnie nienawidzi i muszę się dowiedzieć...

Łagodnie, jak dobry ojciec, pogładził ją po mokrym od potu czole.

– Nikt cię tutaj nie nienawidzi, pani. Wiemy, że jest wśród nas zdrajca. Ze zdrajcy zamienić się w mordercę droga niedaleka. Ale nie martw się, znajdziemy go...

Łatwiej było powiedzieć, niż zrobić, gdyż żołnierze wrócili z nietęgimi minami. Okazało się, że schody prowadzą do wąskiej i ciemnej uliczki otaczającej opactwo. Cały teren o tej porze był bezludny i nietrudno było się ukryć w ciemnościach. Żołnierze roznieśli wieść o napadzie na kasztelanę, tak

że tłumek ludzi zaniósł ją do zamku, oddał pod opiekę Donatki i Sary, które pośpiesznie ułożyły ją w łóżku.

W rękach Sary szybko przyszła do siebie. Ochmistrzyni po oczyszczeniu rany na ramieniu przyłożyła jej kataplazm z liści babki lancetowatej. Na szczęście rana nie była głęboka. Fałdy wielkiej, czarnej peleryny okrywającej kasztelankę nie pozwoliły napastnikowi zadać zbyt mocnego ciosu. Najwidoczniej chciał, by śmierć kasztelanki wyglądała na wypadek.

Otworzywszy oczy ujrzała wokół siebie trzy twarze: Donatki, Sary i Marii, które stały u wezglowia, wyglądając jak trzy alegorie trzech wieków życia. Aby je uspokoić, Katarzyna próbowała się uśmiechnąć. Uniosła się na poduszkach i spojrzała kolejno na trzy pary wpatrzonych w nią oczu:

– Musicie mi obiecać, że gdyby przytrafiło mi się coś złego... Nie, nie! Nie zaprzeczajcie: wszystko może się zdarzyć. Możliwe, że mój napastnik powtórzy swoją próbę, jeśli będzie miał czas...

– Nie zdąży! – zaprotestowała żywo Maria. – Josse przeczesuje miasto, wypytuje ludzi. Kiedy przed chwilą zobaczył, jak cię niosą, mało nie oszalał. „Przysięgłem panu Arnoldowi na własne życie, że nic złego nie przytrafi się pani Katarzynie ani dzieciom w czasie jego nieobecności – powtarzał chwytając się za głowę. – Gdyby mordercy się udało, chyba skończyłbym ze sobą!...”

– To byłaby ostatnia rzecz do zrobienia po mojej śmierci – odparła surowo Katarzyna. – Wtedy Michał i Izabelka potrzebowaliby obrońcy! Właśnie o tym chciałam mówić. Obiecujcie mi, że jeśli umrę, uratujecie moje dzieci wszelkimi sposobami. Ukryjcie je wśród innych dzieci, żeby nie wpadły w szpony Béraulta. Ukryjcie je u Gauberty! Jest mi oddana, a sama ma dziesięcioro: dwojga więcej nie będzie widać. Kiedy powróci spokój, zaprowadźcie je do Angers, do królowej Yolandy, która wychowa je zgodnie z tradycją, zapewni im ich prawa... pomści rodziców... Przysięgnijcie!

Stara Donatka i Maria podniosły dłonie, lecz Sara zrobiła kilka nerwowych kroków po pokoju. Cała poczerwieniała na twarzy, a jej oczy ciskały błyskawice zmieszane ze łzami.

– Jeszcze nie umarłaś, jeśli się nie mylę! – krzyknęła gniewnie. – A przy tym dyktujesz nam tu twoją ostatnią wolę, jakbyśmy były tępe na umyśle. Myślisz, że potrzebne nam przysięgi, żeby spełnić swój obowiązek, na wypadek gdybyś...

Nagle zamilkła w pół słowa, spojrzała na Katarzynę oczami pełnymi łez i jak wielki, czarny ptak upadła przy łóżku ukrywszy twarz w pościeli.

– Zabraniam ci mówić o śmierci! – szlochała. – Zabraniam! Gdybyś umarła... czy sądzisz, że twoja stara Sara mogłaby cieszyć się słońcem, podczas gdy ty odeszłabyś w wieczny mrok? Wiesz, że nie mogłabym... Nie prosz więc, bym przysięgała... bo nie mogłabym dochować przysięgi.

Szloch wstrząsał jej piersią i Katarzyna, wzruszona ogromem rozpacz starej przyjaciółki, przytuliła jej głowę do piersi i pogłaskała jak dziecko. Nie mogła mówić, gdyż wzruszenie ścisnęło ją za gardło.

Od wielu lat Sara była dla niej jak druga matka. Dzielila z nią złe i dobre chwile i wiele razy narażała życie dla tej, którą nazywała własnym dzieckiem. Czasem nawet Katarzyna myślała, że ta córka bohemy spotkana na Dziedzińcu Cudów zajmowała w jej sercu więcej miejsca niż własna matka, żyjąca z dala od niej na burgundzkiej ziemi. Trochę się tego wstydziła, lecz wiedziała od dawna,

że serce nie służy i nie zawsze bije tam, gdzie powinno...

Kiedy w jakiś czas później do komnaty wszedł Josse, zastał całe damskie towarzystwo szlochające jak bobry. Spojrzał na cztery zasmarkane kobiety, po czym położył dłoń na ramieniu Marii, pokłonił się swej pani, która łagodnie odsunęła Sarę, czekając na wiadomości.

– Zdaje się, pani, że miałaś do czynienia z duchem, który potrafi rozplątać się w powietrzu. Nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał. Ten ktoś musi być diabelsko zręczny. Albo... ma współników!

Współników? Całkiem możliwe... Kto mógłby zapewnić, że napastnik i zdrajca to ta sama osoba? Wszyscy przypuszczali, że zdrajcą jest kobieta. Razem stanowiliby dwóch wrogów, tym bardziej niebezpiecznych, gdyż cieszących się zaufaniem...

Josse zbliżył się do łóżka i by przywrócić swą panią do rzeczywistości, położył delikatnie palce na zaciśniętej na pościeli pięści. Otworzyła oczy.

– Słucham, Josse?

– Pani jest zmęczona, przepraszam, ale Mikołaj chciałby wiedzieć, czy podjęta decyzja obowiązuje i czy nadal jesteś zdecydowana...

– Bardziej niż kiedykolwiek! Zrobimy to jutro o zmierzchu. Znajdź mi człowieka, który potrafi... zmusić do mówienia tego, którego chcemy schwytać. Tylko nie Marcina Cairou. On go zbyt nienawidzi. Ja będę czekała na wynik ekspedycji w komnacie na dole wieży: chcę, by informowano mnie natychmiast.

– W wieży? A czy będziesz mogła już jutro wstać z łóżka? Gniewne błyski w oczach kasztelanki zajęły miejsce łez. Gorączka zabarwiła jej blade policzki na czerwono, lecz w spojrzeniu rzuconym intendentowi była nieugięta wola, która czyniła wszelką dyskusję niepotrzebną.

Josse Rallard, widząc, co się święci, zamilkł i zginając się w ukłonie wyszedł z pokoju.

Rozdział czwarty

ROBACZYWY OWOC

– Słodka pani... – ośmielił się Bérenger – nie powinnaś tu przebywać. Tu jest zbyt zimno i wilgotno, a ty jesteś cierpiąca. Popatrz: twoje ręce drżą...

Ubrana w grubą, welurową suknię i pelisę z popielic Katarzyna szczękała zębami. Jej czerwone policzki i zbyt błyszczące oczy zdradzały gorączkę, lecz ona uparła się, by siedzieć w tej sali o niskich, ciężkich sklepieniach, w której panował przenikliwy ziąb pomimo rozpalonego do białości kosza żarowego stojącego przy taborecie, na którym siedziała.

Pomieszczenie sprawiało ponure wrażenie. Znajdowało się w podziemiu wieży i prowadziło dwoma korytarzami do zamkowego więzienia. Do tej pory służyło ono do przechowywania kadzi z solonym mięsem i rybami oraz beczek z winem, gdyż będąc wydrążone w skale stanowiło doskonale piwnice.

Katarzyna kazała je wybudować wbrew sobie, lecz w każdym szanującym się zamku musiały się znajdować pomieszczenia sprawiedliwości.

Pośrodku sali, pod sklepieniem ozdobionym kwiatonami, z którego zwisał żelazny pierścień, otwarto szeroki właz, ukazujący pierwsze szczeble ginącej w mroku drabiny. Drabina ta powinna prowadzić do lochów, w rzeczywistości jednak stanowiła początek tajemnego przejścia podziemnego, które zostało wybudowane w miejscu dawnego podziemnego strumienia. Broniły go potężne, żelazne kraty i żołnierze trzymający przy nim straż w dzień i w noc, na wypadek gdyby nieprzyjaciel odkrył ukryte wejście.

Tej nocy kasztelanka i jej paż byli sami pośrodku głębokiej ciszy Przerzywanej jedynie trzaskaniem ognia i zduszonym oddechem pazia.

Minęło już około godziny od chwili, kiedy Josse, który wziął na siebie niebezpieczne zadanie posłańca, powiodł grupę ludzi podziemnym przejściem. Zaprowadził ich doń Mikołaj Barral, uzbroiwszy jak najlepiej, lecz tak, by nie czynili najmniejszego hałasu. Oprócz Mikołaja i jego dwóch ludzi wyprawa składała się z dwóch braci Malvezinów, Jakuba i Martiala, Wilhelma Bastida, który był silny jak tur, i olbrzymiego Antoniego Couderca, kowala. Wszyscy mieli topory i sztylety. Jedynie Antoni uzbrojony był w ciężki młot kowalski.

– Nie umiem władać bronią, lecz możecie mi wierzyć, że tym potrafię wywijać! – wyjaśnił. – Mam zamiar rozbić parę tych zakutych łbów! To będzie już przynajmniej jakieś pocieszenie za nasze ofiary!

Tego bowiem dnia o świcie Bérault przypuścił morderczy atak na miasto. Rozbójnicy, rozjuszeni długim oczekiwaniem w deszczu i słońcu, rzucili się z taką wściekłością do drabin, że z wielkim trudem przyszło odpierać ich natarcie. Prawie zdobyli barbakan bramy Aurillac, lecz Donat de Galauba widząc niebezpieczeństwo rzucił się w wir walki wraz z chmarą chłopców stajennych, z których od początku oblężenia starał się zrobić żołnierzy. Idąc za przykładem starego wiarusa, chłopcy dokonywali cudów, lecz trzech z nich padło w boju, a sam Donat, z gardłem przeszytym strzałą z kuszy, w ogniu walki zakończył pełne honoru życie poświęcone rodowi de Montsalvy. Leżał teraz sztywny w swojej starej zbroi pośrodku honorowej sali zamku, złożony na chorągwi

Montsalvy, której zawsze dzielnie bronił.

Katarzyna osobiście włożyła w splecione dłonie zmarłego jego wielką szpadę, a u stóp Donata na aksamitnej poduszce złożyła jego rycerskie rękawice i złote ostrogi.

Zapłakała nad starym sługą, który umarł dla niej. Łzy i żal wzmogły jej gniew i nienawiść. Ze zniecierpliwieniem dała rozkaz do wymarszu.

– Potrzebuję jeńców! – rzuciła do Mikołaja. – A przynajmniej tego jednego!

Teraz czekała walcząc z gorączką i słabością.

– O Boże, jak to długo trwa... – wyszeptała. – Oby tylko nic złego im się nie stało!

Paż, który wstrzymywał oddech, by nie przerwać myśli swej pani, wreszcie zdobył się na odwagę.

– Czy chcesz pani, bym poszedł zobaczyć? Mógłbym dotrzeć do wejścia i posłuchać, czy nie wracają.

Uśmiechnęła się do młodziana, wiedząc, ile kosztuje jego wrodzoną ostrożność ten akt odwagi.

– Nie, nie trzeba Bérenger. Tam jest tak ciemno, że mógłbyś skrócić kark.

– Wziąłbym jedno z naszych łuczyw...

– Nie, siedź spokojnie! Twoje miejsce jest przy mnie. Zresztą... chyba słyszę kroki...

– W rzeczy samej... lecz odgłosy dochodzą z góry, nie z podziemia. Po chwili na schodach pojawił się przeor Bernard z dwoma braćmi Cairou. Na widok Katarzyny zamotanej w futro pokręcił głową z litością, ale i z dezaprobatą.

– Podejrzywałem, pani, że cię tutaj zastanę! Doprawdy, to nierozumne! Czemu nie pozwoliś poprowadzić całego przedsięwzięcia Jossemu i Mikołajowi? Poradzą sobie sami. Czyżbyś nie miała do nich zaufania?

– Wiesz dobrze, że mam, lecz to jest sprawa wymierzenia sprawiedliwości, a sprawiedliwość w tym zamku należy do mnie. Jest moim obowiązkiem... i moim prawem!

– Lecz jest także i moim! Pozwól więc, że cię zastąpię, Katarzyno. Gorączka cię męczy i ledwo trzymasz się na nogach. Wróć do siebie i pozwól mi działać: obiecuję, że będziesz zadowolona. Lecz przez litość dla siebie samej posłuchaj mnie: wyglądasz okropnie.

Kasztelanka w istocie była tak zmęczona, że gotowa była ulec, kiedy u jej stóp rozległ się potworny zgiełk, a z podziemia wyłonił się hełm Mikołaja.

– Udało się, pani Katarzyno! Udało się! – oznajmiał ciężko dysząc po skończonej niedawno batalii. – Mamy go!

Katarzyna na te słowa zerwała się z miejsca. Pobladła jak chusta, lecz jej oczy zabłysły nowym blaskiem.

– Pojmaliście Gerwazego?

– Tak, pani! Prowadzimy go do ciebie!

W istocie. Z centralnego otworu jak z wulkanu trysnęła wrząca lawa zbroi i ludzi, którzy chcieli wydostać się na powierzchnię wszyscy naraz, gadając jednocześnie. Niska sala, jeszcze przed chwilą tak pusta i cicha, wypełniła się hałasem i szcękaniem zbroi.

Pchnięty brutalnie przez kowala człowiek ze związanymi na plecach

rękami upadł przed Katarzyną. Po jego twarzy w kolorze popiołu spływała krew z rany na głowie. Nic nie pozostało z pyszałkowatości Gerwazego Malfrata teraz, kiedy sam i bezbronny stanął wśród kręgu nienawidzących go ludzi.

Był to postawny, dobrze zbudowany młodzieniec o jasnej cerze, rudych włosach i jasnobrązowych oczach. Zwykł chwalić się swymi muskularni przed dziewczętami, lecz w tej chwili skurczył się, przerażony, o połowę i, tkwiąc z nosem w posadzce, nie śmiał podnieść oczu na otaczających go ludzi ze strachu przed tym, co mógłby wyczytać w ich spojrzeniach.

Kiedy ciśnięto go na podłogę, twarz Marcina Cairou pokraśniała z dzikiej radości. Ruszył przed siebie, by rzucić się na jeńca, lecz przeor Bernard chwycił go za ramię i osadził w miejscu.

– Nie, Marcinie! Uspokój się! Nie do ciebie ten człowiek należy, lecz do nas wszystkich!

– Do Bertylki on należy, ojciec przeorze! Życie za życie!

– Być może nie jest to taki zły pomysł... – powiedziała Katarzyna w zamyśleniu. Przez chwilę przyglądała się uważnie człowiekowi dyszącemu u jej stóp, następnie zwróciła się do Mikołaja, który purpurowy z dumy czekał na pochwały: – Wzięliście tylko jednego jeńca, sierżancie? Czy ten człowiek był sam?

– Pani chcesz żartować, Katarzyno! Było ich ośmiu!

– A gdzie są pozostali?

– Ubici! Nie posiadamy w zamku wystarczających zapasów, by żywić na dodatek schwytane sępy!

– Nie sądzę, by ten tutaj miał nas drogo kosztować... – odparła kasztelanka.

Jej słowa, a zwłaszcza to, co się za nimi kryło, zdwoiły przerażenie Gerwazego. Odważył się podnieść na kasztelankę błędne oczy.

– Łaski, pani! – wybełkotał. – Nie każ mnie zabijać!

Po jego zarośniętej twarzy spływały krople potu, a na usta wystąpiła piana.

Katarzyna wzdrygnęła się z obrzydzenia.

– Dla jakiej przyczyny miałabym cię oszczędzić? Już raz cię ułaskawiłam i popełniłam błąd! Pięknie nam się odpłaciłeś, sprowadzając na nas tę bandę głodniałych wilków!

– To nie ja!

– Nie ty? – krzyknął ojciec Bertylki. – Oddaj mi go, pani, a przysięgam, że za chwilę będzie inaczej śpiewał!

– Chcę rzec – pośpiesznie poprawił się Gerwazy – że to nie ja podsunąłem Béraultowi i jego bandzie myśl, by na was napaść. Oni sami przemyślali o tym od chwili wielkiego jesiennego święta, ja zaś nic o ich zamiarze nie wiedziałem, kiedym zmarznięty i umierający z głodu wpadł w ich ręce w Aubrac.

– Alec to ty powiedziałeś im, że pan Arnold opuścił swe włości wraz z ludźmi – odpalił przeor. – Na jedno więc wychodzi! A nawet gorzej, gdyż przez ciebie kobiety, starcy i dzieci w naszym mieście narażeni są na śmiertelne niebezpieczeństwo!

Gerwazy podczołgał się na brzuchu i na kolanach w jego stronę.

– Wasza świątobliwość!... Ty jesteś sługą bożym... Człowiekiem

miłosierdzia! Ulituj się nade mną! Jestem młody! Nie chcę umierać! Powiedz im, żeby darowali mi życie!

– A biedny brat Amabl? – huknął na niego kowal – on też był młody! Czy też prosiłeś swoich kompanów, by darowali mu życie?

– Nic nie mogłem zrobić! Kimże ja jestem, by dawać rady panom? Dla nich jestem tylko prostym chamem.

– Dla nas także! – wrzasnął kowal. – Lecz musiałeś im być bardzo przydatny, skoroś tak dumnie paradował w dzień ich przybycia!

– A drugi posłaniec, Jeannet... ten, na któregoś czekał tak jak dzisiaj u wyjścia z podziemi – dogadywał Bastide – pewnie też jeszcze żyje, nieprawdaż?

Na głowę nieszczęśnika spadał grad oskarżeń. Pod ich ciężarem Gerwazy skurczył się jeszcze bardziej, zgiał kark i schował głowę w ramiona, jakby chciał się ukryć przed rojem os, nie starając się już nawet bronić.

Katarzyna nie mogła patrzeć na ten strzęp ludzkiej godności czołgający się u jej stóp. Jednak z tego tchórza należało jeszcze wyciągnąć całą prawdę. Uniosła dłoń, nakazując swym towarzyszom ciszę, po czym czubkiem buta dotknęła ramienia człowieka powalonego na posadzce.

– A teraz posłuchaj mnie, Gerwazy Malfracie! Słyszałeś tych ludzi? Wszyscy cię nienawidzą i nie ma wśród nich ani jednego, który nie życzyłby ci najsroższych tortur, zanim twa nędzna dusza opuści ciało. A jednak możesz oszczędzić sobie cierpień...

Gerwazy uniósł głowę. W jego błędnym spojrzeniu zabłysła iskra nadziei.

– Ułaskawisz mnie, prawda, dobra pani? Powiedz, powiedz szybko, co mam zrobić?

Katarzyna pomyślała, że wyśpiewa wszystko, że powie, cokolwiek się od niego zażąda, żeby tylko ocalić głowę. Nic łatwiejszego jak skusić go obietnicą, lecz nawet w wypadku takiej kanalii nie chciała używać kłamstwa ani podłego podstępu. Nie troszcząc się o to, ile ją to będzie kosztowało, natychmiast postanowiła wyprowadzić go z błędu.

– Nie, Gerwazuniu! Nie ułaskawię cię, gdyż nie mam już takiej możliwości. Nie jesteś bowiem moim więźniem: jesteś więźniem mieszkańców tego miasta, z których żaden nie pojąłby, dlaczego takiemu szkodnikowi daruje się życie. Lecz obiecuję, że będziesz miał szybką śmierć, jeśli odpowiesz na dwa pytania... tylko dwa.

– Darujesz mi życie albo nie odpowiem na żadne! Co mnie obchodzi, czego chcesz się dowiedzieć, jeśli i tak mam umrzeć!

– Śmierć śmierci nierówna, Gerwazku! Szubieniczka, toporek, sztylecik zabijają w mgnieniu oka... lecz pomyśl także o rozpalonym żelazie, pomyśl o stopionym ołowiu, o rozżarzonych szczypcach, łamaniu kołem, o łożu madejowym, o butach hiszpańskich i innych torturach mogących ciągnąć się całymi godzinami, ba... całymi dniami, a wtedy pragnie się śmierci jak dobra najwyższego!

Każdemu ze strasznych słów Katarzyny odpowiadał jęk Gerwazego. Wreszcie, nie mogąc tego znieść, zawył:

– Nie! Nie... Tylko nie to!

– Więc mów! W przeciwnym razie, na honor nazwiska, które noszę, oddam cię w ręce kata, Gerwazy Malfracie!

Strach nie zaćmił jednak całkiem umysłu nicponia. W jego głowie

zaświtała nagle pewna myśl.

– Udajesz bardziej groźną, niż jesteś, pani! Wiem tak samo jak i ty, że w Montsalvy nie ma kata!

– Ale jestem ja! – huknął Marcin Cairou, nie mogąc dłużej się powstrzymać. – Oddaj mi go, pani! Obiecuję, że zmuszę go do mówienia i że żaden jego krzyk, żadne prośby nie złagodzą mu cierpień! Poczekajcie! Pokażę wam, jak to się robi!

Wyjawszy żelazny pręt, zanurzył go w płomieniach kosza żarowego wśród śmiertelnej ciszy. Słysząc było tylko świszczący oddech Gerwazego.

– Przypatrz się temu człowiekowi, Gerwazku! – rzekła Katarzyna. – Nienawidzi cię! Przez ciebie jego córka wybrała śmierć. A on całymi dniami nie myśli o niczym innym jak o tym, byś skazany na jego łaskę cierpiał męki, które by choć trochę osłabiły jego własne. Masz rację twierdząc, że w Montsalvy nie ma kata, a to dlatego, że nigdy nie był nam potrzebny. Jednak dla ciebie znajdzie się kat, i to za twoją sprawą... Będziesz więc mówił?

Żelazny pręt rozgrzał się do białości. Marcin chwycił go pewną ręką, podczas gdy Antoni Couderc i Wilhelm Bastide równocześnie chwycili Gerwazego, który był jak zarzynana świnia, a wszystkie jego mięśnie zeszywniały ze strachu przed bliskim cierpieniem.

– Neeeeeeee!...

Marcin zbliżał się nieubłaganie. Katarzyna chwyciła go za ramię i skierowała się do jeńca, który z całych sił starał się wyrwać z żelaznego uścisku.

– Mów! W przeciwnym razie zedrzymy z ciebie ubranie, przywiążemy do tego pierścienia zwisającego ze sklepienia i oddamy w ręce Marcina!

– Co chcesz wiedzieć?...

– Dwie rzeczy: po pierwsze, imię twego współnika! Jest wśród nas nieszczęśnik, który ci donosi i jest zdrajcą. Chcę wiedzieć, kto to jest!

– A drugie pytanie?

– Bérault d'Apchier rozповідаł po całej okolicy, że pan de Montsalvy już nigdy tu nie wróci. Chcę wiedzieć, co knuje, że ma taką pewność. Chcę wiedzieć, co grozi mojemu mężowi!

– Już mówiłem, pani... jestem zbyt skromną osobą, by Bérault dopuszczał mnie do swoich tajemnic...

Katarzyna nie dała mu dokończyć, lecz rozkazała:

– Rozebrać go i powiesić za nadgarstki na pierścieniu!

– Nie! Litości! Nie!... Nie róbcie mi krzywdy! Będę mówić... Powiem, powiem wszystko, co wiem!

– Chwileczkę! – przerwał przeor. – Spiszę twoje zeznania. Znajdujesz się przed obliczem sądu. Ja będę sekretarzem.

Spokojnie wyjął ze swego szkaplerza kartkę zwiniętego papieru, gęsie pióro, a zza paska mały kałamarz. Następnie skinął na żołnierza, by udzielił mu swych opancerzonych pleców jako pulpitu.

– Gotowe! – powiedział z zadowoleniem. – A teraz słuchamy cię! Gerwazy spojrzawszy kolejno na przeora z uniesionym do góry piórem, na kasztelanę, która utkwiała w nim nieprzejednane spojrzenie, i na ojca Bertylki, który trzymał w ogniu rozżarzony pręt, wybełkotał:

– Gonnet... bękart Béraulta opuścił obóz... W Wielki Piątek ruszył do Paryża...

– Kłamiesz! – krzyknął Mikołaj. – Bękart został poparzony w ramię podczas pierwszego szturmu, nie mógł więc ruszyć w drogę!

– Przysięgam, że wyjechał! – zaklinał się Gerwazy. – W tej rodzinie nikt się z sobą nie cacka. A zresztą, boli go tylko ramię, a nie pośladki. Może jechać konno...

– Wierzę ci! – przerwała Katarzyna ze zniecierpliwieniem. – Mów dalej! Po co pojechał do Paryża?

– Pojechał do pana Arnolda. Oczywiście nie powiedziano mi po co, lecz ja podsłuchiwałem w nocy pod namiotem... Otóż Gonnet udał się do Paryża... by walczyć z kapitanami, wkraść się w łaski pana Arnolda i zyskać jego zaufanie. Gonnet ma za zadanie zjawić się w obozie konetabla i rozpowiedzieć, jak to jego ojciec i bracia napadli na Montsalvy, na ten smaczny kęs, i jak nie chcieli podzielić się z nim łupem. Że został pobity, zraniony w ramię i wygnany, a teraz płonie z żądzy zemsty. Dlatego uciekł od Béraulta, by powiadomić prawowitego właściciela Montsalvy o wyrządzonej mu krzywdzie, chcąc tym samym zyskać sprzymierzeńca, najlepiej wdzięcznego...

Nie trzeba było namawiać Gerwazego do mówienia. Ogarnięty nadzieją, że kasztelanka daruje mu życie, nie szczędził wyjaśnień ani szczegółów.

– A na co bękart liczy powiadamiając pana Arnolda o tym, co się tutaj dzieje?

– Że opuści armię, by tu wrócić. Gonnet oczywiście pojedzie z nim, by „zbierać owoce zemsty”. Przyjaciele pana Arnolda zostaną w Paryżu, tak więc na drogach i bezdrożach będą tylko we dwóch, i wtedy...

– Jeśli wróci, to nie sam – krzyknął Couderc. – Z pewnością zabierze swych dzielnych ludzi, a oni nie pozwolą Gonnetowi zabić ich pana!

– Gonnet ma przy sobie truciznę... Trucizna ta działa powoli, nie zmieniając smaku wina. Wiezorami, po trudach dnia, rycerze opróżniają kilka dzbanów, Gonnet więc bez trudu dosypie jej panu Arnoldowi, po czym będzie miał wystarczająco dużo czasu, by dać nogę!

Po sali przeszedł pomruk gniewu. Sierżant, kowal i płatnerz rzucili się na Gerwazego, chcąc go udusić. Przeor z ledwością zdążył zasłonić jeńca, bo zatłukliby go niechybnie.

– Uspokójcie się! – rozkazał. – Ten człowiek nie powiedział jeszcze wszystkiego. Odsuńcie się! Na razie nie on nam zagraża! Powiedz mi, Gerwazy – dodał zwracając się do chłopaka, który schował się za jego czarną sutanną – jeśli Gonnet ma truciznę, dlaczego nie użyje jej zaraz po przyjeździe do Paryża? Stamtąd też zdążyłby uciec.

– Oczywiście, wasza świątobliwość! Lecz to, na czym zależy Béraultowi, to nie tyle zabić pana de Montsalvy, ile cieszyć się jego upadkiem!

– W jaki sposób? Jeśli pan de Montsalvy opuści kwaterę w Paryżu, jeśli porzuci armię, by wrócić do domu, jakże zostanie osądzony?

– Nie wiem, jak Gonnet ma to załatwić, lecz ma doprowadzić do tego, by ten wyjazd wyglądał na ucieczkę... lub zdradę. „Już ja się o to postaram – powiedział – by ten Montsalvy zostawił jakiś kompromitujący dowód!” A ponieważ pan Arnold wkrótce umrze, Bérault będzie mógł w świetle prawa starać się o przyznanie dóbr zdrajcy! A Karol VII nie pierwszy to raz doświadczy ród de Montsalvych!

Tym razem nie wybuchła gniewna wrzawa. Oburzenie i niesmak

spowodowały, że wszyscy milczeli w oniemieniu. Katarzyna wstała z miejsca i dumnym spojrzeniem ogarnęła zgromadzonych.

– W takim razie nie mamy się czego obawiać! Dla pana obowiązek jest rzeczą najświętszą, przy tym darzy was, swoich wasali, i mnie, swoją żonę, najgłębszym zaufaniem, więc nie zdezerteruje w obliczu nieprzyjaciela po to, by ruszyć nam z pomocą. Nawet gdyby się dowiedział, że Montsalvy płonie, nie porzuciłby armii wcześniej, jak dopiero po wypędzeniu Anglików ze stolicy i oddaniu jej królowi. Twój Gonnet traci tylko czas!

Słowa kasztelanki podziałały jak oliwa wrzucona na gotującą się wodę, ludzie odetchnęli, uspokoili się, a nawet wymieniali triumfalne uśmiechy.

– Oczywiście! – rzekł Wilhelm Bastide. – Pan Arnold sam już będzie wiedział, jak nam pomóc bez narażania rycerskiego honoru i nie da się nabrać na sztuczki tego wściekłego psa!

W tej chwili nagły gniew opanował Gerwazego, który nie mógł znieść, że nic tu sobie nie robią z jego słów, i nie myśląc nawet o podbijaniu ceny swoich informacji, krzyknął:

– Bando tępaków! Co się tak puszcicie jak indory i cieszycie z góry? Ja wam powiadam, że pojedzie z Gonnetem... gdyż nie będzie miał innego wyjścia! Jak waszym zdaniem zareaguje ten wasz pan, kiedy Gonnet powie mu, że jego żona jest kochanką Béraulta, że to ona go sprowadziła, by mu oddać miasto... i kiedy przedstawi mu dowód, że śpią razem?

Nastąpiła śmiertelna cisza. Nie mogąc uwierzyć własnym uszom, patrzyli po sobie jak oniemiały. Katarzyna zeszywniała, a jej oczy zogniły się ze zgrozy. Po czym zmienionym głosem, wpatrując się uporczywie w jeden punkt na murze, powtórzyła jakby we śnie:

– Dowód?... Jaki dowód?

Gerwazy przestraszony skutkiem, jaki wywołały jego słowa, nie śmiał się ruszyć i stał jak zamurowany. Wtedy nagle Katarzyna rzuciła się na niego, chwyciła go za kołnierz brudnej opończy i zaczęła potrząsać jak snopkiem siana.

– Jaki dowód? – krzyczała. – Gadaj, psie! Jaki dowód? Gadaj zaraz, bo każę obdrzeć cię ze skóry!

Gerwazy jęknął wijąc się u jej stóp, po czym z trudem wybełkotał:

– Twoja, pani, koszula... a także list... miłosny list... a raczej kawałek listu...

Ale kasztelanka przeceniła swe siły. Dało znać o sobie wyczerpanie i potworny ból w ramieniu. Otworzyła usta, by coś powiedzieć, lecz nie wydała żadnego dźwięku, jej oczy zaszyły mgłą i trzepocąc w powietrzu rękami upadła bez czucia na posadzkę tuż obok jeńca.

Natychmiast wszyscy rzucili się na pomoc. Nawet Bérenger, który do tej pory stał nieruchomo i milcząco jak posąg, rzucił się na kolana i chciał podnieść głowę kasztelanki, lecz Mikołaj Barral był szybszy. Podłożywszy rękę pod ramiona swej pani, a drugą pod jej kolana podniósł ją z posadzki lekko jak piórko.

– Jeszcze tylko tego nam brakowało! – mruknął ze złością. – Ona nie powinna być przy badaniu jeńca. To dla niej śmiertelny cios – dodał patrząc na twarz spoczywającą na jego ramieniu, szarą i z czarnymi podkowami pod oczami.

– I tak trzeba by jej było o wszystkim powiedzieć – rzucił przeor. –

Zanieście ją, Mikołaju, do zamku i powiercie Sarze. Powiedzcie jej, co się stało, a potem szybko wracajcie. Jeszcze będę was potrzebował.

– A co robimy z tym? – spytał Couderc wskazując głową na Gerwazego.
– Czy zaraz go powiesimy?

Przeor spojrział na więźnia, a w jego spojrzeniu, zazwyczaj dobrotliwym i łagodnym, nie było najmniejszego śladu miłosierdzia.

– Nie! – odparł zimno. – Gerwazy ma nam jeszcze wiele do wyjawienia. Na przykład imię zdrajcy.

Przeor zajął miejsce Katarzyny na taborecie, wygładził ręką papier, na którym spisywał zeznania Gerwazego, i powiedział:

– Teraz będziesz mi odpowiadał, lecz nie żyw złudzeń: moje warunki będą takie same jak pani de Montsalvy. Z tą tylko różnicą, że dam ci rozgrzeszenie, jeśli twoja skrucha będzie szczerą... zanim zostaniesz powieszony!

Godzinę później, podczas gdy Katarzyna spała głęboko po zażyciu środka przyrządzonego przez Sarę, Gerwazego zaprowadzono do lochu, a przeor z zatroskaną miną udał się do klasztoru, by tam czekać na dalszy ciąg wydarzeń, Mikołaj Barral w towarzystwie czterech żołnierzy walił do drzwi Augustyna Fabre, stolarza. Nie słysząc odpowiedzi, wyważył je z hałasem, który przyciągnął do pobliskich okien przerażone głowy w nocnych czepkach; ludzie chwycili za siekiery i co kto miał pod ręką, myśląc, że to nocna napaść.

Od kiedy rozpoczęło się obłężenie, mieszkańcy Montsalvy trzymali broń przy łóżkach. U Gauberty osełka do ostrzenia nie przestawała się kręcić, a nawet jej wrzeczono było naostrzone jak ostrze szpady.

Po chwili z domu Augustyna wypadli żołnierze z nietęgimi minami. Nie zastali nikogo: Augustyn i Azalia zniknęli.

Wkrótce sierżant i jego kompania zostali otoczeni ciekawskimi, którzy nadciągnęli ze wszystkich stron, wymachując czym popadło i nie wiedząc dobrze dlaczego.

Mikołaj zrozumiał, że chcąc uniknąć zamieszek musi tym ludziom wyjaśnić, co się stało.

Wskoczywszy na studnię i wyciągnąwszy przed siebie ręce, jak dyrygent próbował uciszyć rozgardiasz. Choć nie był wielkim mówcą, opowiedział o wydarzeniach poprzedniej nocy, nie omijając niczego. Opowiedział, jak przyparty do muru Gerwazy zaczął mówić o pułapce zastawionej na pana de Montsalvy i że wyjawił imiona swoich współników, wskazując na stolarza, jego córkę i starą czarownicę, Ratapennadę, która sporządziła truciznę Gonnetowi. Wreszcie opowiedział, jak Augustyn padłszy ofiarą niezbyt ojcowskiego uczucia, które wzbudziła w nim córka jego zmarłej żony, stał się igraszką w rękach Azalii. Według Gerwazego prowokująca uroda Azalii uczyniła z tego niegdyś tak spokojnego człowieka niewolnika potężnego pożądania, którym piękna koronczarka manipulowała jak kukielką, naśmiewając się z niego, kiedy to jeszcze przed wygnaniem Gerwazego z zamku spotykała się z nim wedle młyna. Podsycając chciwość dziewczyny, roztaczając przed nią świetlaną przyszłość, mile łechcąc jej próżność, Gerwazy Malfrat z łatwością dostał od niej to, czego z taką pogardą odmawiała innym chłopcom.

Augustyn oczywiście nie wiedział, że Azalia została kochanką Gerwazego, i to właśnie on z rozkazu swojej dziwnej córki próbował strącić

kasztelanę do fosy; w zamian za tę przysługę Azalia obiecała ojczymowi, że mu się odda! Myśl ta doprowadziła nieszczęsnego Augustyna do szaleństwa i by posiąść ciało, którego piękno prześladowało go w dzień i w nocy, byłby gotowy zasztyletować samego przeora pośrodku sumy!

Sama Azalia zaś nie tylko dała Gerwazemu jedną z koszul Katarzyny, w której miała naprawić koronkę, lecz na dodatek sama napisała ów słynny „list miłosny” podrabiając pismo swej pani. Wszystko to Augustyn spuścił za pomocą sznura w noc ciemną w umówionym miejscu przy murze...

W miarę jak Mikołaj mówił, narastało szemranie, które wkrótce przerodziło się w krzyki, aż strażnicy z murów wychylili głowy, by sprawdzić, co się dzieje w mieście. Mały placyk wyglądał jak sabat czarownic, na którym kotłowały się głowy, wymachiwały ramiona różnego rodzaju orężem. Lecz ogólne uczucie najlepiej wyraziła Gauberta:

– Chcemy dostać Augustyna i Azalię! – wrzeszczała głośniejsz niż inni. I wywijając swoim naostrzonym wrzecionem niczym Joanna d'Arc sztandarem, ruszyła na dom stolarza, pociągając za sobą wściekły tłum, który z trudem wcisnął się do warsztatu, pomimo protestów sierżanta, przysięgającego na wszystkie świętości, że całe obejście zdrajców dokładnie przeczeszał.

Trzeba było jednak spojrzeć prawdzie w oczy. Augustyn i Azalia, dowiedziawszy się o schwytaniu Gerwazego, uciekli nie zostawiając najmniejszego śladu ani żadnych oznak popłochu. W domu stolarza panował idealny porządek. Łóżka były zasłane, naczynia pomyte. Zniknęły tylko ubrania i drobne przedmioty osobiste...

Wkrótce więc Gauberta wraz z innymi wyszli z domu zdrajców jak niepyszni, zastanawiając się, w jaki sposób Augustyn i Azalia mogli zniknąć jak kamfora. A także kto uprzedził ich o decyzji rady, skoro stolarz nie brał w niej udziału...

– Trzeba się dowiedzieć, kto im doniósł! – powiedział Mikołaj.

– Ktoś z nas miał zbyt długi język.

Odwrócił swą ukrytą w hełmie głowę i spojrzał badawczo na wszystkich, którzy brali udział w nocnych zajściach. Nikt jednak ani nie mrugnął.

– Dobra! – rzekł tedy. – No to będziemy szukać. Hej, wy tam!

– krzyknął do swoich żołnierzy. – Przeszukajcie piędź po piędzi, nie omijając niczego, ani piwnicy, ani strychu, ani nawet kurników! Musimy ich znaleźć!

– Pomożemy ci, panie! – oznajmiła Gauberta. – Ta sprawa dotyczy nas wszystkich. Dalejże, chłopcy! Pomóżcie żołnierzom!

Jednak zanim chmara chętnych dołączyła do żołnierzy, z murów dobiegło wołanie strażnika:

– Chodźcie, chodźcie zobaczyć!

Tłum jak jeden mąż rzucił się na mury. Strażnik przez otwór strzelniczy spoglądał w dół, wskazując ręką jakiś kształt. W okamgnieniu mury się wypełniły. Wszystkie głowy wychyliły się na zewnątrz i z wszystkich piersi dobył się okrzyk zdumienia: na brzegu fosy leżało rozciągnięte ciało Augustyna, a jego pierś przebita była strzałą z kuszy. Z ostatniego otworu strzelniczego zwisał sznur.

Zgromadzeni zdjęli okrycia głowy bardziej z przyzwyczajenia niż z prawdziwego szacunku.

– Spadł! – krzyknął jakiś głos. – Spuszczając się po sznurze z takiego muru to nie zajęcie dla człowieka w jego wieku...

– A strzała? – spytał ktoś. – Skąd wzięła się w jego piersi strzała?

– Musiano do niego strzelać – myślała głośno Gauberta. – W obozie przeciwnika nie wszyscy pewnie wiedzieli, że pracował dla nich! Tylko, do diaska, dlaczego jest sam? Powinno być ich tam dwoje w dole! Gdzie się podziała piękniejsza Azalia, do stu tysięcy fur zgniłych śledzi? Chyba że nie spuszczała się z tatuśkiem po sznurze?

– A dlaczego nie? Ta dziewczyna to prawdziwa kotka. To wcielony diabeł, który potrafi prześlizgnąć się przez ucho igielne. Zawsze powiadałem, że jest czarownicą... – rzekł sierżant odsuwając hełm i drapiąc się po głowie. – I coś mi mówi, że nigdy jej nie odnajdziemy...

– Miejmy nadzieję, że te przekłete psy pochowają przynajmniej nieszczęsnego Augustyna – rzuciła Gauberta. – Tak jak nas zdradził, sam został zdradzony i drogo za to zapłacił. Trzeba będzie poprosić przeora o krótką modlitwę za jego biedną duszę, gdyż nie on tu najbardziej zawinił.

Po czym zawińawszy się szczelniej baranim kozuchem, jakby czując powiew śmierci, gruba tkaczka wsadziła wrzeciono pod pachę i opuszczając zgromadzenie udała się do domu, by nakarmić swoje rozliczne dzieciątka.

Mury powoli opustoszały, wkrótce zostali nań tylko strażnicy, którzy wrócili do swej monotonnej służby.

W tym czasie w zamku Katarzyna wracała do ponurej rzeczywistości, której nie potrafiły rozchmurzyć promienie słońca przedzierające się przez różnokolorowe witraże w oknach. Do pokoju kasztelanki weszła Sara zawiadamiając, że przeor chce z nią mówić.

– Zaprowadź go do mej kaplicy – odparła. – Chcę, by Pan Bóg uczestniczył w naszej rozmowie, gdyż dawno tak bardzo nie potrzebowałam jego pomocy. Przynieś mi też czegoś na rozgrzewkę.

Sara wolałaby, by jej pani pozostała w łóżku, lecz nie nalegała, gdyż był to próżny trud. Kiedy w kącikach jej ust pojawiała się szczególnie zmarszczka, Cyganka wiedziała, że Katarzyna za wszelką cenę postawi na swoim.

Wyszła więc z pokoju, zaprowadziła przeora Bernarda do kaplicy, po czym wróciła z kubkiem gorącego mleka z miodem, który podała swej pani bez słowa.

W czasie krótkiej nieobecności Sary Katarzyna opuściła z trudem łóżko. Pierwsze kroki po posadzce z czerwono-czarnych kafli okazały się więcej niż niepewne. Kręciło się jej w głowie, a na dodatek znowu miała potężną migrenę. Była jednak zdecydowana pokonać własną słabość, swoje ciało, które nie chciało jej słuchać, w chwili kiedy najbardziej go potrzebowała. Oparła się o kolumnę łóżka, czekając, aż miną zawroty głowy, od których zawirowały wokół ściany. Kiedy wreszcie karuzela zatrzymała swój szalony bieg, powoli ubrała się w brązową suknię obszywaną popielicami.

Z sąsiedniego pokoju dobiegał głos małego Michała, który przekomarzał się z Izabelką. Chłopiec zdecydował, że nauczy siostrę mówić, i zabrał się do przedsięwzięcia ze zwykłą sobie powagą. Katarzyna miała ochotę iść ich ucałować, lecz przelotne spojrzenie w lustro odwiodło ją od zamiaru. Tragiczna maska bowiem, jaką ujrzała, mogła jedynie dzieci wystraszyć. Cicho domknęła drzwi prowadzące do ich pokoju, wypila mleko, które podała jej Sara patrząc na

nią uparcie, po czym z nadludzkim wysiłkiem udała się do kaplicy.

Kaplica znajdowała się w wieżycy. Wchodząc do środka, zastała przeora klęczącego przed małym, granitowym ołtarzem, gdzie pod niebiesko-złotym witrażem błyszczał złoty krucyfik. W kaplicy znajdował się jeszcze tylko osobisty skarb Katarzyny: „Zwiastowanie” pędzla Jana Van Eycka, przyjaciela z dawnych lat. Matka Boska na obrazie miała fiołkowe oczy Katarzyny i złociste włosy. Katarzyna każdego ranka i wieczoru przychodziła podumać przed obrazem i wtedy powracały do niej chwile młodości. Mały Michał uwielbiał to płótno, na którym znajdował zarazem odbicie Królowej Niebios i własnej matki.

Bezszelestnie uklękła obok przeora, składając zimne dłonie na aksamitnej podpórce klęcznika.

Przeor odwrócił głowę i zmarszczył brwi.

– Jesteś pani bardzo blada. Lepiej byś zrobiła zostając w łóżku.

– I tak za dużo czasu już zmarnowałam przez moją słabość. Wiedząc to, o czym wiem, nie mogłabym wytrzymać w łóżku. Nie będę mogła zmrużyć oka, dopóki nie opuści mnie obawa. Widzisz, ojcze, kiedy dowiedziałam się, że... ci ludzie knowali przeciwko nam, wydało mi się, że życie ze mnie ucieka...

– Ja także straciłem rezon w obliczu tak wielkiej niegodziwości, lecz oburzenie pozwoliło mi zastąpić cię – bez słabości... i bez litości. Gerwazy wyznał wszystko jak na świętej spowiedzi. I uratował skórę.

W kilku zdaniach przeor powiadomił kasztelanę o dalszym przebiegu sądu i o nieszczęsnym końcu Augustyna Fabre.

– Pozostaje nam – powiedział na zakończenie – próbować odnaleźć Azalię... i zdecydować o losie Gerwazka. Czy podtrzymujesz wyrok śmierci?

– Wiesz dobrze, ojcze, że nie mam wyboru. Nikt z ludzi nie zrozumiałby, dlaczego ułaskawiam złoczyńcę, i nikt by mi tego nie wybaczył. Myślę nawet, że nasi poddani poczuliby się zdradzeni. To zaś mogłoby doprowadzić do wymierzenia sprawiedliwości przez Marcina Cairou i nikt nie byłby w stanie mu w tym przeszkodzić. Gerwazy zostanie powieszony jeszcze dziś wieczorem.

– Wiem, ile kosztuje cię ta decyzja, pani, lecz nie mogę odmówić ci racji. Za chwilę pošlę jednego z braci do lochu z pociechą religijną. Lecz domyślał się, że nie to leży ci najbardziej na sercu?...

– Rzeczywiście – odparła głucho. – Niebezpieczeństwo grożące memu mężowi jest zbyt wielkie. W tej chwili bękart Gonnet gna w stronę Paryża z trucizną w sakwie. Należy go dogonić!

– Ależ on ma nad nami cztery dni przewagi! Taką przewagę można by nadrobić, gdyby Gonnet natrafił po drodze na przeszkody. Bóg jeden wie, że nie brakuje ich na naszych niebezpiecznych drogach. Nie ukrywam, że cały czas myślę o jakimś rozwiązaniu. Niestety, jesteśmy okrążeni i nie możemy wychodzić z miasta, jak nam się podoba.

– Wszystko pozwala sądzić, że obleżenie nie przeszkodziło Azalii w ucieczce. Jeśli kobiecie się to udało, dlaczego miałyby się nie udać mężczyźnie?

– To właśnie powiedzieli mi nasi wasale, którzy przyszli do mnie na czele z... paziem Bérengerem. Ten chłopiec, który błędnie na myśl o bitwie, gotów jest sam ścigać wroga tak groźnego jak Gonnet, żeby tylko uratować pana Arnolda. Utrzymuje, że nie ma dla niego nic łatwiejszego, niż spuścić się po sznurze, a teraz czeka na twoją odpowiedź.

– Na moją odpowiedź? – odparła Katarzyna z goryczą. – Zapytaj o to trupa Augustyna, którego powłoka cielesna szczególnie na naszych oczach wydana na pastwę niepogody i dzikich zwierząt! Bérenger to jeszcze dziecko; nie chcę, by się poświęcał.

– Ktokolwiek spróbuje spuścić się z muru, nie będzie miał wielkiej szansy wyjść z tego cało. Nieprzyjaciel czuwa, ale... posłuchaj, pani!

Na zewnątrz słychać było odgłosy walki, krzyki, szczęk broni. To nieprzyjaciel zaatakował korzystając z chwili rozluźnienia spowodowanej wschodem słońca. Przeor i Katarzyna uczynili znak krzyża.

– Znowu poleje się krew, będą trupy i ranni – westchnęła kasztelanka. – Jak długo uda się nam odpierać wroga?

– Obawiam się, że niedługo. Przed chwilą, kiedym wyszedł na dzwonnice kościelną, by przyrzeć się obozowisku najeźdźcy, zauważyłem, że ścinają drzewa i że stolarze wzięli się do roboty – budują wieże oblężnicze. Inni zabijali i patroszyli bydło, którego nie zdążyliśmy wpędzić za bramy, by ich skórą powlec wieże i w ten sposób zabezpieczyć drewno przed ogniem. Potrzebujemy natychmiastowej pomocy. W przeciwnym razie będziemy musieli się układać z wrogiem... i bez wątpienia poddać się.

Błada twarz kasztelanki zrobiła się jeszcze bledsza. Poddać się? Znała przecież warunki Béralta i jeśli oddałaby bez zmrżenia oka całą zawartość swego domostwa, to nie oddałaby siebie. Kapitulacja oznaczałaby dla niej wyrok śmierci, gdyż nigdy nie zgodziłaby się wejść do łóżka Wilka z Gévaudan.

– W tej sytuacji – westchnęła – pozostaje tylko jedno rozwiązanie: ja sama opuszczę miasto śladem koronczarki. Czy zginę w drodze, czy też z własnej ręki, by nie oddać się Béraltowi, nie ma dla mnie znaczenia. A moja obecność przy mężu zniweczy oskarżenia Gonneta.

Przeor pokręcił głową z wielkim zatroskaniem.

– Obawiałem się, że takie rozwiązanie zaproponujesz, pani, lecz wierząc mi, że nie tylko nikt z nas nie przyjąłby takiego poświęcenia, na dodatek byłoby to istne szaleństwo, biorąc pod uwagę twoją słabość.

– Czuję się już lepiej, ojcze! A zresztą... nikt nie musi o tym wiedzieć... Skoro jednak nie mam jeszcze dosyć siły, może by użyć sposobu, który z takim powodzeniem zastosował święty Paweł, by uciec z Damaszku?

Nieoczekiwanie, w chwili tak poważnej, przeor wybuchnął śmiechem.

– Spuścić cię w koszyku? Przyznaję, że nie pomyślałem o tym! Nie! Pani Katarzyno, to niemożliwe! Lecz mam lepszy pomysł...

Zaskoczona spojrzała na niego uważnie. W szarych oczach przeora błyszczała wola walki, a w wyrazie jego twarzy przebijała jakaś nieznaną dotąd determinacja.

– Tak więc uznajesz, ojcze, że mam rację, chcąc osobiście odszukać Arnolda?

Przeor w okamgnieniu spoważniał i kładąc dłoń na ramieniu kasztelanki, oznajmił dobitnie:

– Nie tylko uznaję, drogie dziecko... lecz sam bym cię o to prosił, gdybyś pierwsza tego nie zaproponowała. Nie możemy dalej zwlekać: jeśli nawet nadejdzie jakaś pomoc, stanie się to za późno. Nie możemy dopuścić, by Béralt zastał cię tutaj w dniu, kiedy będę zmuszony go wpuścić. Musisz odjechać, lecz nie wyjedziesz sama: twoje dzieci też nie mogą tu zostać. To byłoby zbyt

wielkie ryzyko.

– Myślałam, żeby je ukryć wśród innych dzieci, pod opieką Sary...

– Nie. Kiedy Bérault dowie się, że cię tu nie ma, wpadnie we wściekłość i one pierwsze posłużą mu za narzędzie szantażu, czym zmusi cię do powrotu. Tak więc, droga przyjaciółko, musisz mnie posłuchać. Wyjedziesz stąd z dziećmi, Sarą i paziem. Dojedziesz do Carlat, gdzie zostawisz dzieci i Sarę. Tam będą bezpieczne. Następnie podążysz do Paryża, skąd przywieziesz nam ratunek: nikt oprócz ciebie nie potrafi tego uzyskać od króla czy konetabla: otrzymać zastęp rycerzy, o który twój mąż nie poprosiłby z wrodzonej dumy. Wrócisz do nas z całą armią...

W miarę jak przeor mówił, Katarzyna kreśliła w wyobraźni rozwój wydarzeń. Już dosiadała rączego konia i jak dawniej gnała smagana wiatrem, już była w Paryżu, już odnajdywała Tristana Eremite, który cieszył się wielkim zaufaniem konetabla de Richemonta. Już klęczała przed królem Karolem, domagając się sprawiedliwości, której władca jej nie odmówi, potem powrót do Montsalvy, przepędzenie rozbójników na cztery wiatry, wraca spokój i szczęście...

Te myśli sprawiły, że dostrzegła promienie słoneczne zalewające małą kapliczkę. Ich ciepło i radość ogarnęły młodą kobietę... by po chwili gwałtownie ją opuścić.

Dobiegający z zewnątrz zgiełk walki przywrócił ją okrutnej rzeczywistości. Czy mogła opuścić miasto i zostawić tych oddanych jej ludzi na pastwę losu? Jak postąpi Bérault, gdy się okaże, że kasztelanka zniknęła razem z dziećmi? Ilu nieszczęśników postrada przez nią życie? Jak potem spojrzy w oczy ich rodzicom?

Przeor położył chudą dłoń na jej ramieniu, zmuszając ją, by przerwała tok swych myśli.

– Tamtego dnia powiedziałaś, żeby nie traktować cię jak niewiastę, lecz jak pana de Montsalvy. Dzisiaj powiadam ci, że jestem współpanem Montsalvy i oprócz odpowiedzialności za ciała odpowiadam za dusze. Z całą odpowiedzialnością powtarzam więc, że musisz opuścić miasto. Możesz mi zaufać. Będziemy się trzymać tak długo, jak tylko to będzie możliwe, możesz być pewna! Lecz jeśli przyjdzie nam otworzyć bramy, Bérault będzie miał do czynienia ze mną... – z Bogiem, którego jestem pełnomocnikiem, i cofnie się przed klątwą, tak jak cofnął się przed monstrancją w dniu śmierci naszego brata Amabla! Kiedyś potrafiłem się bić. Co prawda odrzuciłem zbroję, jednak potrafię przemawiać do ludzi. Uwierz, pani, że łatwiej pokonam Béraulta, gdy ty będziesz daleko. Nie ośmieli się podnieść na mnie ręki. Oddam mu całe złoto klasztorne, zamkowe, lecz usłyszysz także głos rozumu.

– Co takiego mu powiesz?

– Nastraszę go królewskim gniewem, by zrozumiał, że im więcej zbrodni popełni, tym czekająca go kara będzie straszniejsza. Albo jestem w potwornym błędzie, albo zadowoli się drobnym łupem. Ruszaj bez obaw. Zresztą słyszę, że miasto nie jest na straconych pozycjach.

W istocie, z murów dobiegały teraz okrzyki zwycięstwa i grubiańskie docinki pod adresem nieprzyjaciela. Widocznie jeszcze raz atak został odparty. Ludzie z Montsalvy potrafili się bić!

Po raz pierwszy na napiętej twarzy kasztelanki pojawił się uśmiech.

– Trudno cię zbić z tropu, ojcze, kiedy jesteś o czymś przekonany. Istotnie, potrafisz przemawiać do mężczyzn... i do kobiet. Jednak w twoich słowach znajduję pewną sprzeczność: nie podoba ci się mój pomysł naśladowania świętego Pawła... a każesz mi opuścić miasto wraz z dziećmi, Sarą i Bérengerem. W jaki sposób? Którędy? Czy pożyczysz mi skrzydeł, byśmy sfrunęli z najwyższej wieży?

Szczupła twarz przeora pojaśniała nagle w szerokim uśmiechu.

– Inaczej mówiąc, uważasz mnie za niespełna rozumu, pani? Przyznaję, że pozory przemawiają przeciwko mnie. Pójdź więc ze mną: chciałbym ci coś pokazać...

– Coś? A co takiego?

– Pójdź ze mną, a sama zobaczysz.

Katarzyna zdjęta ciekawością ujęła rąbek sukni, by przejść przez niskie drzwi, lecz nagle się zatrzymała. Odwróciła się, obrzucając płonącym spojrzeniem swoją Matkę Boską.

– Jeśli Bérault rozgrabi mój dom, proszę cię, ojcze, zabierz stąd ten obraz i ukryj go! Na całej reszcie mi tak nie zależy jak na nim! Wystarczy go zapakować i zamurować w którejś z piwnic...

– Bądź spokojna, dopilnuję tego... Są rzeczy, których mogą dotyczyć tylko czyste ręce.

Rozdział piąty

TAJEMNICE PRZEORA BERNARDA

Katarzyna idąc za przeorem przemierzała dziedziniec opactwa, na którym kłębił się tłum. Właśnie przyniesiono dziesiątkę rannych ofiar ostatniego natarcia do domu gościnnego i mnisi zajęli się nimi. Przyszła tu również Sara z górą bandaży, dzbanami wina i oliwy oraz ze swymi najlepszymi balsamami.

Kasztelanka i przeor pospiesznie zapytali o stan poszkodowanych, tego czy owego obdarowali dobrym słowem, i nie zwlekając ruszyli dalej. Przeszli przez bramę i zagłębili się w klasztorze, pustym i cichym. Przeor poprowadził Katarzynę długim korytarzem, na którego końcu w mroku niskiego sklepienia widniała wielka, odsunięta płyta odkrywająca prostokątny otwór. W środku znajdowały się schody prowadzące do podziemi klasztoru.

Ponieważ spojrzała zdziwiona na przeora, ten położył palec na usta, po czym zniknął w zakrystii, z której po chwili wrócił z zapaloną lampą.

– Chodź, córko, nie muszę nic wyjaśniać – zrozumiesz sama.

I ruszył na schody unosząc wyżej lampę, by lepiej je oświetlić, i podając dłoń Katarzynie.

Prowadzona przez przeora, który nie wypuszczał jej ręki, szła prawie po omacku. Powietrze było tu wilgotne i stęchłe. Trudno nim było oddychać. Po chwili skończyły się schody i zaczynały drugie, z pewnością dłuższe, gdyż nie mogła dojrzeć ich końca.

Przeor zatrzymał się, uniósł lampę i przyjrzał się uważnie swojej towarzyszce.

– Jak się czujesz, pani? – spytał z niepokojem. – Zastanawiam się, czy nie przeceniłem twych sił. Czy możesz iść dalej?

Katarzyna uśmiechnęła się.

– Jak najbardziej. Płonę z ciekawości, co chcesz mi pokazać. Ciekawość! Żadna kobieta się jej nie oprze.

Przeor odwzajemnił uśmiech i opuścił lampę.

– Ruszajmy więc!

Ściskając mocniej dłoń kobiety ruszył przed siebie. W miarę schodzenia dały się słyszeć tępe uderzenia i szmer spływającej wody. Tymczasem schody zaczęły biec wzdłuż muru pokrytego freskami, wśród których, w migoczącym świetle lampy, widać było ryby.

Kiedy wreszcie dotarli do końca schodów, przeor powiódł wokół lampą i rzekł:

– Popatrz!

Śledząc wzrokiem krąg światła zataczany przez lampę, Katarzyna wydała okrzyk zdziwienia.

Znajdowała się wewnątrz krypty wykutej w skale o surowych w przeważającej części ścianach. Ściany te jednak miały odcień różowawy i czerwony, wskazujący na żyły ametystów, i tworzyły dekorację barbarzyńską, a zarazem pyszną dla niewielkiej kapliczki zwieńczonej łukiem i dwiema kolumnami. Tutaj freski ukazywały się na powrót, lecz mniej

zniszczone niż przy schodach, a przedstawiały naiwne anioły ze spiczastymi skrzydłami, symbole czterech Ewangelistów. Największe jednak wrażenie robiło wnętrze kapliczki: anioły i symbole zdążyły w stronę zadziwiającego złotego słońca, którego promienie wysadzone były drogimi kamieniami, występującymi obficie w starej wulkanicznej ziemi Owernii – akwamarynami i oliwinami, różowymi kwarcami, ametystami i topazami. Wszystkie błyszczały spokojnie w blasku lampy. Katarzynę uderzyło jednak, że w środku słońca była wydrążona pusta nisza, nie licząc warstwy kurzu. Przed niszą tą stał stół z zielonego bazaltu, wysadzany oliwinami, niby barbarzyński ołtarz, na którym widać było jeszcze ślady wosku świec, które musiały na nim płonąć.

– Co za dziwne miejsce – zadrżała Katarzyna. – Dlaczego nie wiedziałam nic o istnieniu tej kaplicy?

– Ponieważ nikt oprócz mnie, nawet pani małżonek, o niej nie wie. To tajemnica Montsalvy, jego racja bytu, lecz także tajemnica jego... utraconej duszy... Widzisz, jest pusta. W sercu tego słońca, które wyobraża świat, nie ma nic... od prawie dwustu lat. Pozostała jednak legenda, a ta żyje w sercach ludzi. Wszyscy myślą, że to tylko legenda, uśmiechają się pobłaźliwie, lecz po cichu wierzą, że musi być w niej trochę prawdy, nawet jeśli nie chcą się do tego przyznać. Wierzą w pradawną tajemnicę, mając niejasną nadzieję, że kryje się w jakiejś tajemnej grocie lub na dnie przepaści. Gdyby wiedzieli, że dawno nam ją wydarto i że została już tylko opuszczona świątynia, byłiby szczerze zawiedzeni. Dlatego właśnie przeorowie przekazują sobie sekret na łożu śmierci, nie dzieląc się nim z nikim.

– Dlaczego więc ja dostąpiłam...

W uśmiechu, jakim przeor Bernard obdarował kasztelanę, po raz pierwszy zauważyła ogrom czułości i szacunku, jakie dla niej żywił.

– Może dlatego, że nie jesteś stąd, ale też dlatego, że potrafisz zrozumieć i masz dostatecznie wielką i zahartowaną duszę, by przyjąć spokojnie wiadomość o utraconym, bezcennym skarbie. To nie przeszkodzi ci iść dalej swoją drogą z podniesioną głową... Chciałem, by ta droga przeszła tędy...

Katarzyna nie mogła oderwać oczu od cudownego słońca, które fascynowało ją. Arnold musiał o nim wiedzieć, pomyślała. Dlaczego nic jej o tym nie powiedział?

– Ojcze, czy powiesz mi, kim „on” jest?

– Tak, powiem, ale za chwilę. Nie powinniśmy przebywać tu zbyt długo. Zaczęto by nas szukać. Chodźmy dalej, pokażę ci teraz coś, co jest dla ciebie najważniejsze.

Po tych słowach ruszył w stronę szeroko otwartych drzwi z kamienia, skąd nadal dobiegały tępe uderzenia. Katarzyna jednak zatrzymała go.

– A studnia? – spytała. – Nie widzę studni!

– Jest tu – odparł wskazując na wąski, zakratowany otwór pod schodami i nie mówiąc nic więcej zniknął w nim. Było to przejście podziemne wznoszące się nieznacznie do góry. Szmer wody był tu głośniejszy, jakby po drugiej stronie muru z lewej strony płynął strumień. W dali migotało światło dwóch pochodni. W tym skąpym świetle Katarzyna spostrzegła dwóch mnichów uzbrojonych w łopaty i kilofy, którzy zakasawszy rękawy walili w występ skalny zagradzający przejście. Obok stały taczki, na które składali gruz. Przeor wskazując na robotników powiedział: – Dawno temu to podziemie łączyło klasztor ze starym

zamkiem Montsalvych w Puy de l'Arbre. Przejście wychodziło pod kaplicą, lecz gdy przed czterema laty armia królewska spaliła zamek, gruz zasypał część podziemia. Jak widzisz, moi bracia przebijają je na nowo.

Tędy właśnie opuścisz wkrótce miasto, gdyż jesteśmy prawie u celu: skończymy tej lub najdalej następnej nocy!

Katarzyna przyglądała się mnichom w milczeniu. Znała dobrze ich obu: brat Antym był klasztornym skarbnikiem, głuchoniemy brat Józef zaś najdzielniejszym, a przy tym najłagodniejszym z braci.

– Brat Józef – wyszeptała. – Czy wybrałeś go właśnie ze względu na kalectwo... Chodzi o dochowanie tajemnicy?

– Właśnie. Co się zaś tyczy brata Antyma, to jest on moim zastępcą, i należy do tych ludzi, którzy nawet na mękach nie pisną ani słowa.

– Rozumiem – odparła. – Jednak jest rzecz, która mnie niepokoi. Przecież obóz najeźdźcy leży między murami miasta a ruinami Puy de l'Arbre. Skąd masz pewność, ojcze, że dochodząc do powierzchni nie zostaniecie zauważeni? Przecież oni usłyszą walenie kilofów!

– Nie ma obawy. Jesteśmy zbyt nisko, by nas usłyszeli. A do powierzchni nie będziemy dochodzić: to by za długo trwało i byłoby zbyt niebezpieczne. Na poziomie szóstego stopnia ciągnie się skalisty korytarz. Ongiś wydrążył go strumień zasilający studnię. Strumień płynie nadal, lecz wzdłuż niego można dojść do ukrytej groty, w której z głębi ziemi tryska źródło. Przez tę właśnie grotę wyjdziecie nie widziani przez wroga. Brat Antym was poprowadzi. Droga będzie ciężka: osiem mil krętymi ścieżkami, lecz sądzę, że się nie boisz. Teraz już znasz mój plan!

– Tak, teraz wszystko rozumiem – odparła przez łyżę. – Moja wdzięczność nie zna granic. A ja ze swej strony postaram się nie zawieść was: sprowadzę pomoc!

– Tak, wiem o tym. A teraz, wracajmy! Powinnaś odpocząć i nabrać sił przed wyprawą.

Bez słowa wrócili tą samą drogą, a Katarzyna myślała o podziemnym świecie, który przed chwilą zobaczyła i gdzie znajdowała się droga do wolności...

– Kiedy będę mogła wyruszyć, ojcze? Czy tej nocy?

– Lepiej poczekać do następnej. Brat Antym musi przebić przejście do końca i rozeznać drogę. Po tobie, jeśli niebezpieczeństwo będzie zbyt blisko, wyślę nim kobiety i dzieci. Oczywiście, po zamaskowaniu kaplicy.

– Mam, ojcze, czekać jeszcze całą noc i cały dzień, podczas gdy Gonnet jest coraz bliżej Paryża?

– Rozumiem, lecz nie możemy pozwolić sobie na ryzyko. Gdyby wróg cię odkrył, bylibyśmy wszyscy na zawsze straceni. Jeszcze trochę cierpliwości, moja córko! Żeby pomóc ci przeczekać, przyjdę dzisiaj wieczorem, kiedy już złożymy naszych zmarłych do ziemi, i opowiem ci tę nieznaną historię naszego miasta. Ty przynajmniej musisz ją poznać, aby nie zginęła na zawsze, gdyż... możliwe jest, że po powrocie nie ujrzysz więcej ani mnie, ani brata Antyma...

– Ojcze! – krzyknęła kasztelanka z trwogą. Lecz przeor uspokoił ją uśmiechem.

– No, dobrze już, dobrze. Przecież nie powiedziałem, że tak musi być, lecz tylko, że to możliwe. Wszystko w rękach Boga! A moja historia doda ci

odwagi, gdyż pozwoli zrozumieć, że pan Bóg nie może się odwrócić od w ten sposób pobłogosławionej ziemi! Do zobaczenia, córko... Tymczasem przygotuj się do drogi, lecz nie mów o niczym nikomu, z wyjątkiem tych, którzy będą ci towarzyszyć. Dopiero kiedy już będziecie w drodze, powiadomię miasto o naszym kroku.

– Ależ to będzie wyglądało jak ucieczka! – zaprotestowała. – Czyż nie powinnam zebrać rady i powiadomić jej o naszej decyzji?

– To z pewnością ostatnia rzecz, jaką mogłabyś zrobić! Bądź pewna, ja już tak im to wyjaśnię, że nikomu nie przyjdzie do głowy, że, ty byłąbyś zdolna do ucieczki. Czy więc obiecujesz milczenie?

– Oczywiście... Chociaż nie będzie to łatwe. Wiesz, ojczu, jak bardzo kocham ich wszystkich...

– Kochaj ich, bo zasłużyli na to, ale nie zapominaj, że niektórzy z nich są jak dzieci.

„Jak dzieci”... – brzmiało jej w uszach, lecz nie miała czasu zastanowić się nad znaczeniem tych słów ani pożegnać z ich autorem, kiedy jak kula armatnia wpadł na nią Josse Rallard z włosami zjeżonymi i ubraniem w nieładzie, jakby właśnie stoczył ostrą bójkę.

– Gdzie się podziewałaś, pani? – krzyczał. – Szukam cię i szukam! Dzieją się straszne rzeczy!

– Nieprzyjaciel znowu ruszył do ataku?

– Żeby tylko to! Tak... Bérault znowu przystąpił do ataku i odpieramy go, lecz ci, którzy nie bronią murów, rzucili się do zdobywania wieży w zamku!

– Wieża! Chcą głowy Gerwazego! – domyślił się przeor.

– Krzyczą, że to niegodziwe, by ten złoczyńca ciągle pozostawał przy życiu. Prowadzi ich Marcin... Chcą wyważyć bramę palem...

Katarzyna i przeor nie czekając na dalszy ciąg opowieści Jossego, ruszyli biegiem w stronę zamku, skąd dobiegało rytmiczne: „I raz... I dwa! I raz.... I dwa....!” oraz potężne walenie o grubą, wzmocnioną żelaznymi okuciami bramę.

Przeor gnał tak szybko, jakby wszyscy diabli deptali mu po piętach, toteż Katarzyna wkrótce została w tyle, przyjmując pomocne ramię Jossego.

To, co się działo pod wieżą, przypominało piekło. Rozwścieczony, ryczący tłum atakował nowe mury wieży jak nawałnica, lecz zanim Katarzyna z Jossem tam dotarli, przeor już zdołał przedrzeć się w sam środek zawieruchy i zasłoniwszy bramę czarną sutanną, stanął jak tarcza pomiędzy bramą a palem, wprawianym w ruch ośmioma parami muskularnych ramion.

– Zejdź nam z drogi, ojczu! – krzyknął wielkim głosem Marcin Cairou. – To nie twoja sprawa!

– A właśnie że moja, synu! Bowiem w tej chwili wystawiasz swą duszę na potworne niebezpieczeństwo! Czego chcesz?

– Sprawiedliwości! Chcemy głowy Gerwazego! Zejdź nam z drogi! Przy wydatnej pomocy Jossego, który torował sobie i swej pani drogę wśród tłumu bez najmniejszej delikatności, Katarzynie udało się dotrzeć do bramy i stanąć obok przeora. Jedno spojrzenie wystarczyło, by stwierdzić, że niebezpieczeństwo jest prawdziwe: Marcina otaczali bowiem najbrutalniejsi z chłopców stajennych, pasterze bydła, rzeźnicy, a z drugiej strony wszelkiego rodzaju nieroby i hultaje, których nigdy nie brak w żadnym mieście. Katarzyna mogłaby przysiąc, że oczy ich błyszczały nie tylko żądzą sprawiedliwości, lecz

głównie żądzą łupienia!

– Ja tutaj wydaję wyroki, Marcinie Cairou! – krzyknęła. – Każ twoim ludziom odejść, inaczej moja sprawiedliwość może dotknąć i ciebie... gdyż ośmielasz się podnieść rękę na dom twego pana, i to w czasie jego nieobecności oraz zagrożenia miasta! To zbrodnia i najgorsza zdrada, za którą zasłużyłeś na stryczek! Zrozumiałeś?

Płóciennik wypuścił pal, stanął przed kasztelanką w rozkroku i zatknąwszy dumnie ręce za skórzany pas ściskający jego czarną koszulę spojrzął na nią hardo.

– Powieś mnie, pani! – zagrzemiał – lecz oddaj mi to, czego żądam! Umrę z radością, jeśli przedtem moje oczy będą mogły się napawać trupem tego, który zabił moją córkę i sprzedał nasze miasto!

W głosie Marcina brzmiała nienawiść, ale i ból, a także prawdziwa rozpacz. Pani de Montsalvy podeszła do tego człowieka, którego znała z jak najlepszej strony jako sprawiedliwego, lojalnego i oddanego jej poddanego. Łagodnie położyła dłoń na wypiętej piersi, do której przyczepiły się żdźbła konopi.

– Przecież obiecałam ci, Marcinie, że sprawiedliwości stanie się zadość! Po co więc to wszystko?

– Wyjdź, pani, na mury i popatrz, co się święci! Nieprzyjacielowi również znudziło się czekanie! Właśnie ścina nasze drzewa i buduje maszyny oblężnicze! Niebezpieczeństwo rośnie z godziny na godzinę i może już jutro zostaniemy zmieceni z powierzchni ziemi! Nasi ludzie giną, trzech tego ranka, nie licząc pana Donata, którego wieczorem złożymy do ziemi, ani tych, którzy w tej chwili padają na murach! W tym czasie Gerwazy Malfrat żyje nadal, osłonięty od ciosów, prosząc diabła, z którym jest za pan brat, by jego kompani nadciągnęli w porę go uwolnić! Czeka! I ty pani też czekasz! Na co, pytam się?

Zapadła cisza pełna wyczekiwania i wstrzymywanych oddechów.

Katarzynie trudno było się przyznać, że ustępuje przed silniejszymi. Odwróciła twarz w stronę przeora, lecz ten spuścił głowę i złożony ręce poruszał wargami w modlitwie. Zrozumiała, że nie chciał niczego jej narzucać, pozwalając samej podjąć decyzję, której jako sługa boży nie mógłby wziąć na swe barki.

Spojrzała na udręczoną twarz Marcina i pomyślawszy, że musi opuścić tych ludzi, zostawić ich samych z niebezpieczeństwem, co prawda żeby ich uratować, lecz zostawić ich samych jak sieroty, poczuła, że życie niegodziwca było niczym w porównaniu z ich rozpaczą i rozczarowaniem. Zdobyli niepisane prawo do tej surowej sprawiedliwości, której tak się domagali.

Uniółszy głowę, utkwiała wzrok w spojrzeniu Marcina, który ani drgnął.

– Gerwazy Malfrat – powiedziała dobitnie – zostanie powieszony dzisiaj o zachodzie słońca!

Słowa kasztelanki przywitała burza entuzjazmu, lecz ona ujawszy rąbek sukni ruszyła w środek tłumu, który rozstał się przed nią, i pomknęła do swoich apartamentów. Rzuciwszy się na łożo, wybuchnęła gorzkim szlochem spowodowanym własną słabością i nieudolnością. Nie, nie była stworzona do tej strasznej roli szefa wojny, pani olbrzymiego lenna z ogromem bezlitosnej odpowiedzialności za wszystko i za wszystkich! I jeśli potrafiła w razie potrzeby zabić, to jednak wydanie wyroku śmierci było okropnym przeżyciem.

Długo płakała, znajdując ulgę dla skołatanych nerwów w wylanych łzach. Kiedy wreszcie podniosła spuchnięte oczy, ujrzała przy sobie Sarę i Jossego, patrzących na nią bez słowa. Wstydzając się, że ktoś był świadkiem jej słabości, wyprostowała się i odrzucając włosy w tył głowy rzuciła:

– No i co się tak patrzycie?

Sara, nie zrażona, usiadła obok swej pani i przecierała jej oczy płóciёнkiem z zimną wodą.

– Musiałaś się wypłakać, potrzebowałaś tego. Inaczej mówiąc, przeor Bernard chce, by ruszyć tej nocy. Sądzi, że o północy będzie to możliwe, i kazał ci powiedzieć, abyś była gotowa. Zresztą przyjdzie tu, tak jak ci obiecał, po pogrzebie. O świcie musimy być już daleko, gdyż możliwe, że będzie musiał rozpocząć negocjacje wcześniej, niż przewidywał.

– To on o wszystkim wam powiedział?...

– Tak, i przyznaliśmy mu całkowitą rację – odparł Josse.

– Przyznaliście mu rację, ponieważ jesteście mymi przyjaciółmi – powiedziała Katarzyna z goryczą. – Lecz co powiedzą inni? Że uciekłam... żem ich zostawiła...

– O uparta głowo! Nie tylko zrozumieją, ale będą się za ciebie modlić i czekać na pomoc! – protestowała Sara.

– Niech się pani nie martwi, wszystko dobrze pójdzie! – zapewniał Josse. – Chociaż...

– Chociaż?

Widać było, że intendentowi trudno się zdecydować, wreszcie wziął się na odwagę i rzekł:

– Chciałbym prosić – rzekł wreszcie, miętosząc nerwowo złożony sznur podtrzymujący zasłony łoża – chciałbym, żebyś zabrała ze sobą Marię! Mam oczywiście zaufanie do przeora, lecz... nigdy nic nie wiadomo... A ona jest taka ładna. Dostyc już w swoim życiu wycierpiała...

– Zabiorę Marię ze sobą – odparła Katarzyna i podchodząc do Jossego uścisnęła go jak brata. – Chociaż... wiedząc, jak cię kocha, nie jestem pewna, czy się zgodzi.

– Tym razem – powiedział zmieszany – użyję męzowskiej władzy... Mam nadzieję, że będzie mi posłuszna... zwłaszcza gdy ty pani jej rozkażesz...

Ta sugestia w formie prośby rozbawiła Katarzynę.

– Uczynię to, o co mnie prosisz, Josse. Maria pojedzie ze mną, możesz być spokojny!

Kiedy zapadła noc, rozdzwonił się dzwon klasztorny za duszę pana Donata de Galauba i trzech innych, którzy zginęli w obronie Montsalvy.

Następnie, kiedy krypta zamkowa zamknęła się nad starym mistrzem fechtunku, który ongiś włożył małą, drewnianą szpadkę w ręce Arnoldka, Katarzyna wraz ze swoimi zaczęła przygotowania do wyprawy.

Zgodnie z obietnicą przeor odwiedził kasztelanę po pogrzebie. Zasiadli przy kominku w sali honorowej, jak to zwykle bywało, kiedy pan de Montsalvy przebywał w swoich włościach. Odgłosy miasta i echa walki dawno umilkły. Słyszeć było tylko krzyki strażników odpowiadających sobie na murach, a z daleka dobiegały odgłosy uczt u nieprzyjaciela po widocznie udanej napaści na pobliskie Junhac. Dla Katarzyny była to narada wojenna...

– Obiecałeś mi pewną historię, ojczec. A więc słucham... Sądzę, że

nadeszła pora...

– Przed nami jeszcze dwie godziny, ale masz, pani, rację: nadeszła odpowiednia pora... Jesteśmy, jak wiesz, pani, ziemią azylu, Montsalvat, i zawsze przeciwstawialiśmy dzikiej, brutalnej sile zaporę dobrotliwości i miłosierdzia. U nas znajdowały zawsze schronienie ofiary wojen, biedni, wagabundy, złodzieje i wszyscy doświadczeni przez los. Niestety, od dawna już nie jesteśmy ostoją uciekinierów ani miejscem schronienia, dokąd uciekali ludzie ścigani przez innowiercę, Normandczyka czy Saracena. Dawniej było w Owernii wiele klasztorów, lecz ze wszystkich nasz był najbardziej święty... i najlepiej ukryty, gdyż strzegliśmy pilnie świętych relikwii.

Wszystko zaczęło się dawno temu, jeszcze zanim szacowny Gausbert założył klasztor...

Pewnego wieczoru, pod koniec 999 roku, podczas gdy cały kraj i cała Europa czekała w strachu, aż wybije wróżebna godzina roku tysięcznego, w którym to roku miał nastąpić koniec świata, przybył na te prawie pustynne ziemie pewien podróżny. Zwał się Mandulf i przybywał z Rzymu...

Przeor zamilkł na widok Sary, która wniosła na tacy wino ziołowe i dymiące placki miodowe.

– Czy wszystko przygotowane do drogi? – spytała Katarzyna.

– Tak. Maria i Bérenger prawie skończyli, a i ja też już jestem gotowa. Dzieci śpią i nie obudzą się, gdy je zabierzemy. Wrócę tu później...

Po czym zniknęła, niezadowolona, że ani Katarzyna, ani przeor nie starali się jej zatrzymać. Kasztelanka jednak zbyt była ciekawa dalszego ciągu opowieści przeora.

– No i co było dalej?

– Otóż w Rzymie jeden z naszych synów wstąpił na tron Piotrowy. Przyjął on imię Sylwester II, a był to słynny mnich Gerbert, o którego barwnym życiu nasłuchałaś się wielu opowieści. Z pewnością nie był on prostym pastuszkim, kiedy wstąpił do klasztoru w Aurillac. Ten dziwny chłopiec znał niejedną tajemnicę przyrody, które odkrył w bardzo młodym wieku dzięki wrodzonej ciekawości i samotniczemu życiu.

W klasztorze rzucił się do zdobywania wiedzy z niebywałą zachłannością. Wkrótce przewyższał już umiejętnościami swoich preceptorów i zaczął tak brylować, że mnisi spoglądali na niego z ukosa, a nawet podejrzewali go o układy z kusym.

Wtedy Gerbert opuścił klasztor, by udać się w daleki świat, który jawił mu się jako jedyna szkoła na miarę jego uniwersalnego umysłu. Dotarł do Katalonii, i to nie przez przypadek. Otóż chciał tam zgłębić tajemnice starych wizygockich, aryjskich i heretyckich królów, którzy – w określonym celu – przechowywali starożytne sekrety. W jego rodzinnej Owernii starzy opowiadali o wielkim strachu, jaki ogarnął kraj na wieść o tym, że nadciąga Euryk, wizygocki Klodwig, człowiek, który podbił Portugalie, Górną Hiszpanię, Nawarrę, Galię południową i pobił Bretończyków pod Bourges.

Zagorzały Aryjczyk, lecz bez wrogości wobec chrześcijaństwa, skoro uczynił świętego Leona najbardziej zaufanym doradcą, Euryk nigdy nie rozstawał się ze swoim skarbem, którego strzegł jak oka w głowie. Jego obecność zdawała się jedyną rękojmią jego własnego życia. Legenda głosi, że potworny wrzód, który wyrósł mu na boku, powiększał się, gdy tylko Euryk

zmuszony był oddalić się od swego skarbu.

Kiedy umarł w 484 roku, na tron wstąpił jego syn Alaryk. Był to zwykły heretyk i skarbem zajął się jego teść, Teodoryk, król Italii, który porwał go i zawiózł do stolicy, Rawenny. Skarb zniknął wraz ze śmiercią Teodoryka, który kazał go zamurować w swoim grobowcu wybudowanym w Rawennie... – gdzie nasz Gerbert, kiedy został arcybiskupem w tym mieście, miał go odnaleźć. Niedługo potem został obrany na tron papieski, a przed śmiercią postanowił darować go swojej ukochanej Owernii. Wtedy powierzył skarb owemu zrodzonemu na ziemi wulkanów Mandulfowi, który od dawna był jego przyjacielem. Mandulf postanowił wybudować dla skarbu pewne schronienie i wykuł podziemną kaplicę, którą ci pokazałem, a Gausbert, kontynuując jego dzieło, wznosił nad podziemną kaplicą klasztor...

Przeor zamilkł na chwilę, by zaczerpnąć powietrza i uspokoić emocje, które poczuł opowiadając o początkach klasztoru.

Katarzyna, która słuchała nie przerywając, skorzystała z okazji, by zadać gnębiące ją pytanie.

– Ojczy Bernardzie, powiedz, co to za skarb, co to za relikwia? Musi być niezwykle cenna!

– Bardziej niż myślisz, moja córko! Chociaż był to zwykły, prosty srebrny kielich, pokryty patyną czasu... lecz wiedz, córko, że z tego kielicha w czasie Ostatniej Wieczerzy Jezus Chrystus...

Katarzyna drgnęła.

– Chcesz powiedzieć, że to, co zniknęło z kaplicy... to był Graal? Przeor uśmiechnął się ze smutkiem wzruszając ramionami.

– Tak jest nazywany. Tak, to był prawdziwy Graal. Zanim Chrystus przyszedł na świat, kielich ten służył w zwykłym domu w Jerozolimie. Dopiero boski kontakt, misterium pierwszej mszy uczyniły z niego wyjątkowy skarb, jedyny na świecie. Po Drodze Krzyżowej Józef z Arymatei powierzył go Piotrowi, który udał się, by nawracać niewiernych, i w skromnej szacie Wielkiego Grzesznika przebył przez morza i zaczął swoją misję w naszym kraju. Są tacy, którzy utrzymują że Józef posłużył się nim, żeby zebrać doń krew Ukrzyżowanego. To kłamstwo. Kielich zawierał boską krew wcześniej, kiedy Jezus podał kielich swoim uczniom. Tak, pani Katarzyno, byliśmy strażnikami Graala! A nasze Montsalvy nie jest niczym innym jak tamtym Montsalvat z legendy. Niestety, straciliśmy go.

– Co się z nim stało? Był tak dobrze schowany...

– Został wykradzony. Lecz nie był to złodziej... lub dokładniej mówiąc – zwykły złodziej. Otóż potem zainstalowali się w całej Francji ludzie zajmujący się rozwiązywaniem najlepiej strzeżonych sekretów: byli to templariusze. W Carlat założono potężną komandorię, która szybko rozszyfrowała wszystkie miejscowe legendy. W jaki sposób dowiedzieli się o tajemnicy Montsalvy? Nie wiem... lecz pewnego dnia 1274 roku przybył do klasztoru sam wielki mistrz zakonu na czele licznego oddziału. Zamknął się w klasztorze z ówczesnym przeorem, człowiekiem onieśmielonym wizytą tak wielkiej osobistości. Rozmowa trwała bardzo długo i można przypuszczać, że przeor bronił dzielnie tajemnicy. Niestety prawdą jest, że kiedy wielki mistrz odjechał, podziemna kaplica była pusta.

Katarzyna słuchała w zamyśleniu, a słowa przeora odbiły się w jej

pamięci głębokim echem. Bowiem po raz drugi w życiu napotykała na swej drodze templariuszy.

Przecież to nimi i ich bajecznym skarbem posłużyła się, aby wciągnąć do pułapki w Chinon swego najgorszego wroga, Jerzego de la Tremoille'a, kiedy w przebraniu Cyganki zwabiła go złotą ułudą, która przypieczętowała jego zgubę.

– Dziwne – wyszeptała. – Co za zbieg okoliczności. Dawno temu mój mąż opowiedział mi, że w czasach kiedy król Filip zgniótł templariuszy, jeden z jego przodków dostał za zadanie umieścić w bezpiecznym miejscu skarb zakonu. Według mnie jest pewne, że Graal musiał stanowić jego część.

– Masz, pani, całkowitą rację. To Hugon de Montsalvy wraz z kuzynem wielkiego mistrza zostali obarczeni tą niebezpieczną misją, lecz wkrótce potem Hugon zmarł w nie wyjaśnionych okolicznościach. Tajemnica skarbu została pochowana do grobu wraz z nim i nigdy nie dowiedzieliśmy się, czy wśród ukrytych bogactw znajdował się nasz utracony skarb. Czy templariusze posiadali jeszcze święty kielich? Czy też czyn wielkiego mistrza, który wyrwał go z jego tajemnego schowka, ściągnął na zakon gniew boży, nie wiem...

– Gdyby można było go odnaleźć... sprowadzić tutaj z powrotem – szepnęła kasztelanka.

– Byłbym najszcześniejszym z ludzi – podjął przeor – lecz dawno już straciłem nadzieję, że kiedyś go zobaczę. Sądzę, że znajduje się w skrytce zbyt głębokiej, zbyt czystej, by ręka człowieka mogła go dosięgnąć... chyba żeby liczyć na cud. A może tak właśnie jest lepiej, gdyż ludzie zawsze go szukali i będą szukać, zwłaszcza ci, którzy przedkładają marzenia nad szarą rzeczywistość. Jest to coś na kształt poszukiwania samego Boga...

W tej chwili wróciła Sara, lecz nie weszła do środka i tylko stojąc w progu rzuciła:

– Już czas. Wydzwoniła północ. Nie słyszeliście?

– Nie – uśmiechnęła się Katarzyna. – Odpłynęliśmy daleko stąd...

– Możliwe, lecz pora ruszać w drogę! Twoje ubrania są przygotowane.

Przeor wstał z krzesła.

– Zostawiam was. Spotkamy się za chwilę przy bramie klasztornej, która będzie nie domknięta. Tymczasem pójdę sprawdzić, czy wszystko skończone.

Pół godziny później kilka cieni opuściło zamek. Katarzyna i Maria ubrane były w męskie, czarne stroje, z tym że Katarzyna miała w sakiewce zatkniętej u pasa sporo kosztowności i sztylet – sztylet, który był jej zupełnie obojętny. Tamten z krogulcem, wierny jej towarzysz w ciężkich chwilach, zginął w Grenadzie, kiedy wleczono Arnolda do więzienia za to, że zabił siostrę kalifa, Zobeidę, która chciała uśmiercić Katarzynę posługując się węzem.

Za nimi szła Sara z małą Izabelą w koszyku. Następnie podążał Bérenger z Michałem na plecach, siedzącym w wielkim worku wymoszczonym poduszką. Katarzyna i Maria niosły worki z rzeczami pierwszej potrzeby dla wszystkich.

Pochód zamykał Josse. Miał towarzyszyć ekspedycji do klasztoru, aby upewnić się, że nikt ich nie zauważył.

Czarne cienie przesuwały się pod murami. Na szczęście noc była bezgwiezdna i ciepła. Znad płaskowzgórza wiał lekki wiatr niosąc pierwsze zapachy wiosny, lecz Katarzyna nie czuła nic oprócz poczucia winy, że opuszcza miasto ukradkiem, prawie jak złoczyńca. Pomimo wszystkich przekonywań nie mogła przepędzić myśli, że to dezercja...

Kiedy dotarli do klasztoru, Josse bez słowa wziął żonę w ramiona, uściśnął wszystkim dłonie, odwrócił się i ruszył z powrotem do zamku nie patrząc za siebie.

Katarzyna otoczywszy ramieniem pochlipującą Marię pchnęła bramę, za którą ukazały się czarne habity przeora i brata Antyma. W klasztorze panowały egipskie ciemności, nie licząc chybotliwego ognika lampy, którą przeor postawił przy stopniach wjazdu. Kłapa była odsunięta i czekała.

– Możecie schodzić – szepnął. – Brat Antym pójdzie na czele. Niech Bóg ma was w swej opiece! Do Carlat macie jakieś osiem mil drogi, lecz przed tobą, Katarzyno, droga o wiele dłuższa. Nie przeciągajmy pożegnań, gdyż one tylko osłabiają odwagę. Będę prosił Boga, byśmy się wkrótce znowu zobaczyli...

Uniósł dwa palce w geście błogosławieństwa i zastygł w nim, dopóki ostatni z uciekinierów nie zniknął w podziemiu. Następnie zasunął wjazd i udawszy się do prywatnej kaplicy, spędził na modłach całą noc. Modlił się za uciekinierów, za tych których pogrzebano wieczorem... a także za Gerwazego Malfrata, którego powieszono o zmierzchu i którego ciało dyndało łagodnie na szubienicy wzniesionej na najwyższej wieży ku przestrodze nieprzyjaciela.

Zwłaszcza dusza podłego Gerwazka potrzebowała modlitwy. Umarł tak, jak żył, jak tchórz, płacząc, skomląc o łaskę i skręcając się jak wąż, tak że Mikołaj Barral musiał palnąć go w łeb, by wreszcie móc nałożyć mu na szyję sznur konopny.

Na koniec przeor zmówił modlitwę za Ratapennadę, starą, niegodziwą czarownicę, zaszytą w swej chacie w leśnych ostępach, z której nadal rzucała uroki na mieszkańców miasta. Przewielebny święcie wierzył, że jej los jest przesądzony i że już nic nie uchroni więdźmy przed stosem...

W tym czasie uciekinierzy przebyli podziemie i po półgodzinie bez przeszkód je opuścili. Kiedy doszli do grotty, gdzie wychodził tunel, Katarzyna nabrała powietrza w płuca, wsłuchując się w radosny szmer strumienia, który w dolinie zamieniał się w rwący potok.

Brat Antym pochylił się w jej stronę:

– Czy dobrze się czujesz, pani? Ojciec przeor miał obawy z powodu twojej rany.

– Nigdy nie czułam się lepiej, bracie! Ruszam do boju, a to jest dla mnie najważniejsze! Nawet jeśli nie uda mi się dotrzeć do Arnolda, dopadnę tego Gonneta, możesz być pewien!

I chwyciwszy z pasją jeden z kosturów przygotowanych przez przeora, ruszyła w dół ścieżką prowadzącą do strumienia. Za skałami otaczającymi dolinę schowało się uśpione miasto i obozowisko wroga.

CZEŚĆ DRUGA

WIĘZIEŃ BASTYLII

Rozdział szósty

WIDMO PARYŻA

Dojeżdżając w pobliże wysokich murów klasztoru jakobinów, w sąsiedztwie bramy Świętego Jakuba, Katarzyna skierowała konia w stronę małego wzgórza zwieńczonego krzyżem ukrytym wśród winorośli. Po czym, odrzuciwszy kaptur na ramiona, spojrzała na zalany deszczem Paryż...

Minęły już dwadzieścia trzy lata, od kiedy opuściła rodzinne miasto po rzezi urządzonej przez Caboche'a, w której zginął jej ojciec i młody Michał de Montsalvy, starszy brat Arnolda i tylu innych, kiedy to jej spokojny świat dzieciństwa zawałił się wśród łez, krwi i cierpienia, i rozpoczęły się jej nieprawdopodobne przygody.

– A oto stolica królestwa! – rzuciła do swego towarzysza. – Oto Paryż, który przez długie lata był w rękach Anglików i który konetabl właśnie oswobodził.

W istocie, wiadomość o wyzwoleniu Paryża dopadła ich pod Orleanem oznajmiona wielkim głosem przez jeźdźca ze stajni królewskich, wysłanego do Issoudun, gdzie wówczas przebywał król Karol VII.

„Zwycięstwo! Zwycięstwo! Konetabl de Richemont wszedł do Paryża! Miasto jest nasze!...”

Pogoda była pod zdechłym psem, padał drobny, uparty deszcz wciskający się w każdy zakamarek ciała, lecz krzyk posłańca owionął strudzonych jeźdźców jak tchnienie wiosny, jak kielich rosy wylany na zwiędłą roślinę.

Istotnie, droga była długa i ciężka. Minęły dwa tygodnie, od kiedy Katarzyna i jej paż opuścili Carlat. Nietrudno było podążać śladem bękarta Gonnet, gdyż drogę jego przejazdu znaczyły spalone sioła, pozarzynane bydło gnijące przy zagrodach, zwęglone szczątki pozbawione głów.

Dobrzy ludzie zapytani przez Katarzynę potwierdzali, że mieli do czynienia z tym zaledwie dwudziestoletnim mężczyzną, który tylko z pozoru był człowiekiem. Bez obawy zbliżali się do tego pięknego, całego w czerni kawalera o płowych włosach, za którym jechał dorastający młodzieniec. Przemawiał on tak łagodnie, a jego dłoń odziana w rękawiczkę wkładała w ich chropowate dłonie kilka srebrnych monet. Pasterze z gór jak i wieśniacy z dolin zachowali w swych wystraszonych oczach przerażający obraz tamtego jasnowłosego mężczyzny, jego topora oraz zatkniętej u siodła obciętej głowy, którą raz po raz wymieniał na świeżą...

Twierdzili, że towarzyszyło mu sześciu ludzi, podążających za nim jak stado wilków za swym przodownikiem, i biada oddalonemu domostwu, biada wieśniakowi samotnie pasącemu stado, biada dziewczynie powracającej z sąsiedniej osady czy ze źródła: Gonnet i jego banda nie przepuścili nikomu, nie znając innego sposobu na zdobycie pożywienia i na umilenie sobie wędrówki niż przemoc i tortury.

Wkrótce pod Clermont okazało się, że Gonnetowi nie śpieszyło się do Paryża, gdyż ponoć napotkał po drodze Rodryga Villa-Andrando, przywódcę Rzeźników, łupiącego z wielkim powodzeniem okolice, z którym Gonnet

związał się ongiś przysięgą.

– Nawet gdybyśmy mieli nadłożyć drogi przez tego Rodryga, jego obecność nie jest taka zła – powiedział Bérenger. – Jeżeli dwaj piraci spotkali się, z pewnością zaczną świętować, może zafundują sobie jedną z ich ulubionych rozrywek, mały wspólny wypad w okolicę. To zabierze im trochę czasu, a ponieważ Gonnet nie wie, że jesteśmy na jego tropie, nie śpieszy się. Możliwe więc, że dzięki pojawieniu się Rodryga Villa-Andranda nadrobimy nasze opóźnienie, a nawet może przyjedziemy do Paryża razem z Gonnetem...

Mało brakowało, a Katarzyna byłaby uściskała pazia z radości. Ze zdwojonym zapalem ruszyła w dalszą drogę, która przez Bourges i Orlean prowadziła do celu.

Spotkanie królewskiego posłańca dodało jej skrzydeł: wiadomość o wyzwoleniu Paryża wypełniła jej serce radością i świeżą nadzieją: skoro stolica wróciła do prawowitego właściciela, pan de Montsalvy będzie mógł szybko wrócić do domu i przepędzić najeźdźcę.

Oczywiście, wokół stolicy były jeszcze miejsca pozostające w rękach Anglików, lecz do całkowitego oczyszczenia terenu konetabl mógł obejść się bez Arnolda.

W Corbeil napotkali przednią straż armii królewskiej. Oddziały Richemonta zdobyły miasto niedawno otoczywszy je. A teraz Paryż roztaczał przed Katarzyną i jej towarzyszem las dachów opadających z przedmieścia Świętego Jakuba w wilgotnej mgle, w której majaczyły wieże kościołów, Sekwana i jej wyspy.

Nagle Katarzyna usłyszała głos Barnaby, starego żebraka z Dziedzińca Cudów, który ongiś kochał ją jak ojciec i który umarł dla niej... Przypomniała sobie tamten lipcowy dzień, kiedy to w barce wypełnionej wyrobami garncarskimi płynęli razem w górę Sekwany, by dostać się do Dijon, do domu wuja Mateusza, w którym znalazła schronienie wraz z matką i siostrą.

Równocześnie usłyszała pieśń, którą tamtego dnia śpiewał w barce Barnaba:

*To miast wszystkich jest królowa,
Studnia, źródło nauk wszelkich,
Nad Sekwaną położona,
Lasów, łąk i winnic,
Dóbr żywota doczesnego
Więcej ma niż inne miasta.
Także obcy ją kochają
I kochać będą,
Bo piękna jest tak,
Że innego takiego miasta nigdzie nie znajdą,
Gdyż nic nie równa się Paryżowi...*

Westchnienie pazia przywołało ją do rzeczywistości i spostrzegła, że musiała myśleć głośno, gdyż Bérenger powiedział:

– Nie można zaufać poetom, oni zawsze widzą samo piękno... Popatrz, pani, jakie smutne jest to miasto.

Istotnie tak było i Katarzyna nie mogła poznać miasta swego dzieciństwa. Kiedy je opuszczała, ulicami lała się krew, a mimo to zachowała zachwycone wspomnienia, gdyż oczy dziecka są jeszcze jaśniejsze niż oczy poetów.

Niestety, miasto, które miała przed oczami, nie miało nic wspólnego z jej wspomnieniami ani z wierszem poety. Oczywiście, jak dawniej było rozległe i imponujące, lecz przyglądając się uważniej, odnosiło się szczególne wrażenie, że to fatamorgana, ułuda, miasto-duch, pozbawione swej substancji, pomimo pasemek dymu wydobywających się z kominów.

Katarzyna z westchnieniem opuściła stanowisko obserwacyjne i skierowała się do bramy Świętego Jakuba, szeroko otwartej o tej porannej porze i strzeżonej przez łuczników. Przekraczał ją istny tłum żebraków w plugawych sukniach, kierujących się do klasztoru jakobinów, gdzie na progu stał mnich z koszem pełnym bochenków chleba. Zbliżywszy się Katarzyna stwierdziła, że cały ten nędzny ludek nie przypominał tamtych żebraków z królestwa króla Thune, z których prawie każdy był zawodowcem: tutaj w większości tłoczyły się kobiety, dzieci, podtrzymujący się staruszkowie z nędzą wrytą na twarzach.

Odezwały się dzwony klasztorne, co było znakiem dla innych dzwonów w mieście, które rozbrzmiały zgodnym chórem. Katarzyna uzmysłowiła sobie, że jest I maja i że to pora sumy. Przez chwilę zawahała się, czy wchodzić do klasztoru jakobinów, lecz jej niecierpliwość i pragnienie odnalezienia męża oraz usunięcia wiszącego nad ich głowami niebezpieczeństwa okazały się silniejsze.

Pchnęła konia pod czarne sklepienie bramy, gdzie roznosił się nieprzyjemny odór uryny i zjełczanego oleju. Na straży stało tu dwóch żołnierzy, jeden z nich dłubał w zębach, drugi zaś spluwał pod nogi, oparłszy się niedbale o bramę. Katarzyna do niego skierowała pytanie:

– Chcę widzieć się z konetabłem! Gdzie mogę go znaleźć? Strażnik zaprzestał swego zajęcia, odsunął hełm na tył głowy i przyjrzał się dwóm kawalerom z nie udawanym zaciekawieniem. Wynik tego badania nie był chyba zbyt korzystny, gdyż zarechotał, ukazując zęby nie zasługujące zupełnie na taki przywilej.

– Hola, mospanie! Widzieć się z konetabłem, powiadasz? Tylko tyle? He, he, he! Myślisz, że my go tak sobie pokazujemy pierwszemu lepszemu?... Ciekawe jak?...

– Nie pytam jak! Pytam gdzie! – przerwała ze zniecierpliwieniem Katarzyna.

Zdecydowany ton nieznanego zmusił łucznika do baczniejszego przyjrzenia się przybyłym, na których przed chwilą zauważył jedynie grubą warstwę kurzu. To pozwoliło mu odkryć, że byli zmęczeni, że mieli kosztowne, choć zakurzone stroje i że ton tego młodzieńca o tak łagodnym głosie zdradzał kogoś, kto zwykł wydawać rozkazy.

Szybko nałożył hełm, poprawił postawę i mruknął:

– Jego wysokość zajmuje apartamenty w hotelu Pod Jeżozwierzem przy ulicy Przebitej, niedaleko kościoła Świętego Pawła...

– Wiem, gdzie to jest – przerwała chwytając konia za uzdę. – Dziękuję, przyjacielu...

– Hej! Poczekajże! Do diabła, ależ ci się spieszy, panie! W tej chwili nie zastaniesz go w hotelu...

– Z powodu?...

– Bo go tam nie ma!

– A gdzie jest z przeproszeniem waści?

– W klasztorze Świętego Marcina z Pól wraz ze wszystkimi swoimi

kapitanami, częścią armii i tłumem ludzi stąd. Odbywa się tam ceremonia...

Katarzyna nie czekała jednak, by się dowiedzieć, o jaką ceremonię chodzi. Strażnik bowiem wymówił magiczne słowo „kapitanowie”, co oznaczało, że i Arnold musiał tam być!

Z radością rzuciwszy żołnierzowi monetę, którą chwycił w locie, opuściła bramę i ruszyła w dół ulicy Świętego Jakuba w strugach gęstniejącego deszczu.

– Daleko do tego klasztoru? – spytał Bérenger marzący o ciepłym i suchym schronieniu.

– Z drugiej strony miasta, ale droga jest prosta. Wystarczy przejechać tę ulicę, przebyć Sekwanę i dojechać do murów obronnych.

– Rozumiem – odparł paż z rezygnacją – jeszcze tylko drobna mila... Lecz po chwili przestał ciężko wdychać, podziwiając nowe miejsca, które Katarzyna potrafiła zachwalić.

– Ta ulica na pewno ci się spodoba, Bérenger. Jesteśmy na słynnej górze Świętej Genowefy, w dzielnicy studentów, a oto szkoły po obu stronach ulicy, ta to Cholets, tamta po mojej prawej to Mans, a prosto przed nami słynne gimnazjum de Plessis, o którym opowiadają istne cuda.

Bérenger pożałował wzrokiem chropowate i odrapane budynki, przypominające w najlepszym wypadku więzienie czy klasztor, nie widząc ich pozieleniałych ścian, wybitych okien ani śmieci pod murami.

Dla niego to miejsce tchnęło duchem wiedzy i młody Owerniak poczuł się, jakby otwarły się przed nim bramy rajy.

Co prawda rajy bardzo niespokojnego, jako że kilka kroków od gimnazjum de Plessis jakiś student w krótkiej, czarnej pelerynie, o wygłodniałym wyglądzie, z tabliczką do pisania zawieszoną u paska i niezwykle płaską sakiewką, wskoczywszy na studnię przed gospodą Pod Baryłką, przemawiał do swoich współbraci i kilku przypadkowych mieszczan. Był to około dwudziestoletni chłopiec o włosach rudych jak marchewka i chudy jak deska. Widocznie codziennie nie dojadał, gdyż jego ciało to była istna skóra i kości.

Lecz fakt, że student miał pusty żołądek, nie ujmował nic jego potężnemu głosowi, którego to organu nie powstydziliby się sam herold królewski. Głos ten, jak dzwon katedry, roznosił się po całej ulicy. Jako szanujący się student wyrażał swoje niezadowolenie i łatwo było zrozumieć, że namawia słuchaczy do rebelii.

– A jak myślicie, dobrzy ludzie, co będą dzisiaj rano robić konetabl de Richemont i jego żołnierze? Zbożne dzieło? Nic z tych rzeczy! Oddadzą hołd jednemu z naszych najgorszych wrogów! Zgniłym kościom dzikiej bestii, która ongiś przegnała naszych burgundzkich przyjaciół i sprowadziła na nas, mieszkańców Paryża, nieznośny terror! Kto z was zniesie, by dzisiaj okadzać tego wysłańca szatana, przeklętego konetabla d’Armagnac, który wszystkim dał się we znaki?...

Jeden z przysłuchujących się mieszczan roześmiał się przerywając mu.

– Przesadzasz, przyjacielu! Mówisz o sprawach sprzed co najmniej dwudziestu lat! Tobie samemu nie mógł się on dać wiele we znaki!

– Już w łonie matki wiedziałem, co to niesprawiedliwość! – huknął potężnie młodzieniec. – W każdym razie my, studenci, pozostaniemy wierni naszemu przyjacielowi, naszemu ojcu, Jego Wysokości Filipowi, księciu

Burgundii i...

Lecz mieszczanin miał jeszcze coś do dodania:

– A kto mówi, żeby nie być mu wiernym? Czy nie widziałeś, Walterze de Chazay, przez te wszystkie dni, że panu de Richemontowi towarzyszy chorągiew i osoba pana Jana de Villiersa z l'Isle Adam, który dowodzi tutaj zastępami burgundzkimi, przybyłymi do pomocy w przepędzeniu Anglików. Jeśli konetabl oddaje dzisiaj honory jednemu ze swoich poprzedników, czyni to za całkowitą zgodą i poparciem Burgundii.

– To tylko zwykła i niechętna ugoda. Pan z l'Isle Adam nie chce pierwszy podważyć świeżej umowy, na której nie zasechł jeszcze atrament zdrajcy z Arras! Ludzie, chodźcie ze mną do Świętego Marcina z Pól, żeby powiedzieć, co o tym myślimy!

Kiedy mieszczanin wymienił imię studenta, Katarzynie przyszedł na myśl przyjaciel drogi jej sercu; miał nawet takie same rude włosy jak Walter Normandczyk i takie same szare oczy. Wreszcie, to nazwisko Chazay coś jej mówiło, coś, co jej pamięć natychmiast przywołała. Po spaleniu Joanny d'Arc, pięć lat temu, chłopak, który wyprowadził ją, Sarę i Waltera z obleżonego Chartres, powiedział, że pochodzi z Chazay...

Czy było to to samo Chazay, będące nazwiskiem niespokojnego studenta? Katarzyna postanowiła iść za nim, tym bardziej że zmierzali w tym samym kierunku.

Studenci wzięli się za ramiona i idąc całą szerokością ulicy dodawali sobie animuszu wykrzykując nieco przestarzałe hasła:

– Niech żyje Burgundia! Śmierć Armaniakom!

Na Cite wichrzyciele stanęli nagle nos w nos z zastępem łuczników prowadzących piękną dziewczynę o czarnych włosach ze związanymi na plecach rękami, która szła z dumnie wyprostowaną głową i ani w głowie jej było zasłaniać nagich piersi wyłaniających się spod rozdartej sukienki. Przeciwnie, uśmiechała się zalotnie do wszystkich mijanych mężczyzn, rzucając w ich stronę żarty, od których nawet zakuty zbój spłonąłby się jak dziewica.

Jej widok doprowadził gniew studentów do białej gorączki.

– Marion! – krzyknął Walter de Chazay. – Marion l'Ydole! Co takiego zrobiłaś, Marion?

– Nic, mój milusi! Tylko pocieszałam cierpiącą ludzkość! Ale tłusta imć z kramu z pasmanterią nakryła mnie w składziku ze swoim nieopierzonym piętnastoletnim synalkiem, którego uwierała cnota i który grzecznie mnie poprosił, bym go od niej wybawiła. Tego się nie odmawia, zwłaszcza w takich ciężkich czasach, ale stara wezwała strażę...

Jeden z łuczników wymierzył jej cios pięścią między łopatki, od którego aż straciła dech i zgięła się wpół.

– Ruszaj, wywłoko! Bo ci tak...

Nie dokończył jednak, gdyż w tej chwili student Chazay rzucił się na żołnierzy, wymachując ramionami i krzycząc:

– Dalej chłopcy! Pokażmy tym prymitywom, że studenci z gimnazjum Navarre nie pozwolą molestować bezkarnie swoich przyjaciół!

Walka była nierówna i wkrótce ziemia usiana była żakami z krwawiącymi nosami i rozciętymi łukami brwiowymi, część żaków w czasie bójki uciekła, a wraz z nimi Marion, której miejsce zajął Walter. Solidnie przytrzymywany

przez dwóch żołnierzy, ciskał przekleństwami na lewo i prawo, powołując się na przywileje uniwersyteckie, podczas gdy trzeci związywał go jak najdokładniej.

– Złożę skargę na was! – wykrzykiwał. – Nasz rektor będzie interweniował, a przewielebny biskup zajmie się moją obroną. Nie macie prawa!...

– Wiadomo, że żakom wszystko wolno – odpalił sierżant dowodzący oddziałem – lecz nie atakować żołnierzy prowadzących więźnia. I radzę twemu rektorowi, żeby siedział cicho, jeśli nie chce nabawić się kłopotów. Pan Filip de Ternant, nasz nowy namiestnik, ma ciężką rękę.

Nazwisko to uderzyło Katarzynę, gdyż pamiętała je z Burgundii. Ongiś, w Dijon czy Brugii, często spotykała pana de Ternanta, który był jednym z przyjaciół księcia Filipa. Istotnie, był to człowiek niewzruszony, lecz dzielny i uczciwy ponad przeciętność. A więc to on był teraz namiestnikiem Paryża? Tego Paryża wyzwolonego przez ludzi króla Karola! Rzeczywiście wszystko musiało się zmienić i okrutna wojna trwająca od lat między Armaniakami i Burgundczykami wreszcie miała się ku końcowi.

Myśląc, że może będzie mogła pomóc krnąbrnemu żakowi, Katarzyna zbliżyła się do sierżanta, który formował swój zastęp.

– Co zrobicie z więźniem, sierżancie? – spytała.

Sierżant przyjrzał się jej, po czym, niewątpliwie zadowolony z oględzin, roześmiał się i wzruszył ramionami.

– To, co się zawsze robi, gdy ci młodzi ludzie za bardzo rozrabiają. Nie ma nic lepszego na ostudzenie gorącej głowy jak loch, woda i czarny chleb; czynią cuda w takich przypadkach.

– Chleb i woda? Ależ on jest taki chudy...

– Wszyscy jesteśmy chudzi. Od wielu tygodni przymieraliśmy głodem, kiedy pan konetabl wkroczył do Paryża. Ruszaj! Czarny chleb lepszy niż żaden! Naprzód!

Katarzyna nie nalegała. Popatrzyła, jak chuda postać zniknęła w bramie Petit Châtelet, przyrzekając sobie, że wstawi się za żakiem przy pierwszej nadarzającej się okazji. Lecz odwróciwszy się stwierdziła, że Bérenger tkwi w miejscu ze wzrokiem utkwionym w wejście do więzienia. Jego oczy błyszczały jak świece.

– Czy nie możemy nic dla niego zrobić? – westchnął. – Student w więzieniu! Umysł, wiedza, światło świata zamknięte w niegodnych murach! Ta myśl jest nie do zniesienia!

Katarzyna powstrzymała uśmiech. Słowa pazia połączone ze śpiewnym, południowym akcentem zabrzmiały jak poemat.

– Nie wiedziałam, że takim podziwem darzysz panów studentów. Lecz prawda, sam jesteś poetą.

– Tak, lecz jestem prawie nieukiem. Tak bardzo chciałbym studiować. Niestety, moi bliscy uważają księgi za narzędzie zagłady i upadku.

– Dziwna rzecz! Przecież sama słyszałam, że kanonicy z Saint-Projet są ludźmi wielce uczonymi. Dlaczego więc uciekłeś od nich... na dodatek podkładając ogień?

– Chciałem zostać żakiem, a nie mnichem, a w Saint-Projet jedno nie obywa się bez drugiego.

– Rozumiem... A więc, przyjacielu, pomyślimy o twoim wykształceniu po

powrocie do domu. Wydaje mi się, że przeor Bernard może wiele ci pomóc. Tymczasem mamy co innego do roboty, tak więc, Bérenger, pozwól, że opuścimy to miejsce, a po powrocie spowoduję, byś i ty mógł czerpać „światło świata”. Teraz zaś ruszajmy.

Zachęcony tak ponętną perspektywą, Bérenger spiął konia i ruszył z kopyta. Po przebyciu Sekwany wybrali najkrótszą drogę, by dotrzeć do konetabla. Katarzynie spieszno było do Arnolda.

Im bliżej klasztoru, tym tłum był gęściejszy, istne morze ludzkich głów, które rozstępowało się przed końskimi kopytami.

Jeźdźcy skierowali się prosto w stronę kordonu żołnierzy broniących dostępu do szpaleru rycerzy w zbrojach z kolorowymi sztandarami oraz ludzi kościoła w odświętnych szatach.

Katarzyna zbliżyła się odważnie do oficera nadzorującego kordon.

– Chcę widzieć się z panem konetablem! – powiedziała wyniośle. – Jestem hrabina de Montsalvy i chciałabym, by mnie przepuszczono, albowiem przybywam z daleka!

Oficer zbliżył się i niezbyt przekonany zmarszczył brwi.

– Utrzymujesz, że jesteś kobietą? – rzekł z pogardą spoglądając na szczupłego kawalera pokrytego grubą warstwą kurzu i w udrapowanym płaszczu, który nader ucierpiał od niepogody.

– Jest tak, jak mówię: jestem hrabina Katarzyna de Montsalvy, dama dworu królowej Sycylii! Jeśli mi nie wierzycie...

Żywo zrzuciła jedwabną siatkę zasłaniającą jej głowę i ramiona, uwalniając masę lśniących włosów, po czym zdjawszy rękawiczkę z prawej ręki podstawiła ją pod nos oficera. W zagłębieniu jej dłoni zaśnił szmaragd królowej Yolandy z wygrawerowanym herbem królewskim.

Skutek był natychmiastowy. Oficer zdjął hełm i skłonił się na tyle głęboko, na ile pozwalała mu jego żelazna zbroja.

– Zechciej wybaczyć, pani, lecz rozkazy naszego pana są ścisłe, a ja muszę zachować czujność. Jestem do twoich usług. Nazywam się Gilles de Saint-Simon i jestem porucznikiem konetabla, czekam na twoje rozkazy...

– Nie mam rozkazów, a jedynie prośbę – odparła z uśmiechem, który z miejsca podbił serce żołnierza. – Pozwól mi przejechać!

– Oczywiście. Lecz musisz, pani, zejść z konia i powierzyć go jednemu z moich ludzi. Hej, wy tam, zrobić miejsce!

Skrzyżowane halabardy podniosły się przed nieznajomą, a oficer z niezwykłą galanterią podał jej rękę, by pomóc zejść na ziemię.

– Będziesz musiała, pani, uzbroić się w cierpliwość, gdyż w tej chwili nie można zbliżyć się do konetabla. W kościele formuje się procesja i wkrótce się pokaże.

– Poczekam – odparła Katarzyna. – Powiedziano mi, że wszyscy kapitanowie uczestniczą w tej ceremonii. Czy mógłbyś mi powiedzieć, gdzie znajduje się mój małżonek?

– Kapitan de Montsalvy? – spytał zmarszczywszy brew. – Czyżbyś, pani, o niczym nie wiedziała?

– O czym, panie? – spytała z niepokojem, czując, że zasycha jej w gardle. – Czy coś się stało? Chyba nie...

– Nie, nie umarł, pani... nie jest nawet ranny, lecz... jest w Bastylii! Od

dwóch tygodni. Ale nie pytaj mnie dlaczego. Tylko konetabl odpowie ci na to pytanie. A teraz, na litość boską, zamilczmy. Zaczyna się procesja i mnisi będą na nas krzywo patrzeć.

Nie musiał jej tego powtarzać dwa razy. To, czego się dowiedziała, odebrało jej głos. Arnold w Bastylii? I to pewnie z rozkazu konetabla! To niemożliwe, to szalone! Jaką zbrodnię popełnił, by znaleźć się w lochach Bastylii?

Odwróciwszy się napotkała spojrzenie Bérengera, który, ku jej zdziwieniu, radośnie się do niej uśmiechał.

– Co wesołego znajdujesz w tym wszystkim – mruknęła ze złością. – Czy wiesz, co to Bastylia?

– Jak sądzę, solidne więzienie – odparł paż. – To wielce nieprzyjemne, że pan Arnold w nim się znalazł... lecz mniej, niż sądzisz, pani!

– A to dlaczego, z przeproszeniem?

– A to dlatego, że teraz może się nie obawiać tego psa, Gonneta! Gdyż jeśli nawet bękart przybył przed nami, nie mógł dosięgnąć naszego pana, który od dwóch tygodni siedzi w Bastylii... To zawsze coś!

Rozumowanie pazia rozchmurzyło nieco czoło Katarzyny. W jego słowach było wiele słuszności i w końcu jeśli wybuchowy charakter Arnolda spowodował na niego gniew konetabla, to z pewnością jednak nie zagrażał jego życiu.

– Myślę – rzekł paż – że bez trudu dowiesz się wszystkiego, kiedy ceremonia dobiegnie końca.

Katarzynie nie pozostało nic innego, jak przyglądać się procesji, która wyszła z kościoła. Oficer, zauważywszy wśród dostojników konetabla, szepnął:

– Oto on, pani!

– Znam go od dawna! – odparła oschle. – Jest chrzestnym mojej córki. Na jego widok poczuła prawdziwą ulgę. Z radością patrzyła na znajomą twarz pooraną strasznymi bliznami, które jednak nie ujmowały niczego czarującemu, niewinnemu jak u dziecka spojrzeniu błękitnych oczu. Kwadratowy, prawie tak szeroki jak wysoki, lecz o atletycznej budowie, bez grama tłuszczu, księżę bretoński nosił swoją zbroję tak lekko jak paziowie jedwabne żupany, a jego ogorzała twarz jaśniała radością zwycięstwa.

Otaczali go kapitanowie, lecz poza bastardem orleańskim Katarzyna nie rozpoznała żadnego. Byli wśród nich Burgundczycy i Bretończycy, lecz brakowało dobrych, starych przyjaciół La Hire'a i Xaintrailles'a oraz innych ze starej paczki... Co to wszystko miało znaczyć? Arnold w Bastylii, La Hire i Xaintrailles nieobecni...

Nie miała jednak czasu na dalsze domysły, gdyż w tej chwili oficer chwycił ją za rękę i rzekł:

– Chodźmy! Teraz możemy iść za procesją.

Rzucili się w ślad za ostatnimi z oficerów i wraz z procesją dotarli na dziedziniec klasztoru Świętego Marcina.

Był to obszerny czworobok, pośrodku którego rósł wielki wiąz błyszczący młodymi listkami, lecz drzewo to było jedynym wesołym akcentem w tym ponurym miejscu. Z jednej strony wznosiło się więzienie, przed którym stał pręgierz, pozostałe zaś jego boki zajmowały chlewnie i wielki stos gnoju wydzielający trudny do zniesienia odór.

Katarzyna ku swemu zdziwieniu stwierdziła, że ten właśnie stos gnoju stanowił obiekt zainteresowania całego tego świętego zgromadzenia. Kilku żołnierzy stało w pobliżu dzierżąc, zamiast lancy i pik, widły i długie haki. Wyglądali tak, jakby na coś czekali. W rogu stała grupa żałobników, których Richemont pozdrowił z szacunkiem. Obok nich widać było kilka otwartych trumien, wyścielonych haftowanymi całunami.

Biskup wraz z przeorem zbliżyli się do stosu gnoju, nad którym, ku osłupieniu Katarzyny, drżącymi dłońmi wykonali znak krzyża i rozpoczęli modlitwę za zmarłych.

– Co to wszystko ma znaczyć? – syknęła. – Myślałam, że ceremonia była odprawiana na cześć konetabla d’Armagnaca!

– No właśnie! – odparł Saint-Simon. – Właśnie on jest tam w środku!

– Gdzie?

– W stercie gnoju, do diaska! Dobrzy Paryżanie po zamordowaniu go w 1418 roku wrzucili ciało do gnojówki i oddali się księciu Burgundii. Z pleców zdarto mu skórę, zmasakrowano, po czym wrzucono do gnojowiska. Zresztą nie samego: wraz z nim musi tam leżeć ówczesny kanclerz Francji, pan Henri de Marle, jego syn, biskup z Coutances, i dwóch dostojników: pan Jean Paris i pan Raymond de la Guerre! Pan de Richemont wydał rozkaz, by ich wyciągnąć z tego niegodnego miejsca i urządzić im przyzwoity pochówek. Oczywiście, Burgundczycy zgodzili się: widzisz obok konetabla pana Jeana Villiersa de l’Isle Adama, który pierwszy zatknął francuski sztandar na bramie Świętego Jakuba. Tutaj niejako odbywa pokutę, gdyż to on sam po zdobyciu Paryża doprowadził pana d’Armagnaca do tego nędznego stanu, w jakim wkrótce go ujrzymy. Ale – dodał spoglądając na Katarzynę z nagłym zaniepokojeniem – to nie będzie widok odpowiedni dla damy!

– Nie jestem przewrażliwiona – odparła – i nie odejdę stąd, dopóki nie rozmówię się z konetabłem. Nie takie rzeczy oglądałam...

Tymczasem żołnierze zaczęli przeszukiwać gnój widłami. Pomimo wiatru, odór stał się nie do zniesienia, a trzeba było szukać głęboko, gdyż po osiemnastu latach od tamtych wydarzeń gnojownik wypełnił się po brzegi. Kiedy wydobyto pierwszy szkielet, zgromadzeni unieśli chustki do nosów, niektórzy kule zapachowe. Katarzyna również przytknęła batystową chustkę do nosa, lecz delikatny ślad zapachu werbeny wkrótce okazał się za słaby i kobieta poczuła, że słabnie.

Przymknęła powieki, by nie oglądać potwornych resztek powłoki człowieczej, którą dwóch mnichów zawinęło w biały całun i złożyło do jednej z trumien.

Kiedy otworzyła oczy, poczuła na sobie jakieś natarczywe spojrzenie. Odwróciwszy głowę napotkała pełne radości i jednocześnie zaskoczenia spojrzenie człowieka w zbroi, trzymającego hełm pod pachą i stojącego w pobliżu konetabla. Omal nie krzyknęła z radości. Tym kimś był bowiem Tristan Eremita.

Nie poznała go od razu, nigdy bowiem nie widziała przyjaciela w zbroi i z krótko obciętych włosami, czego wymagało noszenie hełmu. Także i on, gdy tylko się domyślił, kim w rzeczywistości był młody kawaler w czerni, natychmiast zaczął przepychać się przez tłum w stronę wyjścia z dziedzińca, dając Katarzynie znaki, by i ona tam się skierowała.

Dzięki pomocy porucznika udało się jej dotrzeć do wskazanego miejsca, po czym bez żenady rzuciła się, by wyściskać przyjaciela.

– Tristanie! Drogi Tristanie! Co za szczęście, że cię spotykam!

– To ja powinienem to rzec! Ale, co cię sprowadza do stolicy?

– Przybywam prosić o pomoc. Moje miasto jest otoczone przez Béraulta d'Apchiera i jego synów. A nawet wysłali tutaj jednego ze swych ludzi, by zdobywszy zaufanie Arnolda mógł podstępnie go zgładzić.

Z twarzy Tristana zniknął uśmiech, a w oczach pojawił się gniew.

– Apchierowie! Jeszcze jeden klan dobrze urodzonych bandytów! Słyszałem o nich! Jak odepchniemy Anglików za morze, zajmę się nimi! Lecz tymczasem...

– Tymczasem – przerwała mu Katarzyna – chciałabym się dowiedzieć, co takiego zrobił Arnold i dlaczego zamknięto go w Bastylii?

– Zabił człowieka...

– Zabił... i co dalej? A co czyni armia atakująca miasto, co czynią żołnierze i kapitanowie, co czynią książęta w tych bezlitosnych czasach, jak nie zabijają, zabijają bez opamiętania?

– Wiem to wszystko... ale zabijanie zabijaniu nierówne... Ale odejźmy stąd – dodał widząc, że parę osób przysłuchuje się uważnie ich rozmowie. – A kim jest chłopiec, który ci towarzyszy?

– To mój paż, Bérenger de Roquemaurel. Ma duszę poety, ale bić też się potrafi, jak trzeba...

– Na razie nie będziemy nikogo bić, odejźmy tylko w ustronniejsze miejsce, by móc spokojnie porozmawiać. A ty, panie Saint-Simon, zastąp mnie u boku konetabla, lecz, na Boga, nie mów mu nic o obecnej tu damie. Ja sam poinformuję go w odpowiednim czasie. Łucznicy! Zrobić nam przejście!

Katarzyna ze ściśniętym sercem ruszyła za Flamandczykiem, a za nią milcząc podążał Bérenger. Wrażenie, że Tristan stał się kimś ważnym, utwierdziło się w niej na widok ustępujących przed nim rycerzy oraz usłużności, z jaką przyprowadzili mu konia. Tristan wskoczył na rumaka i mała grupa ruszyła ulicą Saint-Martin w stronę kościoła Świętego Jakuba. Niepokój Katarzyny wzrastał z sekundy na sekundę.

Tristan nie odzywał się przez całą drogę i zatrzymał się dopiero przed oberżą Pod Orłem, która, jako jedna z nielicznych, zachowała oznaki dawnej świetności.

– Zatrzymacie się tutaj – oznajmił pomagając Katarzynie zsiąść z konia. – Zamieszkiwali w niej angielscy kapitanowie, dlatego też nie ucierpiała w czasach nędzy. A oto imć Renaudot...

Istotnie, nadbiegał oberżysta, wycierając ręce w biały fartuch, z plecami zgarbionymi, gotowymi do ukłonu.

– Pan namiestnik! – wykrzykiwał. – Co za zaszczyt widzieć cię u nas! Czym może służyć moja skromna oberża?

– Namiestnik? – zdziwiła się Katarzyna. – Pan również? Czyj namiestnik?

– Pewnie chcesz powiedzieć, pani, że to tytuł nieco zdegradowany, czyż nie? Możesz być spokojna, jest nas tutaj tylko trzech: pan Filip de Ternant, pan Michał de Lallier, i ja: namiestnik oficerów. To znaczy, że odpowiadam za całą policję wojskową armii królewskiej. Muszę dodać, że pan de Richemont nadał mi także tytuł wielkiego mistrza artylerii i kapitana Conflans-Sainte-Honorine,

lecz tę funkcję pragnąłbym porzucić i zostać przy żołnierzach...

– To dlatego rycerze oddają ci honory z takim szacunkiem... i z bojaźnią...

– W rzeczy samej! Boją się mnie, gdyż stosuję bez pardonu przepisy i dyscyplinę, bez których nie ma porządnej armii... a konetablowi zależy, ażeby jego armia była najlepsza.

– Bez pardonu?... Zawsze?

– Tak, zawsze! Dlatego musisz zaraz się dowiedzieć, by sytuacja była jasna, że to ja zatrzymałem kapitana de Montsalvy.

– Ty?... Jego przyjaciel?...

– Przyjaźń nie ma tu nic do rzeczy, pani Katarzyno. Spełniłem tylko swój obowiązek. Ale siadźmy do stołu. Podczas gdy pokojówki będą przygotowywać twój pokój, Renaudot poda nam coś do zjedzenia. Na szczęście zostało mu jeszcze kilka smakowitych wędzonek i kilka beczek wyborowego wina, które uratował zamurując część piwnicy. Dzięki naszemu zwycięstwu padnie więc jeszcze jeden mur w Paryżu! Przyniescie no, przyjacielu, pełen dzban tego specjału! Ci podróżnicy przybywają z daleka i muszą się wzmocnić!

Po chwili Katarzyna, Tristan i Bérenger zasiedli przy stole naprzeciw wielkiego kominka pod girlandami młodej cebuli i wędzonymi szynkami wiszącymi z belek stropowych. Przed nimi cynowe kubki i miski sąsiadowały z bochnem chleba, solonymi śledziami, pieczoną gęsią i talerzem pełnym andrutów, a wszystko to w doborowym towarzystwie dwóch dzbanów wina z Romanee i Aunis.

Podczas gdy Bérenger rzucił się na posiłek jak wilk, Katarzyna, choć równie głodna jak on, nie tknęła jedzenia, przyjęła tylko kubek wina czekając z niecierpliwością na wyjaśnienia Tristana.

Ten zdziwił się niepomernie, że Katarzyna nic nie je, gdyż zawsze uważał jej apetyt za godny podziwu.

– Czyżbyś nie była głodna? Jedz, moja droga, porozmawiamy później.

– Mój żołądek może poczekać, mój niepokój nie! Wiesz o tym dobrze. Dręczysz mnie, pozwalając snuć domysły... najgorsze oczywiście... To nie jest godne przyjaciela...

W jej głosie zabrzmiała zapowiedź gniewu. Tristan wyczuł to i na jego twarzy pojawiło się dawne ciepło. Wyciągnął ręce i chwycił dłonie Katarzyny leżące na stole, zdając się nie zauważyć, że były zaciśnięte w pięści.

– Jestem nadal twoim przyjacielem – oświadczył gorąco.

– Czy aby na pewno?

– Nie masz prawa w to wątpić! Zabraniam ci! Wzruszyła ramionami z przygnębieniem.

– A czyż możliwa jest przyjaźń pomiędzy dowódcą oficerów... a żoną zabójcy? Gdyż, jeśli się nie mylę, to właśnie dałeś mi do zrozumienia?

Tristan, który być może dla dodania sobie pewności zabrał się do krojenia pieczonej gęsi, której Beranger od dłuższej już chwili słał pożądliwe spojrzenia, podniósł nagle głowę oraz nóż i spojrzawszy na Katarzynę wybuchnął śmiechem.

– Na świętego Quintina, świętego Omera i wszystkich świętych Flandrii! Ty nigdy się nie zmienisz, Katarzyno! Twoja wyobraźnia nadal cię nie opuszcza, jak wtedy gdy w przebraniu Cyganki rzuciłaś się na podbój tego grubasa La Tremoille'a i doprowadziłaś go do zguby. Czy kiedykolwiek jednak

dałem ci powody, byś mogła zwątpić w mą przyjaźń?

– Powody nie... ale próby tak! Znasz mnie przecie, a wygląda mi na to, że chcesz zyskać na czasie, bym nie dowiedziała się, co takiego zrobił mój mąż.

– Mówiłem już! Zabił człowieka! Lecz ja wcale nie uważam go za zabójcę, gdyż działał raczej jako ręka sprawiedliwości.

– To dlaczego wsadziłeś go do Bastylii?

– Dlatego, że to zabójstwo było przede wszystkim poważnym aktem nieposłuszeństwa, jawnym pogwałceniem dyscypliny i otrzymanych rozkazów. Jeśli zwlekałem z wyjaśnieniem, to dlatego, byś dobrze mnie zrozumiała... a także byś zrozumiała konetabla, gdyż działałem z jego rozkazu.

– Konetabl – szepnęła Katarzyna. – On także mienił się naszym przyjacielem. Jest chrzestnym naszej córki... Jak on mógł...

– Na Boga, zrozum, że przede wszystkim jest najwyższą władzą w armii królewskiej. Jest dowódcą i nawet książęta krwi winni mu są całkowite posłuszeństwo! Po czym, widząc, że oczy Katarzyny wypełniły się łzami, jej palce zaś zaciskały kurczowo kulkę z chleba, dodał:

– A teraz przestań się boczyć na jedzenie! Pozwól, bym ci nałożył kawałek tej soczystej gąski! A potem wysłuchasz mej opowieści.

Katarzyna poczuła się zwyciężona i pozwoliła napęlić sobie miskę. Tristan rozpoczął swoją opowieść o tym, co zdarzyło się rankiem 17 kwietnia, nie opodal Bastylii.

– Kiedyśmy zdobyli miasto, a jego poprzedni właściciele stracili wszelką nadzieję, postanowili drogo sprzedać swą skórę i zamknęli się w Bastylii, która wydawała im się najsolidniejszym budynkiem w całym Paryżu. Było ich około pięciuset, Anglików jak i zwolenników poprzednich rządów. Był wśród nich Pierre Cauchon, a także Wilhelm Legoix, przywódca Wielkiej Rzeźni...

Katarzyna aż podskoczyła i krzyknęła z niedowierzaniem:

– Cauchon i Wilhelm Legoix? Jesteś pewien?

– Jak najbardziej! A co, czyżbyś ich znała?

– Czy ich znam? O tak! Jak zły szeląg!

– Jak to możliwe? Nie dziwię się co do Cauchona, którego zbrodniczy udział w straceniu Dziewicy Orleańskiej zna cała Francja, ale ten Legoix...

– Otóż w noc po spaleniu Joanny d'Arc, którą na próżno staraliśmy się uratować, ja i Arnold z garstką dzielnych ludzi, Cauchon kazał nas oboje zaszyć w skórzanym worku i wrzucić do Sekwany! Wyszliśmy z tego dzięki opatrności boskiej i pomocy jednego z towarzyszy. Co zaś się tyczy tego Legoix... jest moim kuzynem!

Twarz Tristana zastygła ze zdziwienia.

– Twoim kuzynem? Jak to?

– A tak, że zanim przyjąłem nazwisko de Brazey, a potem de Montsalvy, nazywałam się po prostu Katarzyna Legoix. Mój ojciec i Wilhelm Legoix byli kuzynami. Kuzyn ten w kwietniu 1413 roku, w czasie wielkich zamieszek wznieconych przez Caboche'a, zmasakrował starszego brata mojego męża: Michała de Montsalvy, koniuszego księżniczki Gujenny...

– Która jest teraz małżonką konetabla...

– Właśnie! Michał umarł na progu naszego domu, tłum rozerwał go na strzępy, a Legoix... dokończył go toporem... Powiedz mi, przyjacielu, to jego... Wilhelma Legoix zabił mój mąż?...

– W istocie! I ledwo zdążyliśmy na czas, by przeszkodzić mu w zabiciu również Cauchona. Najpierw zasztyletował Wilhelma, po czym powaliwszy biskupa na ziemię przygwoździł go nogą i chwycił za gardło.

Katarzyna słuchając tych słów, nagle wybuchła:

– Więc to tak! Przybyliście w porę! I jesteś z tego dumny! Dumny, że ocaliłeś życie tej świni, tego potwora, który spalił Joannę d'Arc! Zamiast mu przeszkadzać, sami powinniście powiesić potwora na pierwszej lepszej szubienicy! Co do mego męża, to wiedz, że nie tylko nie mam mu za złe tego, co zrobił, lecz sama postąpiłabym podobnie... a nawet gorzej, gdyż ten złoczyńca w pełni na to zasłużył. Który mężczyzna przyglądałby się beczynnemu zabójcy własnego brata?

– W takim razie dlaczego twój mąż nie powiedział, co łączyło was z tym Legoix i o krzywdzie, jaką wam wyrządził, kiedyśmy go zatrzymali? Wykrzykiwał tylko, że Legoix to ścierwo i że dokonał aktu sprawiedliwości.

– A gdyby powiedział, czy to by coś zmieniło? Czy sądzisz, że w tym kuzynostwie jest powód do dumy? Musisz wiedzieć, Tristanie, że mój mąż nie lubi przypominać, że jego żona pochodzi z rodziny zwykłego złotnika, który co prawda miał wielką duszę... lecz nie był szlacheckiego pochodzenia.

– To błąd – burknął Tristan – chociaż teraz rozumiem jego postępek i kocham was jeszcze bardziej. Jednak muszę przyznać, że wielcy panowie feudalni są niesamowicie zarozumiali. Zapominają bowiem, że ich przodkowie w czasach Merowingów byli często na wpół dzikimi, zwykłymi prostakami. Lecz jaśniepaństwo było zaraźliwe jak ospa! I nie tylko nie wyleczyli się z niego, lecz na dodatek przekazali je w spadku swoim potomnym, i to w jeszcze poważniejszej postaci. Prawo wymierzania samemu sprawiedliwości! Oto przywilej, na którym najbardziej im zależy... i który pchnął pana Arnolda do zbrodni, pomimo rozkazów konetabla. Po aresztowaniu go jego rycerze wycofali się na swoje kwatery, odmawiają wszelkich usług i pokazują kły gotowi do ataku. A zwłaszcza dwóch jasnowłosych olbrzymów, którzy grożą, że rozwalą Bastylię kamień po kamieniu. Nazywają się Renaud i Amaury de...

– ...de Roquemaurel! – dokończył Bérenger z dumą. – To moi bracia, panie namiestniku, i jeśli grożą zburzeniem Bastylii, musicie mieć na nich baczenie, gdyż są zdolni to zrobić!

Katarzyna opróżniła kubek i skrzywiła się, jakby wino było zbyt kwaśne.

– Dziwi mnie, że nie odesłano ich do domu. To niebezpieczne poniewierać ich kapitana na ich oczach!

– Mieliśmy taki zamiar – odparł Tristan – ale oni nie chcą się stąd ruszyć ani na krok. A poza tym muszę dodać, że armia nie ma pieniędzy i żołnierze od dłuższego czasu nie dostali żołdu. To stanowi dla nich pretekst...

– Kiedy się potrzebuje ludzi, którym nie ma czym zapłacić, trzeba ich bardziej szanować. W celu uniknięcia kłopotów lepiej byłoby zapomnieć o czynie mego męża i oddać naszym przyjaciołom ich kapitana. Czyż przyczyna, która pchnęła go do nieposłuszeństwa, nie wydaje ci się dosyć szlachetna? Czego więcej ci potrzeba? On pomścił tylko swego brata... i mego ojca!

– Myślisz, pani, że konetabl nie zdaje sobie z tego sprawy? Lecz jest armia trudna do utrzymania w ryzach i Paryż, na którym trzeba wywrzeć wrażenie... Wreszcie, jest i wdowa po Wilhelmie Legoix, która – opierając się na słowie konetabla – domaga się głowy zabójcy męża!

– Co takiego?

Katarzyna tak pobladła, że w swoim czarnym stroju stała się podobna do zjawy. Była tak straszna z zaciśniętymi zębami, ściągniętymi rysami twarzy i szeroko otwartymi oczami, że Tristan podbiegł do niej bojąc się, iż upadnie na kamienną posadzkę. Chwycił ją całą, zbyt zeszywniałą, by mu w tym przeszkodzić, tylko jej oczy ciskały błyskawice.

– Głowa Arnolda! – krzyknęła. – Głowa kapitana królewskiego za głowę rzeźnika mordercy! Czy wszyscy poszaleli? A może to ja postradałam zmysły?... Boże, pozwól, bym obudziła się z tego koszmarne snu. Wszyscy poszaleli... To was trzeba skuć łańcuchami!

Chwyciła głowę rękami i potrząsała nią, jakby chciała wyrzucić z niej przyczynę cierpienia. Z jej oczu trysnęły łzy, spływając strugami wśród kurzu pokrywającego twarz. Krzycząc i płacząc wyrywała się przytrzymującemu ją Tristanowi.

Przerażony Bérenger rzucił się na pomoc Tristanowi, nie wiedząc zbyt dobrze, co należy robić w podobnym przypadku. Jego ruchy były niezgrabne i bardziej przeszkadzał namiestnikowi, niż pomagał.

Odgłosy szamotaniny sprowadziły im Renaudota, który nadciągnął z łyżką ociekającą sosem. Wprawnym okiem oceniwszy sytuację rzucił:

– Woda, panie namiestniku! Trzeba jej chlusnąć wiadrem zimnej wody w twarz! To najlepszy sposób!

Bérenger chwycił pusty dzbanek i napełniwszy go u stojącej w kącie beczki, z rozmachem wylał jego zawartość na twarz swojej pani, jednocześnie błagając w myślach, by mu wybaczyła taki brak szacunku.

Krzyki i szlochy ustały jak ręką odjął. Katarzyna spojrzała na trzech pochylonych nad nią mężczyzn, otworzyła usta, by coś powiedzieć, lecz nie mogąc wydobyć ani słowa, bezsilnie opadła na ramię Tristana.

Rycerz podniósł ją w ramionach.

– Czy jej pokój jest gotowy? – spytał.

– Oczywiście! Tędy, panie – nadszukał oberżysta. – Ja wskażę drogę!

Po chwili Katarzyna leżała już na miękkim pościeli. Miała zamknięte oczy, lecz nie była zemdlna. Słyszała wszystko, co się wokół działo, lecz nie miała siły, by dać choćby najmniejszy znak życia. Nawet jej myśli rozplynęły się i miała wrażenie, że unosi się w miłosiernej mgle.

Tristan i Bérenger przyglądali się jej zmieszani, nie wiedząc, co czynić. Wreszcie po długiej ciszy Tristan powiedział:

– Musi się wyspać, wypocząć... Zaraz wezwę tu małżonkę oberżysty, żeby ją rozebrała, umyła, położyła do łóżka i czuwała nad nią. A ty, mój chłopcze, dobrze byś zrobił czyniąc to samo: oczy same ci się zamykają. Ja zaś udam się do konetabla i opowiem mu o wszystkim. Żywi on przyjaźń dla pani Katarzyny i z pewnością zechce się z nią widzieć i wysłuchać. Tylko ona może coś uczynić dla swego męża.

– Czy konetabl... bardzo jest rozgniewany na pana Arnolda? – spytał paż nieśmiało.

Twarz Tristana spoważniała, a między jego jasnymi brwiami pojawiła się głęboka zmarszczka.

– Bardzo... Nikt bowiem nie byłby w stanie tolerować takiej niesubordynacji, a pan konetabl nie na próżno jest Bretończykiem. Pani de

Montsalvy będzie trudno uzyskać przebaczenie dla nieostrożnego męża...

– Do licha! – krzyknął paż, chociaż zbierało mu się na płacz – chyba nie każe stracić swego kapitana za taką błahostkę?

Tristan ogarnął pazia spojrzeniem, starając się wysondować siłę jego charakteru i odporność, wreszcie oznajmił:

– Błahostka, powiadasz? Słowo księcia to dla ciebie błahostka? Nie zdziwiłbym się, gdyby pan de Montsalvy pomimo swoich zasług stracił życie!

– W takim razie – krzyknął z ogniem paż – miejcie się na baczności! W całej Owernii nie znajdziesz takiego, który nie chwyci za broń i nie stanie przeciwko konetablowi, jeśli ten ośmieli się strącić głowę człowiekowi, którego oni wszyscy kochają i poważają!

– A więc bunt?

– Bunt, a nawet rewolucja, dlatego że nawet maluczcy się doń dołączają! Powiedz konetablowi, żeby się zastanowił, zanim skaże hrabiego! Dlatego że tym samym skaże całą Owernię! Sądzę, że nie powinien pozwolić jazgotać wdowie po mordercy, upasionej na złocie zdrady.

Zapał pazia wywołał uśmiech na twarzy namiestnika. Uniósłszy kułak walnął go przyjacielsko w plecy, aż paż zachwiał się na nogach.

– Do diaska, wyborny z ciebie adwokat, panie de Roquemaurel! Niepodobnyś co prawda do braci, lecz za toś równie co oni skuteczny! Wszystko to przekażę wiernie konetablowi... tym bardziej że sam kocham te szalone głowy, tak Katarzynę jak i pana Arnolda. Ty pozostań tutaj, mój chłopcze, wyśpij się, nabierz sił i pilnuj swojej pani. Wrócę wieczorem, by zdać sprawę z tego, jak się rzeczy mają!

Ruszył do drzwi, zza których dochodziło skrzypienie schodów pod szacownym ciężarem dwustu z górą funtów imć Renaudotowej, która pokonywała je z lekka dysząc. Przed otwarciem drzwi odwrócił się jeszcze i rzekł:

– Lepiej będzie nie wyjawiać przed konetabłem i jego parami więzów rodzinnych wiążących panią Katarzynę z tym przeklętym Legoix! Nikt na dworze nie wie, że jest ona pospolitego pochodzenia. Dla honoru i poważania de Montsalvych lepiej, żeby to pozostało tajemnicą.

Bérenger wzruszył ramionami.

– Myślałem, że jaśniepaństwo jest jak ospa! – zakpił.

– Bez wątpienia! Jedyzna to zresztą choroba, z której nikt nie chce się wyleczyć. I nawet nie masz zielonego pojęcia, do jakiego stopnia najbardziej nią dotknięci pogardzają ludźmi zdrowymi!

Rozdział siódmy

WYROK ARTURA DE RICHEMONTA

Podejrzewając, że wiadomość o przyjeździe do Paryża pani de Montsalvy wyrwie rycerzy Owernii z ich kryjówki, Tristan Eremita postanowił udać się do nich z nowiną.

Opuściwszy gospodę Pod Orłem udał się prosto do oberży Pod Wielkim Kielichem, w której zainstalowali się ich dowódcy. Jadło było tam podle, co najwyżej można było polechtać podniebienia pieczystym z jeża, krowim wymieniem czy „leśnym węgorzem w galarecie”, którego na tę okoliczność odgrywał, chcąc nie chcąc, zaskroniec, jak za czasów wielkiego głodu. Za to lało się tam białe wytrawne wino i bracia Roquemaurel wraz ze swymi nierozdzielnymi kompanami, Gontranem i Fabrefortem, takimi jak oni chwackimi chłopcami z jednego lasu, szybko odkryli jego niepowtarzalne zalety.

Tristan wierzył, że służąc interesom zwierzchnika przez zmuszenie zbuntowanych, by wyszli ze swej nory, przysłuży się jednocześnie swoim przyjaciółom Montsalvym, zapewniając Katarzynie dzielną eskortę, na wypadek gdyby musiała zmierzyć się z Richemontem.

Rozmowa była krótka. Rady Tristana zostały obficie oblane, jak przystoi wśród rycerzy, i kiedy namiestnik wstał z zamiarem opuszczenia kompanii, pożegnaniom nie było końca: Renaud de Roquemaurel poklepywał go potężnie po plecach, podczas gdy Fabrefort wyciskał na jego policzku wylewne, zalatujące winem pocałunki, ściskając go przy tym w ramionach i nazywając „dobrym bratem”. Umówiono się na poranek następnego dnia.

Po przekazaniu swojej nieoficjalnej wiadomości Tristan skierował kroki do pałacu des Tournelles, eleganckiej rezydencji książąt orleańskich, znajdującej się w pobliżu Bastylii, gdzie udał się z wizytą do pewnej bardzo wpływowej osobistości, na której pomoc mógł liczyć w obecnych okolicznościach. Wyszedł stamtąd po niespełna półgodzinie bardziej odprężony, niż tam wchodził i podśpiewując dosyć fałszywie, lecz z wielkim samozaparciem rondo biesiadne, skierował wreszcie swego konia do pałacu Pod Jeżozwierzem, dawniej należącego do księcia Burgundii. Filip Dobry kazał jednak podarować go konetablowi w zamian za pałac Richemontów, który skonfiskowali mu Anglicy w 1425 roku i z którego nic praktycznie nie pozostało.

Wynik jego zabiegów był taki, że kiedy następnego dnia rankiem dzwony u Świętej Katarzyny wydzwoniły dziewiątą rano, imć Renaudot ujrzał przed swoją gospodą eskadrę rycerzy o dumnych minach, wystrojonych i hałaśliwych.

Mówili wszyscy naraz, głośno jak to ludzie przywykli do przekrzykiwania grzmotów i błyskawic w górach, a głosy te dobywały się z piersi, z których niejedna stała się z niedźwiedziem. Oberżysta domyślił się po akcencie, że wszyscy są Owerniakami. Niektórzy z nich po raz pierwszy zresztą opuścili rodzinne strony i mówili tylko dialektem, starym językiem arwerneńskim, w którym z równym powodzeniem odbijały się i skały granitowe, i słońce.

Tylko dwóch jasnowłosych olbrzymów podobnych do siebie jak dwie

krople wody mówiło bezbłędnie po francusku. Jeden z nich, Amaury de Roquemaurel, chwyciwszy oberżystę za uszy zaniósł go delikatnie do środka, nakazując mu udać się czym prędzej do pani de Montsalvy z wiadomością, że obstawa jest gotowa towarzyszyć jej w wizycie u konetabla.

Oberżysta zeskoczył ze stołu, na którym postawił go olbrzym, i z twarzą mokrą od potu rzucił się na schody, lecz potknąwszy się runął jak długi ze szkodą dla nosa, wreszcie zniknął na pięterku. Zanim jednak zdyszany mógł spełnić swoje posłanie, natknął się na stojącą w progu swego pokoju damę. Katarzyna uśmiechała się do nieboraka.

– Możesz im powiedzieć, że schodzę do nich! Niepotrzebnie cię posyłali, uczynili bowiem taką wrzawę, że podnieśliby umarłego z grobu. Wybacz, imć Renaudot, ich trochę... zbyt zapalczywy entuzjazm!

Oberżysta, wycierając spocone czoło, odwzajemnił jej uśmiech, w którym przebijało prawdziwe uwielbienie, gdyż kobieta stojąca przed nim niczym nie przypominała zakurzonego młodzieńca, który wraz z paziem i panem Tristanem stanął wczoraj wieczorem w jego oberży. Renaudot oniemiały wycofywał się w stronę schodów, jak przed jakimś nadziemskim zjawiskiem. Dopiero pytanie Katarzyny wyrwało go z otępienia:

– Czy widziałeś mojego pazia?

– Młodego pana Bérengera? Nie, szlachetna pani! Po prawdzie... widziałem, jak wychodził bladym świtem, ale nie zauważyłem, żeby wrócił...

– Gdzie mógł się podziać, Renaudot?

– Dobry Boże... nie wiem... Wyglądało na to, że mu się bardzo śpieszy... Katarzyna westchnęła ze zniecierpliwieniem. Noszenie trenu damy udającej się na ceremonię stanowiło część obowiązków pazia. Był to jednak rodzaj usług, których do tej pory Katarzyna nigdy nie żądała od Bérengera, gdyż w dobrach Montsalvy co prawda prowadzono życie eleganckie, jednak pozbawione wszelkiego napuszenia. Właśnie w chwili, kiedy bardzo go potrzebowała, ten dał drapakę bez uprzedzenia. I sam Bóg tylko wiedział, kiedy wróci, jeśli w ogóle nie zgubi się w tym zupełnie mu nie znanym Paryżu!

Niezadowolona, że będzie musiała obyć się bez pazia, którego obecność zaczęła sobie wielce cenić, postanowiła udać się do oczekującej na nią hałastry Owerniaków. Richemontowi może się nie spodobać taka procesja, jednak eskorta złożona z równie tęgich chwatów jak bracia Roquemaurel, Fabrefort, Ladinhac czy Sermur mogła przydać debacie niezaprzeczalnej wagi. Richemont z pewnością głęboko się zastanowi, zanim zaryzykuje wzniecić rebelię, która nikomu nie wyszłaby na dobre.

Zgromadzeni na dole przywitali ją głęboką ciszą. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki kawalerowie zastygli w bezruchu, jedni z otwartymi ustami, drudzy z uniesionymi kielichami, wszyscy jakby skamienieli na widok tak pięknej kobiety, nie pasującej do skromnej gospody.

Pomimo wzruszenia na widok rycerzy, którzy ruszyli z Montsalvy wraz z Arnoldem, uśmiechnęła się miło do każdego.

– Witam was, mości panowie, i pragnę wyrazić radość i pociechę, że widzę was tu wszystkich gotowych bronić mojej sprawy...

– Wasza sprawa jest także naszą! – huknął Renaud de Roquemaurel. – A nawet rzekłbym, że głównie naszą, skoro nieszczęście spadło na głowy Montsalvy; kto z nas chciałby nadal służyć księciu, który odmawia nam prawa

do sprawiedliwości... a na dodatek marnie płaci!

– Dziękuję ci, Renaud! Powiedz no, kto powiadomił was o moim przyjeździe?

– Ten drażal flamandzki wysługujący się konetablowi! – rzucił pan de Ladinhac z pogardą, która nie spodobała się Katarzynie.

– Pan Tristan Eremita jest naszym starym przyjacielem – odparła oschle.
– Wasza obecność tutaj tego dowodzi! Ale zbliża się pora audiencji, mościpanowie! Który z was poda mi dłoń?

Wszyscy rzucili się do Katarzyny. Wybuchło ogólne zamieszanie, które z pewnością skończyłoby się bójką, gdyby nie rozległ się nad wrzawą zimny, zdecydowany głos:

– Za waszym pozwoleniem, panowie, ja podam dłoń pani de Montsalvy!

Zapadła cisza i niczym Morze Czerwone przed Mojżeszem nieokiełznana grupa rozstała się przed nieznanym, który zbliżał się bez broni.

Ubrany w pyszny żupan z zielonego aksamitu i czarne, obcisłe getry oraz wysokie do połowy ud zamszowe buty z wywiniętym brzegiem, nowo przybyły nosił dostojnie czarny płaszcz haftowany złotem, którego rozcięte rękawy pozwalały dojrzeć podszewkę z zielonej tafty. Na szyi miał złoty łańcuch z krzyżem, a na głowie beret z zielonego aksamitu, upięty złotą spinką.

Był to bastard, książę Orleanu powszechnie poważany i lubiany. Głównie kobiety, których był wielkim miłośnikiem, uważały, że jest bardziej pociągający niż inni, pełni czaru, waleczności i uprzejmości. Pod nieobecność swego przyrodniego brata, Karola, przebywającego ciągle w angielskim więzieniu, to on zarządzał Orleanem i ziemiami do niego należącymi, ku zadowoleniu ogółu.

Katarzyna znająca od dawna słynnego towarzysza broni swego męża, zawsze miała o nim wysokie mniemanie, toteż ukłon, jaki przed nim wykonała, zadowolilby samego króla.

Książę podszedł bliżej i wyciągając ręce pomógł jej wstać, po czym złożył na jej dłoni pełen kurtuazji pocałunek.

– Pora już, Katarzyno! – rzekł bez wstępów, jakby przed chwilą się rozstali. – Musimy ruszać, żeby się nie spóźnić.

A więc to on miał ją zaprowadzić przed groźne oblicze surowego księcia bretońskiego. Radując się z ofiarowanego jej w ten sposób poparcia, o które nie śmiałyby prosić, rzuciła mu spojrzenie wyrażające głęboką wdzięczność.

– Czynisz mi wielki zaszczyt, panie. Powiedz, skąd dowiedziałeś się o moim przybyciu?

– W taki sam sposób, jak ci panowie: od pana Tristana Eremity. To pewny przyjaciel! A co do Arnolda, to wiesz, że od dawna kocham go jak własnego brata.

– Twoja pomoc, panie, dodaje mi odwagi. Teraz jestem pewna...

– Nie łudź się zbyt, moja droga. Od czasu zamknięcia twego męża w Bastylii bezustannie proszę o jego ułaskawienie. Niestety, bez skutku! Dlatego uważam twoje przybycie za dar niebios, gdyż swoją urodą i czarem możesz zmiękczyć uparte serce naszego dowódcy. A teraz chodźmy, żeby nie kazać mu czekać.

Uniósłszy wysoko dłoń Katarzyny i podparłszy się drugą pod boki, jakby prowadził ją do tańca, bastard wyprowadził ją na ulicę.

– Za mną, mościpanowie! – rzucił w przelocie do rycerzy.

Za nimi ruszyli rycerze, zwarcu jak kamienie, z których wznosi się mur.

Z oberży Pod Orłem do pałacu Pod Jeżozwierzem były dwa kroki. Wystarczyło przejść przez ulicę Świętego Antoniego. Tymczasem pogoda zdecydowała się poprawić. Wysoko na jasnym niebie świeciło słońce. W jego blasku nawet kałuże zalegające tu i ówdzie na kapetyńskim bruku skrzyły się jak złote cekiny. Na ulicy wrzało codzienne życie, słychać było nawoływania sklepikarzy zachęcające gospodynie do kupowania wody, drewna na opał czy musztardy. Co prawda, nie był to jeszcze taki radosny zgiełk jak dawniej: nie widać było śpieszących się kupców w bogatych, podbitych futrem sukniach ani pracowitych mnichów, natarczywych żebraków czy pięknych dam poruszających się niepewnie na drewnianych łyżwach, które chroniły ich suknie przed kurzem, ani dziewczek sprzedajnych w przyzwalających pozach. W tamtych czasach zbytek i bogactwo sąsiadowały z nędzą, lecz żadne z nich nie wstydziło się swego sąsiedztwa. Dzisiejsza ulica z powrotem budziła się do życia, ostrożnie badając swe siły.

Wszyscy przyglądali się dziwnemu pochodowi, prowadzonemu przez parę piękną jak z obrazka. Przypominał orszak ślubny, lecz ludzie rozpoznawali bastarda i pozdrawiali go przyjaźnie, a jego urodziwą towarzyszkę oklaskiwali i wiwatowali na cześć jej wielkiej urody. Katarzyna jednak ani nie widziała, ani nie słyszała niczego...

Przekraczając bramę pałacu, na której widniał wykuty w kamieniu herb przedstawiający jeżozwierz, Katarzyna nie mogła opanować drżenia, które nie uszło uwagi jej towarzysza.

– Zimno ci, pani? – spytał zaniepokojony.

– Nie, panie, nie jest mi zimno... Boję się...

– Pani? Wszak nie bałaś się tortur ani stosu... Szłaś na kaźń z podniesioną głową, zanim uratowała cię Joanna...

– Ponieważ groźba wisiała tylko nade mną. Lecz odwaga mnie opuszcza, gdy chodzi o bezpieczeństwo tych, których Kocham... A wiesz dobrze, panie, że Arnolda Kocham bardziej niż siebie.

– Wiem – przyznał z powagą. – Lecz wiem także, iż twa miłość do niego gotowa jest do najtrudniejszych wyczynów. Uspokój się jednak: idziesz na spotkanie z człowiekiem, który pragnie twego dobra.

– Właśnie tego się obawiam. Mniej bałabym się najgorszego wroga niż urażonego przyjaciela. Na dodatek, nie lubię tego pałacu, gdyż przynosi nieszczęście.

Bastard zbity z tropu tym nieoczekiwanym stwierdzeniem otworzył szeroko oczy.

– Nieszczęście? Co to za historia? Co przez to rozumiesz?

– Tylko to, co powiedziałam. Urodziłam się nie opodal i wiem, że wszyscy właściciele tego pałacu zginęli śmiercią tragiczną!

– Coś takiego!

– To nic nie wiesz o tym, panie? Poczynając od Hugona Aubriota, który go wybudował i który zmarł w więzieniu w Montfaucon, poprzez Jana de Montaigu, który został powieszony, Pierre'a de Giaca, który zaprzedał duszę diabłu i którego konetabl kazał zaszyć w worku i wrzucić do Auron; również twój własny ojciec, książę Ludwik Orleański, który dał mu swój herb z jeżozwierzem, został zamordowany, książę Bawarski zginął w podejrzanych

okolicznościach, księżę Jan Burgundzki także zamordowany...

– O nieba! Nie mów takich rzeczy! Pamiętaj, że Richemont jest Bretończykiem, a więc osobą ostrożną. Poza tym przekleństwo wisi nad nim, a nie nad tobą, gdyż nie ty, pani, jesteś właścicielką tego pałacu.

– Nie, ale tyle dramatów zostawia ślady... atmosferę. Nie jest to spokojny dom.

Bastard wyciągnął chusteczkę i wytarłszy spocone czoło westchnął:

– A więc, moja droga, zamiast dodać ci odwagi, sam zostałem porażony historiami o duchach... O! Pan du Pan!

W istocie, kiedy Katarzyna i jej towarzysz skierowali się ku schodom prowadzącym do sali honorowej, pojawił się pierwszy oficer konetabla. Na jego widok księżę westchnął z prawdziwą ulgą.

– Zechciej, panie, powiadomić o naszym przybyciu. Zdaje się, że na górze odbywa się jakieś wielkie zgromadzenie?

Rzeczywiście, na piętrze wrzało jak w ulu. Oficer skłonił się i wyjaśnił:

– W istocie. Mój pan prosił, bym zaprowadził panią do ogrodu, dokąd schronił się wraz z członkami Rady.

Katarzyna powstrzymała westchnienie ulgi. Obawiała się bowiem, że Richemont zmusi ją do publicznych wyznań w sali honorowej, gdzie z powodu wielkiego tłumu usłyszałyby wyrok, nie zdążywszy złożyć wystarczających wyjaśnień.

Odgłosy wypełniające pałac przstraszyły ją już przy wejściu, toteż uśmiechnęła się uprzejmie do pana du Pan, kiedy ten zamierzał wskazać jej drogę do ogrodu. Rzeczy jednak przybrały groźny obrót, gdy chciał oddzielić Katarzynę od eskorty i zagroził przejście panom z Owernii.

– Pan konetabl życzy sobie rozmawiać z panią de Montsalvy w ścisłym gronie, mościpanowie! Pragnie, aby ta nieszczęśliwa sprawa zachowała w miarę możliwości charakter rodzinny z powodu ścisłych więzów łączących go z rodem Montsalvych.

Amaury de Roquemaurel wystąpił z szeregu i stanął obok pana du Pan, górując nad nim o głowę.

– Jesteśmy towarzyszami broni Arnolda de Montsalvy, jesteśmy więc jego rodziną, panie oficerze! Tak więc wejdziemy wszyscy razem, czy ci się to podoba czy nie!

– Pozwól im wejść, panie! – podjął księżę. – Staną z boku i nie zbliżą się, dopóki nie zostaną wezwani. Biorę to na siebie!

– W takim razie ustępuję. Chodźcie za mną!

Słońce zalewało ogród, opadający łagodnym zboczem ku Sekwanie. Pod starymi czereśniami obsypanymi białym kwieciami lśnił zielony trawnik usiany fiołkami, pierwiosnkami i anemonami. Spomiędzy gąszczu niebieskiego bzu prześwitywała rzeka.

Richemont oczekiwał na Katarzynę, siedząc na kamiennej ławie i rozmawiając z kilkoma panami.

Oprócz Tristana Eremity trzymającego się nieco na uboczu, zajętego obserwacją szpaka, był wśród nich dowódca burgundzki, Jean de Villiers de l'Isle Adam, i nowy namiestnik Paryża, pan Filip de Ternant, pan Michał de Lallier i jeden z najsłynniejszych kapitanów bretońskich, Jean de Rostrenen.

Podczas gdy Owerniacy stanęli nieruchomo u wejścia, Katarzyna

prowadzona przez Jana Orleańskiego zbliżyła się do konetabla i ukłękła przed nim na kolano, jakby był samym królem.

Na jej widok rozmowa ustała i wszystkie spojrzenia skierowały się w jej stronę. Nastąpiła chwila ciszy, którą nieoczekiwanie zakłóciły trele ptaka siedzącego na gałęzi. Wreszcie przerwał ją gardłowy, ponury głos konetabla.

– A oto i jesteś, pani de Montsalvy! Nie spodziewałem się ciebie i z ręką na sercu muszę przyznać, że twoje przybycie wcale mnie nie cieszy. Dodam zresztą, że po raz pierwszy.

Wstęp nie był zachęcający. Tymczasem konetabl wstał i z kurtuazją wskazał jej miejsce na ławie obok siebie.

Katarzyna zlekceważywszy zaproszenie starała się dodać sobie animuszu. Ton konetabla zapowiadał ostrą walkę. Nie będzie to salonowa konwersacja. Toteż i ona odparła oschle:

– I ja także nie cieszę się z tej wizyty, panie! Nie spodziewałam się, że ledwo stanę w Paryżu, będę zmuszona błagać cię o łaskę, a przybyłam poskarżyć się na krzywdę, jaką mi wyrządzono. Zdązałam więc do stolicy jako oskarżyciel, żeby jak przez złe czary stanąć przed tobą jako oskarżona!

– Nie jesteś o nic oskarżona, pani!

– Kto oskarża Arnolda de Monstalvy, oskarża mnie samą!

– Zgoda, załóżmy więc, że jesteś oskarżona o to, że chcesz zmusić mnie do czegoś, na co wcale nie mam ochoty się zgodzić. Co zaś do twej skargi... czy możesz powiedzieć, o co chodzi?

– Nie udawaj, panie, że nie wiesz! Widzę tu pana Eremitę, który zapewne wspomniał ci o przyczynie mego przybycia. Lecz jeśli zależy ci, bym sama o tym mówiła, to pragnę się poskarżyć na krzywdę, jaka spotkała mnie i moich poddanych. Poskarżyć się na to, że korzystając z nieobecności mego męża i jego najlepszych rycerzy, Bérault d'Apchier wraz synami, łamiąc wszelkie prawa, napadł na Montsalvy, które może już w tej chwili zostało zdobyte. Skarżę się, że nie udało mi się uzyskać pomocy ani od konsulów Aurillac, ani od biskupa, gdyż ci obawiają się napaści psa Kastylji, Villa-Andrando! Skarżę się wreszcie, że kazałeś wtrącić do więzienia pana tej nieszczęsnej ziemi, jej najlepszego obrońcę, bez którego ja i moi bliscy jesteśmy bezpowrotnie skazani na zaturę!

Gniewny głos Katarzyny niósł się po ogrodzie i kiedy wiadomość o napaści na Montsalvy dotarła do uszu Owerniaków, ci natychmiast porzucili swoje powściągliwe postawy, do których nie byli nawykli. W jednej chwili w ogrodzie zawrzało, a dzielne chwaty chwyciły za rękojeści szpad.

– Wiedziałeś, panie, od wczoraj, że w Montsalvy oblężenie, a my, synowie tej ziemi, nic o tym nie wiemy do tej pory! – atakował Renaud de Roquemaurel. – Tymczasem spieramy się co do zasłużonej śmierci jakiegoś łotra, kiedy setki mężczyzn, kobiet i dzieci są w zagrożeniu! To po to było wrywać Paryż z angielskich szponów, by pozwolić rozbójnikom dziesiątkować resztę ojczyzny? Zwróć nam pana de Montsalvy, konetablu, i pozwól odjechać! Straciliśmy już dosyć czasu!

Pan de Richemont uniósł dłoń, by uciszyć wzburzenie.

– Spokój, mościpanowie! Sprawa nie jest tak prosta, jak sobie wyobrażacie! Wierście mi, że prawdziwym gniewem i bólem przeszyły mnie wieści z Górnej Owernii i jak tylko to będzie możliwe, wyślę tam pomoc...

– Jak tylko będzie możliwe? – zaprotestował Fabrefort. – To znaczy,

kiedy wszyscy dobrzy mieszkańcy znajdą śmierć w murach Montsalvy, a Bérault d'Apchier zdąży umocnić swoje pozycje? Wściekły pies Kastylii Villa-Andrando jest w Saint-Pourçain i mieszkańcy Aurillac boją się jego przybycia. Co nam Paryż, jeśli po powrocie do domu zastaniemy nasze zamki zajęte, miasteczka puszczane z dymem, a żony zgwałcone? Nie pozostaniemy tu ani chwili dłużej!

– Ruszajcie tedy! Przecie siłą was przy sobie nie zatrzymam!

– Tak też uczynimy – odpalił Roquemaurel – lecz nie sami! Chcemy Arnolda de Montsalvy, a jeśli przyjdzie nam siłą wyrwać go z waszej Bastylji, nie zawahamy się! Będziesz musiał walczyć ze swoimi wojskami, panie konetablu!

– Widzicie tylko własny interes! – ryknął Richemont – Zapominacie, że w zaledwie co zdobytym mieście sprawiedliwość musi być bardziej surowa niż gdzie indziej. Moje rozkazy były ścisłe, powiadomiłem też, co grozi temu, który je złamie! Pan de Montsalvy dobrze o tym wiedział, a jednak zrobił swoje.

– Wszyscy postąpilibyśmy tak jak on, mając przed sobą mordercę własnego brata – wtrącił bastard.

– Nie mów tak, panie bastardzie! – odparł konetabl. – Nikt lepiej niż ty sam nie potrafi stosować się do rozkazów. Czyż ludność Paryża będzie miała do mnie zaufanie, jeśli nie udowodnię, że jestem jedyną władzą i przedstawicielem króla i nie przymkam oczu na tak jawne nieposłuszeństwo? Czy zapomniałeś, że dałem słowo?

– Twoje słowo nie jest warte głowy Arnolda de Montsalvy – obruszyła się Katarzyna.

Richemont pobladł i zaczął się wycofywać, jakby dostał policzek, Katarzyna zaś rzuciła się na kolana.

– Przebacz mi, panie! – krzyknęła błagalnie – nie miej mi za złe, żem wyrzekła te słowa! Mój język był szybszy niż moje myśli. Wierz mi jednak, że od kiedy wiem, że Arnoldowi grozi śmiertelne niebezpieczeństwo, i to z takiego błahego powodu, nie panuję nad sobą!

– Zabił więźnia – odparł uparcie Bretończyk – któremu ja darowałem życie. Czy sądzicie, że sam nie miałem ochoty powiesić łotra na pierwszej lepszej gałęzi, tego tłustego wieprza, którego tępe zacierzowanie przyczyniło się do śmierci Joanny? A jednak powstrzymałem się! A teraz wstań, Katarzyno, nie podoba mi się, że klęczysz u mych stóp!

– Nie wstanę, dopóki nie uzyskam tego, o co cię proszę! Wiem wszakże, jak wielkie jest przewinienie mego małżonka, ponieważ podważył słowo dane przez księcia, i to księcia najbardziej prawego, jakiego nasza ziemia nosiła!

W tej chwili wstał z miejsca człowiek, który do tej pory milczał. Był to namiestnik kupców, Michał de Lallier, który skłoniwszy się przed Katarzyną rzekł:

– Zechciej zrozumieć, pani, że lud Paryża, który tak spontanicznie oddał się swemu prawowitemu władcy, królowi Francji, Karolowi, niech Bóg zachowa go w zdrowiu, ten lud właśnie jak zareaguje, jeśli jego przedstawiciel zacznie sprawowanie władzy od omijania prawa? To mnie i moim ławnikom książę dał słowo. Nie mam prawa mu go zwrócić.

– Dlaczego, panie? Dlaczego? – jęknęła Katarzyna.

– Ponieważ muszę uwzględnić skargę wdowy Legoix. Jej dom został

złupiony, a i ona solidnie poturbowana; liczyła tylko na to, że ujdzie stąd wraz z mężem. Teraz, kiedy Arnold go zabił, nie pozostało jej już nic.

– Czy będzie bogatsza i szczęśliwsza, jeśli i mój zostanie zabity?

– Szlachetna pani – odparł stary człowiek – ty jesteś jaśnie panią i tacy zwykli ludzie nic dla ciebie nie znaczą...

– Wilhelm Legoix nie był prostym człowiekiem. Był wielkim mieszczaninem, człowiekiem bogatym!

– Być może, lecz dla ciebie to tylko zwykły mieszczanin, podobnie jak ja i większość mieszkańców tego miasta. Paryż, szlachetna pani, to głównie lud, mieszczanie, a szlachty tu niewiele. Wielcy panowie są daleko, zajęci wojaczką i turniejami. Przyznaję, Wilhelm Legoix zabił brata pana de Montsalvy, lecz działo się to w czasach wojennych, pani...

Nagle Katarzyna poderwała się i stanęła twarzą w twarz z namiestnikiem.

– W czasach wojennych? Nie, panie, to nie były czasy wojenne, tylko zwykłe zamieszki!

– Pani raczysz zonglować słowami. Powinienem rzec: wojny domowej, lecz co ty pani możesz o tamtych czasach wiedzieć. Pewnie jako dziecko pilnowano cię w ciepłych pieleszach gdzieś daleko stąd w warownym zamku...

– Nie, panie – przerwała Katarzyna – nie byłam wtedy daleko stąd, ponieważ urodziłam się w Paryżu i w strasznych czasach Caboche'a byłam przy tym, kiedy Wilhelm Legoix zmasakrował Michała de Montsalvy, a jego krew spryskała moją dziewczęcą sukienkę...

– Jakże to? Niemożliwe!

– Możliwe, przypominasz sobie może, panie, złotnika Gauchera Legoix, u którego zamawiałeś takie piękne puchary?

Stary namiestnik i konetabl zadrżeli jednocześnie.

– Legoix? Co to ma znaczyć?

– To, że jestem córką złotnika Legoix, a tym samym kuzynką nikczemnika, którego chcecie pomścić. I choć jestem kuzynką, sama żądałabym jego głowy, gdyby Arnold go nie zabił!

– Z jakiego powodu? Sądzę, że Montsalvy w tamtych czasach nie byli nikim innym dla rodziny złotnika, jak może zwykłymi klientami?

Pogardliwy ton nie uszedł uwagi Katarzyny, która przypomniwała sobie, jak Tristan przestrzegał ją przed wyjawianiem swego pochodzenia, lecz może wyjawienie tej tajemnicy przyczyniłoby się do uratowania Arnolda? W jej fiołkowych oczach nie było więc śladu upokorzenia, kiedy spojrzała na Richemonta, lecz wyniosła duma.

– Nie, nie byli klientami! Powiem więcej: byli nam zupełnie nie znani! Toteż nie za zabicie Michała de Montsalvy żądałabym teraz głowy kuzyna Legoix, lecz za to, że powiesił mego ojca a swego kuzyna na szyldzie sklepowym, i za to, że następnie podpalił nasz dom. A Michał wiedziony na rzeź przez żądny krwi tłum znalazł schronienie w naszym domu. Zgubiła go zdrada służącej. Widziałam na własne oczy, a miałam wtedy 13 lat, jak Legoix podniósł rzeźnicki topór i jak odrąbał głowę siedemnastoletniemu chłopcu, który nie miał broni!

Zachęcona pomrukiem grozy, jaki wywołały te słowa, Katarzyna przestała mówić do Michała de Lallier i zwróciła się napastliwie w stronę konetabla:

– Tamtego dnia, panie, w pałacu Saint-Pol, opanowanego przez gawieź, odwiedziłam kobietę, która jest teraz... twoją żoną, a która wtedy była księżną Gujenny. Widziałam ją szlochającą, błagającą swego ojca i okrutną gawieź, żeby oszczędzili Michała, który był jej paziem i którego kochała nad życie! Gdyby pani de Richemont była tutaj, ona pierwsza prosiłaby o łaskę dla Arnolda, jego brata!

– Moja żona – głos Richemonta najwyraźniej zadrżał.

– Ależ tak, twoja żona, panie! Czy zapomniałeś już o pojedynku w Arras, gdzie Arnold walczył o honor swego księcia? Czy zapomniałeś, jak księżna Gujenny, z którą byłeś świeżo zaręczony, przywiązała swoje barwy do lancy mojego męża? Przypomnij sobie, panie! Jej przyjaźń dla nas jest starsza niż twoja!

Richemont potrząsnął głową, jakby chciał przepędzić jakąś nieznośną myśl.

– Starsza? Lecz niewiele, skoro po raz pierwszy spotkałem Arnolda de Montsalvy pod Azincourt i widziałem, jak walczy.

Zdawało się, że w konetablu rozgorzała jakaś wewnętrzna walka na wspomnienie tamtych lat i że chciałby przerwać rozmowę, nie mogąc decydować, i że decyzja należała do tego pięknego starca w długiej szacie z granatowego aksamitu, który spoglądał na Katarzynę w zamyśleniu. Dlatego do niego skierowała swoje słowa i swoje błaganie:

– Panie namiestniku, ja, Katarzyna Legoix, proszę cię o sprawiedliwy wyrok dla Wilhelma Legoix, zabójcy mego ojca i Michała de Montsalvy, a ponieważ kara została mu już wymierzona, proszę pokornie o łaskę dla tego, który był jej narzędziem...

Zaległa głęboka cisza. Wszyscy wstrzymali oddechy świadomi powagi sytuacji... a także zawładnięci wzruszającym pięknem stojącej wśród nich kobiety z oczami błyszczącymi od łez, która wyciągała swe delikatne, białe dłonie w błagalnym geście w stronę starego namiestnika kupców.

On zresztą także spoglądał na nią swymi wyblakłymi oczami starca, w których duma zabarwiona była czułością.

– A więc to ty jesteś tą małą dziewczynką, którą ongiś widziałem bawiącą się lalkami w domu mistrza Gauchera? Wybacz, ale nic nie wiedziałem o jego strasznym końcu. Nie było mnie w Paryżu w tamte okrutne dni... Tylu ludzi zginęło od tej pory...

– Więc, panie... przez litość... nie skazuj jeszcze jednego! Panowie z Burgundii również patrzyli na nią jak zauroczeni, a pan Villiers de l'Isle Adam wyszeptał machinalnie:

– Trzeba mu darować, konetablu! Domagam się tego głośno w imieniu mego pana, księcia Filipa Burgundzkiego, który gdyby był wśród nas, sam żądałby tego w imię sprawiedliwości... i w imię rycerstwa!

Kamienna twarz Richemonta ożywiła się zaciekawiona, jakby konetabl nie wiedział, o co chodzi.

– Rycerstwa, powiadasz?

– Ależ oczywiście!

Uśmiechnąwszy się nieznacznie i nie spuszczać wzroku z Katarzyny, Villiers de l'Isle Adam poprawił swój ciężki naszyjnik Złotego Runa zdobiący jego surowy, czarny żupan i rzekł:

– Wszyscy wiedzą na dworze Burgundii, jaki żal po stracie kobiety o złocistych splotach pchnął księcia Filipa do założenia zakonu, którego odznakę my, jego wierni poddani, dumnie nosimy, gdyż jest on najszlachetniejszy ze szlachetnych. Oto dlaczego proszę o łaskę w imieniu rycerstwa... oraz dlatego, iż uważam, że racja jest po stronie pani de Montsalvy.

Richemont zmarszczył brwi i zdawał się zastanawiać. Katarzyna usiłowała ściszyć oszalałe łomotanie serca i wstrzymała oddech. Jednocześnie kurczowo zaciskała dłoń bastarda. To do niego nieoczekiwanie skierował swe słowa konetabl:

– Co radzisz, bastardzie?

– Ułaskawić oczywiście! Tylko po to tu przyszedłem!

– A ty, panie de Ternant? Namiestnik Paryża wzruszył ramionami.

– Ułaskawić, panie konetablu!

– A ty, Rostrenen?

– Ułaskawić, panie! Tego domaga się sprawiedliwość! – oznajmił bretoński kapitan.

Richemont nawet nie próbował pytać o zdanie rycerzy z Owernii, lecz oni nie pozwolili, by o nich zapomniano. Ich gromkie głosy zabrzmiały zgodnym chórem:

– Ułaskawić! Ułaskawić!

– Ruszajmy uwolnić Montsalvy'ego! – zagrział Renaud de Roquemaurel. – W drogę do Owernii. Czekają tam na nas!

Według jasnowłosego olbrzyma sprawa była ostatecznie załatwiona i nie pozostało nic innego do zrobienia jak pobiec do Bastylii i wydobyć zeń więźnia.

Richemont jednak miał inne zdanie w tej materii.

– Hola, hola, panie rycerzu! Nie wszystko zostało jeszcze powiedziane! Mistrz Michał de Lallier nie wydał wyroku, a wicie przecież, że rozstrzygnięcie należy do niego i tylko do niego, niezależnie od tego, jaka jest opinia ogółu. Tak więc, panie namiestniku, dodał żywo, widząc groźne miny Owerniaków, jaka jest twoja decyzja? Czy pan de Montsalvy powinien żyć czy umrzeć, szlachetny starcze?

– Żyć, panie, za twoim pozwoleniem. W świetle poznanych okoliczności nikt nie ma prawa go skazać. Chciałbym jednak, aby wiedział, że nie zawdzięcza ułaskawienia temu, iż jest wielkim panem, ani słuszności zemsty... lecz wspomnieniu męczeństwa skromnego złotnika, którego, gdyby żył, być może wstydziłby się nazwać swoim teściem.

– Nie będzie się wstydził! – obiecał Richemont.

– W takim razie pozwolisz, panie, że się oddalę, gdyż muszę teraz udać się do Domu Pod Kolumnami, aby zdać relację z mojej decyzji naszym ławnikom. Jestem pewien, że w zupełności zgodzą się ze mną.

– Czy sądzisz, panie, że lud także? Staruszek uśmiechnął się dobrotliwie.

– Jeszcze dzisiaj wieczorem przemówię do ludu, powiadamiając, że sam zaproponowałem ci, panie, zwolnienie z danego słowa i prosiłem o ułaskawienie winnego.

– Czy wyjawisz powód ułaskawienia? – spytała nieśmiało Katarzyna.

– Oczywiście, pani! Lud, który ja reprezentuję, musi zrozumieć. Zgodzi się, że życie jednego z nich kosztowało życie drugiego, natomiast w stanie podniecenia, w jakim się znajduje, pewnie nie zgodziłby się, gdyby chodziło o

jaśnie pana. Teraz, zanim was opuszczę, pozwól mi, pani, powiedzieć, że jestem szczęśliwy z poznania cię... i dumny, że córka Paryża zaszła tak wysoko. Czy podasz mi swą dłoń?

Katarzyna spontanicznie nadstawiła policzek i sama ucałowała starca gorąco.

– Dziękuję, panie namiestniku! Dziękuję ci z całego serca! Nigdy o tobie nie zapomnę i będę się za ciebie modliła!

Kiedy Michał de Lallier oddalał się wraz z Owerniakami, Janem de Rostrenem i dwoma panami z Burgundii, którzy nie omieszkali skłonić się Katarzynie tak głęboko, jakby ciągle była królową serca księcia Filipa, Richemont delikatnie wyjął dłoń Katarzyny z dłoni bastarda i przyciągnął ją ku sobie na kamienną ławę.

– Spocznij teraz koło mnie, skoroś zwyciężyła, piękna amazonko, i pozwól mi się na ciebie napatrzeć! Na Boga! Jakaś ty piękna! Piękniejsza niż żarnowce w mojej rodzinnej Bretanii, kiedy słońce pieści je i kiedy żółcieją w słońcu na landach! Myślę, że gdybym tak nie kochał swojej żony, zakochałbym się w tobie!

Uśmiechał się do niej promiennie, a cały jego gniew i urażona duma ulotniły się, szczęśliwy, że uchronił starą przyjaźń.

Ponieważ Katarzynie leżały na sercu słowa „klienci Montsalvy”, postanowiła trochę się zemścić.

– Tak więc, panie, sadzasz obok siebie córkę prostego złotnika... którego członkowie waszej rodziny również mogli ongiś być klientami.

Konetabl wybuchnął śmiechem.

– Trafiłaś! Zasłużyłem na to! Przebacz mi, Katarzyno, ta sprawa drażniła mnie jak ukłucie komarzycy! Wiesz dobrze, że należysz do grona tych nielicznych, dla których urodzenie nie ma znaczenia. A teraz opowiedz mi o sobie, o mojej chrześnicy Izabelce i o twoich pięknych ziemiach. Poślę ci pomoc, bo ta twoja dzika eskorta może być niewystarczająca.

– I ja się przyłączę! – oświadczył bastard. – Montsalvy i ja szybko nauczymy rozumu tę bandę rozbójników!

– Nie ma mowy! Potrzebuję cię tutaj, w Paryżu. A poza tym krew orleańska do utarcia nosa nędznym rozbójnikom to byłaby lekka przesada. Zajmę się tym później, kiedy pan de Montsalvy dołączy do nas.

– Przyjdzie tu? – krzyknęła Katarzyna zarumieniona z radości.

– Oczywiście, że przyjdzie! Rostrenen poszedł po niego, a Bastylia nie jest daleko. Czy sądzisz, że mógłbym swoją osobą zaprzętać ci głowę, wiedząc, że palisz się, by go ujrzeć? Chciałbym jednak mieć zaszczyt połączenia was. Mam chyba prawo do małej nagrody?

– Do nagrody i do naszej dozgonnej wdzięczności, panie! Dzięki tobie odnalazłam wreszcie spokój duszy i szczęście...

– Tak naprawdę odnajdziesz je wtedy dopiero, gdy twój małżonek się tutaj pojawi – stwierdził konetabl dostrzegłszy, że Katarzyna błądzi nerwowo wzrokiem w czeluściach ogrodu, czekając, aż ukaże się znajoma, wysoka postać.

Uśmiechnęła się do niego zmieszana.

– Rzeczywiście, pilno mi go ujrzeć.

– Cierpliwości, zaraz tu będzie!

Po chwili rzeczywiście wrócił Rostrenen, lecz sam, i do tego zdradzał wielkie oznaki wzburzenia, tak że Katarzyna ogarnięta złymi przeczuciami pobladła i poderwała się z ławy. Richemont zrobił to samo.

– A gdzie Montsalvy? – rzucił nerwowo.

– Uciekł! – wydobył z siebie Rostrenen tracąc dech, gdyż biegł od samej Bastylji. – Pomógł mu jakiś nieznany mnich... zabili pięciu ludzi!

Nagle cały ukwiecony ogród, wiosenne słońce zapadły się dla Katarzyny w ogarniającej ją fali rozpacz. Ból był prawie cielesny i odebrał jej dech. Zamknęła oczy pragnąc śmierci, lecz niebiosa nie chciały okazać miłosierdzia.

Rozdział ósmy

„PANIE CHAZAY, NA POMOC!”

Zamknawszy się w swoim pokoju w oberży, ukrywając głowę w ramionach, Katarzyna płakała już od godziny, zatraciwszy poczucie istnienia. Cios, jaki otrzymała w ogrodzie pałacu Pod Jeżozwierzem, był tak nieoczekiwany, że po odniesionym dopiero co zwycięstwie zbił ją całkowicie z nóg. Tristan odprowadziwszy ją do oberży kazał jej nie wychodzić i czekać na wiadomości, które spodziewał się jak najrychlej uzyskać. Zupełnie odrętwiała, nie zwracała uwagi na otoczenie; żyła w niej tylko jedna dojmująca myśl, okrutna jak igła drażniąca ranę: „Wszystko stracone... wszystko stracone!...”

Myśl ta wirowała w jej głowie, płacząc i rozplątując swoje spirale aż do zupełnego zatracenia swojego sensu.

Jak ranne zwierzę szukające schronienia w norze, nie przyjęła zaproszenia bastarda, przejętego szczerze jej rozpaczą, który proponował jej gościnę w pałacu des Tournelles, żeby nie czuła się taka osamotniona.

Czyż nie należało się jednak przyzwyczaić do myśli, że od tej pory będzie sama? Przecież ucieczkę Arnolda pięciu ludzi przypląciło życiem, więc od tej chwili nie będzie nikim więcej jak wygnańcem, wykluczonym ze szlachty, ściganym przez sprawiedliwość.

Co się wtedy stanie z nią i dziećmi, jeśli dla ukarania winnego Richemont uzyska decyzję króla, by odebrać im posiadłości i oddać innemu, lub jeśli po prostu zapomni je odebrać Béraultowi? Gdzie pójdą szukać schronienia, kiedy ludzie Wilka z Gévaudan zamkną przed nimi bramy Montsalvy?

Zdawało się jej, że słyszy jeszcze głos konetabla, który dopiero co taki serdeczny, na powrót stał się oschły i groźny:

„Głupiec! Co za szaleństwo pchnęło go do podobnego czynu? Zginęli ludzie, nasi ludzie. Teraz, nawet gdybym chciał, nie mogę postąpić inaczej, tylko kazać ścigać tego nieudacznika i sprowadzić go tu żywego czy martwego”.

Gdyby nie obecność Tristana i bastarda w ogrodzie, chyba by wyzionęła ducha słysząc te słowa. Lecz oni podtrzymali ją, przyprowadzili powoli do gospody i oddali w ręce imć pani Renaudot, żeby zaprowadziła ją do pokoju, pomogła jej rozebrać się i położyć do łóżka.

Ale Katarzyna nie chciała niczego i nikogo. Chciała zostać sama, sama z tym przekleństwem, które ciążyło nad jej życiem i które od wielu lat niezmiennie stawiało na jej drodze wojnę i przemoc, gdy tylko zdawało się jej, że wreszcie osiągnęła szczęście.

Czyjaś ręka delikatnie podniosła jej głowę, a do nozdrzy dotarła miła woń ciepłego napoju.

– Wypij to, biedna pani! – usłyszała przyjazny głos oberżystki. – To ci dobrze zrobi.

Katarzyna chciała odmówić, lecz nie miała siły, a puchar już dotykał jej ust, które poczuły smak grzanego wina, z cukrem i cynamonem. Nie opierała się dłużej i nawet nie otwierając oczu chwyciła puchar oburącz, pijąc małymi, ostrożnymi łykami, gdyż napój był gorący.

– O słodki Jezusie! – jęknęła mości pani Renaudot, widząc pooraną od łez twarz swego gościa. Jakże to można doprowadzić się do takiego stanu?

Wrodzona dyskrecja i obycie z różną klientelą kazały jej nie stawiać żadnych pytań, tylko zaczęła się krzątać z niezwykłą dla siebie delikatnością, przyniosła zimnej wody i cienkie płótno, którym ostrożnie przetrła spuchniętą twarz młodej kobiety.

Katarzyna, zamknawszy oczy, pozwalała robić ze sobą wszystko, wyobrażając sobie, że ma przy sobie Sarę. Ogarnęło ją uczucie całkowitego opuszczenia. Cały jej świat się zawalił. Była sama we wrogim świecie, w którym nie mogła się skryć. Prawdziwe było tylko pachnące wino, ciepłe i przyjazne, rozgrzewające ją w środku.

Po wychyleniu pucharu otworzyła oczy, spojrzała na imię Renaudot ze zdziwieniem i zażądała:

– Jeszcze!

– Jeszcze? – zdziwiła się dobra kobieta. – Po tym winie głowa szybko się kręci.

– To dobrze! Chcę, żeby mi się zakręciło, i to jak najszybciej... żebym całkiem zapomniała, kim jestem!

– Chce pani zapomnieć, kim jest? Dlaczego?... Czy tak bardzo ci ciężko?

– Oj, bardzo! – przyznała Katarzyna. – Miałam trzy nazwiska! Kiedy się nie ma żadnego, człowiek musi lepiej się czuć... Przynieś no mi jeszcze tego wina! Smakuje mi!

Pełny puchar wina, przy pustym żołądku, szybko poszedł jej do głowy.

Kiedy oberżystka zniknęła, aby spełnić jej prośbę, Katarzyna rozejrzała się wokół. W pokoju zalegała jakby mgła, rozmywająca zarysy bielonych ścian, stropów z grubo ciosanych belek pokrytych sękami, małych, zielonkawych szybek w oknie i łóżka pokrytego kapą w ostrym, czerwonym kolorze, które wyglądało jak olbrzymia, dojrzała truskawka, miękka i ciepła.

Zamarzyła nagle, by się zagłębić w miękkim pościeliu. Łóżko jest najlepszym wynalazkiem na ziemi dla cierpiącego na ciele czy duszy. Można w nim do woli pocić się w gorączce, jęczeć z bólu, umierać z rozkoszy czy choroby, zapaść się w głęboki sen i zapomnieć o świecie, wojnach, o niesprawiedliwości i szaleństwie ludzkim, rodzić w nim dzieci spłodzone w jego bezpiecznych ciemnościach, kochać się...

Pochłonięta mglistymi myślami, wywołanymi zmęczeniem i oparami wypitego wina, na nowo wybuchnęła szlochem i runęła do pościeli, by wypłakać całą swoją rozpacz.

Miłość dla niej oznaczała Arnolda! Dlaczego musiała kochać tego egoistę, raptownika i zazdrośnika? Już tyle przez niego wycierpiała. Przez jego nienawiść i pogardę, kiedy widział w niej tylko jedną ze znienawidzonej rodziny Legoix; przez jego dumę, która pchnęła go do całkowitej abnegacji, kiedy będąc przekonany, że zachorował na trąd, odciął się od niej całkowicie, nie pozwalając, by szła za nim do straszego leprozorium; przez jego gwałtowną zmysłowość, kiedy to odnalazła go w Grenadzie w ramionach niebezpiecznej księżniczki Zobeidy; przez jego zamiłowanie do wojaczki i do przelewania krwi, które, po tylu obietnicach „już nigdy więcej”, doprowadziło do tego, że znowu ją opuścił, by oddawać się swoim męskim przygodom, które kochał najbardziej na świecie. A czy wczoraj pomyślał o niej, czy pomyślał, że wbrew rozkazom

śluchał tylko swojej zemsty? Czy zamknięty w Bastylji nie pomyślał o tym, że jego towarzysze broni zrobią wszystko, by wyrok był jak najłagodniejszy, lecz sam skazał się na najgorsze, uciekając z więzienia i zostawiając za sobą krwawy ślad.

Tristan po powrocie zastał gospodynię stojącą na środku pokoju z dymiącym dzbanem, przypatrującą się z zakłopotaniem łóżku z pościelą w nieładzie i wystającymi tu i ówdzie fałdami czarnego aksamitu podbitego gronostajem, fragmentami białej koronki i długim, rozplecionym, jasnym warkoczem.

Tristan spojrzał na imię Renaudot pytającym wzrokiem:

– Co tam przynieśliście?

– Grzanego wina z cynamonem... Przyniosłam jej jeden puchar, żeby przyszła do siebie, a ona wypłała go duszkiem... Potem poprosiła, żebym przyniosła jeszcze... Zastanawiam się, czy się od tego nie rozchoruje.

– Oczywiście! Dajcie mi to i znikajcie!... Byłbym zapomniał: wkrótce wrócą tu rycerze z Owernii. Każcie im zaczekać i przyjdźcie po mnie.

Kiedy za oberżystką zamknęły się drzwi, Tristan wychylił połowę dzbana, przyglądając się z zakłopotaniem łóżku, z którego dochodziła lekka czkawka. Doszedłszy do wniosku, że z Katarzyną nie należy się cackać, postawił dzban na stole, podszedł do łóżka, wsunął ręce pod pościel i wyciągnął zeń Katarzynę z rozpuszczonymi włosami, twarzą czerwoną od łez i zafarbowaną od kapy, która puściła kolor. Rozpięty dekolt ukazywał chudy obojczyk, opalone ramię i impertynecką pierś. Na ten widok Tristan zaczerwienił się jak burak i pośpiesznie pierś nakrył.

Katarzyna spojrzała nań nieszczęśliwie i wyciągnąwszy w stronę pucharu szczupłe dłonie, wyszeptała niepewnie:

– Daj mi się napić, przyjacielu...

– Dostyc już wypłaś, pani! Spójrz na siebie: jesteś na wpół pijana!

– Być może... I tym lepiej!... Nie jestem już taka nieszczęśliwa. Wino dobrze mi zrobiło... Dzięki niemu można zapomnieć. Daj mi wina, Tristanie!

– Co to to nie! Co tak bardzo chcesz wymazać z pamięci, Katarzyno, i dlaczego? Nie pora na to! Czy wiesz, że twój mąż potrzebuje cię bardziej niż kiedykolwiek?

Katarzyna potrząsnęła głową, jakby walczyła z burzą, a jej rozplecione włosy tańczyły wokół jak złote liany.

– Arnold zawsze mnie potrzebuje! Zawsze! Lecz nigdy nikt mnie nie zapyta, czy ja nie potrzebuję Arnolda! Jestem jego rzeczą, jego odpoczynkiem, jego rozrywką, gospodynią w jego domu i pierwszą wasalką, jego kochanką i jego służącą... A może ja chciałabym przede wszystkim być kobietą kochaną? Dlaczego ja nigdy nie mogę brać, zamiast ciągle tylko dawać i dawać? Uczynił ze mnie swoją niewolnicę, przykuł mnie do siebie, do swego nazwiska, swojej ziemi, swoich dzieci... swoich pieszczot! Jestem „jego” żoną... do tego stopnia, że w chwilach takich jak ta zapomina o mnie zupełnie, słuchając tylko swego egoistycznego szaleństwa! Dlaczego więc przychodzisz, by mi powiedzieć, że jest „moim” małżonkiem? Nie moim, Tristanie, lecz wojny, ot co!

Nagle przyłgnęła do piersi Tristana, otoczyła jego szyję ramionami i stając na czubkach palców, przytuliła się do niego.

– Taka miłość, przyjacielu, to prawdziwe niewolnictwo, i to najgorsze ze

wszystkich! Przychodzą takie chwile, kiedy pragnęłabym wyzwolić się z krępujących mnie pęt. Może ty byś mi w tym pomógł?...

Niewzruszony zazwyczaj Flamand poczuł, że krew się w nim burzy. Spodziewał się, że zostanie Katarzynę złamaną, zamienioną przez ból i rozpacz w strzęp istoty ludzkiej, a tymczasem zastał kobietę upojoną winem i gniewem, dającą upust swojej urazie, swojej złości, potrzebie miłości – wszystko to w niedbałym stroju przyprawiającym go o zawrót głowy.

Zmieszany ogarniającym go zapachem kobiecości i wściekły, że nie panuje nad wzburzonymi zmysłami, próbował odepchnąć ją od siebie, lecz ona jeszcze mocniej uczepliła się jego szyi.

Męcząc się, jakby przypalano go rozpalonym żelazem, wyszeptał ochryple:

– Katarzyno, pani mówi od rzeczy! Czas nagli!

– Nie szkodzi! Nie chcę więcej o niczym słyszeć, nie chcę o nic więcej walczyć... nie chcę być szefem wojny! Chcę być kobietą... niczym poza tym... chcę być kochana!

– Katarzyno, ocknij się!... Puść mnie!...

– Nie, nie puszczę! Wiem, że od dawna kochasz się we mnie, a ja dosyć mam samotności! Potrzebuję, by ktoś opiekował się mną, żeby żył dla mnie, ze mną! Co mi po człowieku, którego myśli zaprzątnięte są zabijaniem albo żeby samemu zginąć w imię sławy?

– Na razie musisz go uchronić przed najgorszym, musisz ochronić ojca twoich dzieci, a sobie... jedyne go pana i władcę, jakiego jesteś w stanie zaakceptować! Co do mnie... mylisz się srodze, próbując wodzić mnie na pokuszenie. Kocham cię, to prawda, lecz jestem ulepiony z tej samej gliny co twój Arnold, jestem podobny do niego! Może nawet i gorszy, gdyż ja... marzę o władzy! Otrząśnij się i wróć do niego! Jak sądzisz, co by sobie pomyślał, gdyby cię ujrzał w tej chwili? Że zachowujesz się jak wielka pani?

Odchyliła głowę do tyłu, ukazując widok swych zamglonych oczu, wilgotnych, półotwartych ust z małymi, błyszczącymi ząbkami.

– Nie jestem wcale wielką damą – szepnęła przeciągając się przymilnie jak kotka – lecz zwykłą dziewczyną z Pontau-Change. Prostą dziewczyną, tak jak ty jesteś prostym chłopakiem. Tristanie! My nie urodziliśmy się na świeczniku! Dlaczego nie mielibyśmy się kochać? Może dzięki tobie zapomniałabym o moim bezlitosnym panu.

Tristan tracąc dech czuł, że serce wali mu jak młot, jeszcze chwila w tej niemożliwej do wytrzymania sytuacji może go zgubić, jeśli nie opanuje gwałtownego dzikiego pożądania. Jeszcze chwila, a zerwie z niej tę suknię w nieładzie, odkrywającą jego oczom tyle fascynujących rzeczy, i rzuci ją na łóżko, by odkryć sekrety jej kobiecości... Wytrzymałość Tantala też miała pewne granice i Tristan poczuł, że... słodko płynie...

Ciche skrobanie do drzwi nastąpiło w samą porę. Miał zroszone potem czoło, mokre włosy i cały drżał jak w febrze.

Nadludzkim wysiłkiem zmusił ramiona oplatające jego szyję, żeby go uwolniły.

– Dosyć tego! – zżymał się. – Nie słyszysz, pani, że ktoś puka? Pukanie nasiliło się. W końcu, nie mogąc się doczekać zaproszenia, jejmość Renaudot poufałym szeptem informowała przez drzwi, że rycerze z Owernii czekają na

dole i że bardzo im spieszno.

Tristan nie słuchając dłużej protestów Katarzyny, podbiegł do dzbana z wodą i za pomocą ręcznika spryskał twarz i szyję Katarzyny, odpowiadając jednocześnie gospodyni:

– Daj im najlepszego wina i każ chwilkę poczekać! Pani zemdląła. Cuce ją!

– Nie potrzeba ci pomocy? – dobiegło zza drzwi.

– Nie! Już jest dobrze!

Zacisnąwszy zęby Tristan zamienił się w garderobianą: ze zręcznością, o którą nikt by go nie posądził, poprawił sukienkę, wyprostował fałdy i uczesał z zapalem, który wzniecił protesty ofiary. Szybko splótł warkocze, zwinął je nad uszami i chwyciwszy urwany od spiczastego stroika woal, zakrył nim ramiona i szyję kobiety.

Następnie, oceniwszy wnikliwie rezultat swych zabiegów, stwierdził:

– Już lepiej! Wyglądasz całkiem nieźle!

Tymczasem zawrót głowy Katarzyny ustąpił głębokiemu zażenowaniu.

– Przyjacielu – zaczęła nieśmiało – chciałabym ci wyznać, jak bardzo mi wstyd!... To wino... i moja złość... Chyba straciłam głowę... Nawet boję się pomyśleć, co teraz o mnie sądzisz...

Tristan roześmiał się, chwycił ją za ramiona i złożył na czole braterski pocałunek.

– Myślę, że nie ma żadnego powodu do wstydu... tak się stało, że niechcący powiedziałas wiele prawd. Gdyż prawdą jest, że od dawna kocham się w tobie... Zapomnijmy jednak o wszystkim i pozostajmy przyjaciółmi! A teraz zejźmy na dół, gdyż czas nagli, i musimy coś postanowić.

Przed zgromadzonymi w izbie rycerzami Tristan zdał relację z tego, czego dowiedział się na temat ucieczki Arnolda. Otóż mniej więcej wtedy, kiedy Katarzyna udawała się wraz z bastarodem do konetabla, w Bastylii zjawił się jakiś franciszkanin z rozkazem podpisanym i opatrzonym pieczęcią pana Jakuba de Chastelliera, biskupa Paryża, by udał się z pociechą religijną do więźnia o nazwisku Arnold de Montsalvy. Wprowadzono więc mnicha do wieży Bertaudiere, w której wyczekiwał nań Arnold, i drzwi zamknęły się za dwoma mężczyznami.

Po paru minutach krzyki mnicha sprowadziły strażnika, który sądząc, że więzień zaatakował mnicha, rzucił się z pomocą. Otworzył drzwi i... padł martwy, ugodzony sztyletem prosto w serce. Hałasy sprowadziły kolejnych dwóch strażników, a i ci zginęli na miejscu od cięcia szpady, gdyż najprawdopodobniej mnich przemycił pod sutanną istny arsenał oraz drugi habit przeznaczony dla Arnolda.

W tym przebraniu zbiegowie wydostali się na dziedziniec, gdzie przy bramie trzymali straż łucznicy bastarda, doskonale znający kapitana de Montsalvy. Jedno potknięcie i Arnoldowi spadł kaptur z głowy odsłaniając twarz. Widząc, że jest rozpoznany, zaatakował. Krzyki łuczników były ostatnimi, jakie słyszano; zostali oni rozerwani na strzępy, po czym obaj mężczyźni wskoczyli na konie pilnowane przez trzech czy czterech współników i cała kawalkada zniknęła w chmurze dymu, kierując się na Charonne...

– Czy ktoś widział tego mnicha? – krzyknęła Katarzyna. – Czy ktoś go zna?

– Ci, co go widzieli – odparł ponuro Tristan – już nigdy nie przemówią. Lecz łucznicy stojący na murach, którzy byli świadkami ucieczki, utrzymują, że mnich był młodym blondynem, a ludzie czekający na zbiegów nie mieli żadnych znaków rozpoznawczych.

– To niewiele wiemy – rozzłościł się Renaud de Roquemaurel.

– Czy nie wiadomo nic więcej?

Tristan spojrział na Katarzynę wzrokiem pełnym litości i ścisząc głos do granic słyszalności oznajmił:

– Tak, wiadomo jeszcze coś. Otóż szynkarz, który akurat skubał gęsi na przyzbie, widział jeźdźców, którzy przemknęli mu prawie przed nosem. Słyszał, jak jeden z mnichów krzyknął do drugiego:

– Tędy, Gonnie! Droga wolna...

Zapadła grobowa cisza, która jednak nie trwała zbyt długo.

– Na Boga! Gonnet tutaj! – wybełkotała Katarzyna. – Gonnet d’Apchier! A więc udało mu się! Na Boga! Arnold jest zgubiony!...

Renaud walnął swoją potężną pięścią w stół, przewracając wszystkie stojące nań kubki.

– Dlaczego zgubiony? I co, do kroćset, udało się temu przekłętemu bękartowi?

– Zaraz wam powiem – odparła zmęczonym głosem.

Przed tym płonącym z ciekawości audytorium opowiedziała, co zdarzyło się w Montsalvy i o zadaniu, jakie otrzymał Gonnet.

– Wierzyłam w to niezbitcie, że udało mi się przybyć do Paryża przed nim – westchnęła na koniec. – Miałam nadzieję, że zatrzyma się w Saint-Pourain u Villa-Andrando, niestety, myliłam się... Był tu przede mną. Dowiedział się wcześniej niż ja, co się zdarzyło, i użył zbyt łatwej sztuczki, którą podsunęła mu znajomość gwałtownego charakteru mego małżonka... i udało mu się. Ciekawe, jak zdobył rozkaz biskupa...

– To w tej chwili nieważne! – przerwał Renaud, przekrzykując rozognionych kompanów. – Na razie musimy ruszyć w pogoń, złapać ich i wyrwać pana de Montsalvy ze szponów tego fałszywego dobroczyńcy, zanim ten wściekły pies ukreści mu głowę przy pierwszej nadarzającej się okazji! Dalejże, mościpanowie! Na koń!

– Pan de Rostrenen już podąża ich śladem – wtrącił Tristan.

– Konetabl wydał rozkaz, by doprowadził ich żywych lub martwych! Olbrzymi Roquemaurel podszedł do namiestnika i pochylił się, by spojrzeć mu prosto w oczy, gdyż wyższy był od niego o całą głowę.

– Żywych lub martwych, powiadasz panie? I myślisz, że nam to odpowiada? Inaczej mówiąc, tak czy siak, jeśli nie Gonnet, to Rostrenen, a nasz pan kapitan nie ma szans. Jeśli Gonnet jeszcze nie zdążył go zabić, to zrobi to Rostrenen, gdyż nie sądzisz chyba, przyjacielu, że nasz kapitan sam odda się w jego ręce! Chyba nie znasz, panie, naszego kapitana!

– Ależ znam go, a poza tym...

– Mówiłem już, że spieszno nam. Pozwól więc, panie! I wbij to sobie do głowy: my, którzy chcemy odnaleźć naszego kapitana w dobrym stanie, będziemy mieli zaszczyt ścigać i waszych Bretończyków, i zbiegów. Mamy zamiar ich dogonić i dać im nauczkę! Możesz to powiedzieć konetablowi!

– Z pewnością tego nie zrobię... Chyba że dacie mi słowo, że

przyprowadzicie tutaj obu zbiegów...

– Pan raczysz z nas kpić! Zapominasz, panie, że mamy porachunki z bandą Béraulta. Zatem, jak tylko powiesimy Gonneta na pierwszym napotkanym drzewie, ruszymy prosto do Montsalvy wykurzyć lisa z nory. W tym celu potrzebujemy prawowitego właściciela: inaczej mówiąc Arnolda de Montsalvy. Kiedy wszystko się uspokoi, wasi sędziowie i wasi doradcy będą mogli do znudzenia rozprawiać nad jego przypadkiem, skazać go, jeśli łaska, i przyjechać po niego w nasze góry, jeśli zechcą! Musisz jednak ich uprzedzić, że będziemy na nich czekać! Zrozumiałeś, panie, co mam na myśli?

– Jak najdokładniej, mości panie! To istna przyjemność słuchać twej potocznej wymowy – odparł kpiąco Tristan. – Nie rozumiem tylko jednego: dlaczego jeszcze tutaj sterczycie i... „rozprawiacie do znudzenia”?

Zbity z pantaląku Renaud zarechotał niepewnie, jednak po chwili walnął namiestnika w plecy, tak że ten ledwo nie zarył nosem o podłogę, i odwróciwszy się do Katarzyny ryknął:

– Gotuj się do drogi, pani! Jedziesz z nami!

– Nie ma mowy! – oburzył się Tristan. – Pan jesteś niespełna rozumu, panie Roquemaurel! Nie dla kobiety miejsce wśród walk, które was czekają. Na dodatek jest wycieńczona i opóźniałaby pościg. A poza tym... ma tu jeszcze coś do zrobienia dla swego męża. Ruszajcie! Kiedy przyjdzie czas, damy jej należyłą eskortę, by bezpiecznie mogła wrócić do swojej Owernii.

– Błagam cię – krzyknęła Katarzyna – pozwól mi pojechać z nimi. Nie ma tu dla mnie życia!

– To twój mąż nie będzie miał życia, jeśli tutaj nie zostaniesz. Zresztą zostawiam ci wybór: albo ci kawalerowie odjadą natychmiast bez ciebie, a ja przymknę na to oczy, albo wezwę strażników i każę ich aresztować.

Pokonana opadła ciężko na ławkę.

– Ruszajcie, przyjaciele – westchnęła – lecz zaklinam cię, Renaud, powiedz memu mężowi...

– Że go kochasz, pani? Sapristi, sama lepiej byś to zrobiła niż ja. Do zobaczenia! Uważaj na siebie i pozwól nam działać.

W jednej chwili oberża opróżniła się jak wielka beczka, z której wyciągnięto szpunt.

Rycerze z Owernii dosiedli swoich ciężkich koni i bez ostrzegawczego „Z drogi” puścili się galopem ulicą Świętego Antoniego, roztrącając przechodniów, zwierzęta i siejąc strach na swej drodze. Wkrótce nie pozostał po nich ślad, z wyjątkiem tumanów kurzu oraz złorzeczeń poszkodowanych.

Katarzyna i Tristan, którzy wyszli na próg oberży, by uczestniczyć w tym gwałtownym odjeździe, wrócili do środka. Ale pani de Montsalvy była niepokieszona.

– Dlaczego nie pozwoliłeś mi, panie, pojechać z nimi? Wiesz, że nie chcę tu zostać ani chwili dłużej.

– A jednak zostaniesz... jeszcze tę noc, żeby nabrać choć trochę sił. Jutro zaś, obiecuję ci, pojedziesz... lecz nie do Owernii...

– Gdzie tedy?

– Do Tours, dziecino! Do Tours, gdzie w ciągu tygodnia udaje się król, gdzie za miesiąc odbędą się zaślubiny delfina Ludwika z Małgorzatą Szkocką. Tam tylko możesz się przydać panu Arnoldowi, gdyż tylko król może go

ułaskawić, skoro jest skazany przez konetabla. Udaj się do króla, Katarzyno! Zaślubiny księcia są najodpowiedniejszą chwilą do uzyskania nieosiągalnej łaski. Twojemu mężowi potrzebne są listy ułaskawiające, jeśli nie chcesz, by żył jak wyjęty spod prawa.

– Czy je dostanę? – szepnęła kobieta z powątpiewaniem. – Sam powiedziałeś, że konetabl skazał Arnolda.

– Nie mógł postąpić inaczej, gdyż otacza się tymi przewrażliwionymi paryżanami, którzy zaczęliby ryczeć jak zwierzęta w rzeźni. Lecz król lekceważy sobie reakcje paryżan. Nie wspomina ich dobrze. Dlatego jeśli poprosisz go o łaskę, z pewnością ci jej udzieli. Potem wszyscy zapomną o kapitanie de Montsalvy zaszytym w swoich górach, gdzie dla zachowania pozorów zostanie skazany na banicję na jakiś rok, po czym wróci na dwór, gdzie wszyscy go ucałują z konetablem na czele.

W miarę jak mówił, robiło jej się lżej na duszy. W kilku optymistycznych zdaniach przepędził czarne chmury zgromadzone nad jej udręczoną głową, rozjaśnił horyzont i wlał w jej serce nadzieję.

Miejsce niepokoju zajęła teraz nieskończona wdzięczność. Zrozumiała, jak wielka była przyjaźń Tristana, który z racji swojej funkcji powinien za wszelką cenę nie dopuścić, by Owerniacy ruszyli w pogoń za Arnoldem i pomogli w uwięzieniu jego ucieczki pełnym sukcesem. Ujawszy czule dłoń kawalera, przytknęła ją do swego policzka.

– Ty zawsze wiesz lepiej niż ja, co należy robić, drogi przyjacielu. Powinam o tym pamiętać i zamiast ciągle się buntować przeciw twoim radom, powinam cię słuchać!

– Przecenisz mnie, pani! Ale ponieważ widzę cię w dobrej kondycji, każ Renaudotowi nakrywać do stołu. Jestem taki głodny, że zjadłbym własnego konia!

– I ja również – odparła Katarzyna ze śmiechem. – Niepokoi mnie jednak mój mały Bérenger... Gdzie też on się podziewa tak długo?...

– Tutaj jestem – odparł zduszony głos dobywający się z wnętrza wielkiego kominka, na którym bulgotała kapusta z wędzonką. Coś zaszurało w kominie i wraz z obłokami sadzy z ciemnych czeluści wyłonił się paż w brązowej opończy i zbliżył się do skąpego światła przedzierającego się przez małe szybki.

– Co to ma znaczyć, Bérenger? Szukam cię od samego rana, byłeś mi bardzo potrzebny...

Nagle przerwała zaskoczona smutną miną młodzieńca. Zgarbiony, bliski płaczu, Bérenger wyglądał jak półtora nieszczęścia.

– Na Boga! Co ci jest, Bérenger? Wyglądasz, jakbyś stracił kogoś bliskiego.

– Pozwól, moja droga! – przerwał Tristan. – Chyba wiem, co się stało! – Następnie zwrócił się do nieszczęsnego kawalera: – Czy przybyłeś za późno? Czy coś mu się... przytrafiło?

Bérenger pokręcił przecząco głową, po czym z wielkim żalem dodał:

– Nie, panie! Wszystko poszło gładko. Oddałem twój list i natychmiast go wypuszczono...

– No więc?... Powinieneś być zadowolony?...

– Zadowolony... Oczywiście, panie, jestem zadowolony i bardzo ci

wdzięczny, lecz...

– Może mi jednak powiecie, o co chodzi! – zaprotestowała Katarzyna przysłuchująca się ze zdziwieniem rozmowie, z której niczego nie rozumiała.

– Chodzi o pewnego krnąbrnego studenta, niejakiego Waltera de Chazaya, którego wczoraj – jak sama widziałaś – wsadzono do kozy, a którym interesował się Bérenger. – Chcąc sprawić wam obojgu przyjemność – ciągnął Tristan – dziś rano dałem temu chłopcu rozkaz uwolnienia studenta, który bez trudu uzyskałem od pana de Temanta. Dlatego jestem zdziwiony nietęgą miną pazia... Czy student nie był zadowolony, że przyniosłeś zwolnienie?

– Ależ tak! Bardzo zadowolony! Spytał, jak się nazywam i jak udało mi się uwolnić go z więzienia... uściskał mnie i... rzucił się biegiem przed siebie krzyząc: „Wielkie dzięki, przyjacielu! Może jeszcze kiedyś się spotkamy! Tymczasem, wybacz mi, pędzę do Marion l’Ydole! Winna mi jest coś, a u niej nie należy zwlekać z odbieraniem długów!”... Po czym zniknął na ulicy Świętego Jakuba.

– To rzeczywiście niewiele, jak na podziękowanie – burknął Tristan. – I bądź tu dobry dla ludzi, eh!... A dlaczego to, paziu, wracasz tak późno?

– Przechadzałem się po wybrzeżu, patrząc na przepływające barki i galary. Poczujęm się taki sam... taki zagubiony. Potem udałem się do dzielnicy szkół.

– Następnie zaś – podjęła Katarzyna z uśmiechem – nie spotkawszy swojego studenta, na którym tak ci zależy, postanowiłeś jednak wrócić. Nie smuć się, Bérenger; spełniłeś dobry uczynek, lecz, niestety, nie zyskałeś przyjaciela.

– O tak! Tak bardzo chciałbym zostać jego przyjacielem... choć wiem, że przy nim byłbym tylko nieukiem i wieśniakiem...

– Jesteś dzielnym chłopcem, Bérenger, który uczynił zbyt wiele dla jakiegoś niewdzięcznego fanfaron. Zapomnij o nim tak jak ja. Zainteresował mnie tylko dlatego, że przypominał dawno utraconego przyjaciela. Nie myśl o nim! Jutro, z otwarciem bram, ruszamy do Tours!

– Do Tours?

– Właśnie! Nie zdobyłeś przyjaźni zbuntowanego studenta, lecz być może ujrzysz króla – odparła Katarzyna z westchnieniem.

– Króla?... Tak... oczywiście – powiedział bez przekonania Bérenger. Zmartwienie pazia nie było widocznie aż tak wielkie, by mogło odebrać mu apetyt, gdyż zbiedzony kawaler pożarł podaną mu strawę równie łapczywie, jak poprzedniego dnia, następnie znowu ruszył na zwiedzanie Paryża.

Z nadejściem wieczoru, gospoda Pod Orłem jak zwykle wypełniła się hałasem i wrzawą. Przy stołach poplamionych winem i woskiem świec pozasiadali rycerze, by spożyć wieczerzę, opróżnić dzbanów bez liku i grać w kości.

Katarzyna spożyła wieczerzę wraz z paziem w swoim pokoju, po czym odesłała go do łóżka, by wypoczął przed czekającą ich następnego dnia podróżą.

Zmęczona wypadkami całego dnia zasnęła ledwo złożonywszy głowę na poduszce; z pokoju obok dobiegało chrapanie Bérengera godne starego wiarusa...

Dzwony pobliskiego klasztoru nie rozbrzmiały jeszcze na Jutrznie, kiedy uliczka zarośla się od tajemniczych cieni, które bezszelestnie zmierzały w stronę

gospody Pod Orłem.

W zamku zazgrzytał wytrych, lecz zabarykadowane od wewnątrz drzwi nie chciały ustąpić. Wtedy od jednego mocnego kopnięcia poleciały szyby w oknie i jakiś cień zwinnie wślizgnął się do środka. Po chwili drzwi otworzyły się cicho, wpuszczając do gospody czarne postacie.

Kiedy imć Renaudot, w bawełnianej szlafmocy na głowie, jedną ręką trzymając świecę, drugą zaś opadające spodnie, zszedł na dół, by sprawdzić, skąd dochodzą hałasy, cofnął się z trwogą na widok nocnych gości oświetlonych blaskiem łuczyw.

Obrzmiałe, czerwone twarze, na głowach skórzane, obcisłe czepki, twarze dzikie, lodowate spojrzenia, okrutne zmarszczki wokół ust najczęściej pozbawionych zębów... Skórzane, powalane krwią fartuchy, błyszczące noże szewskie i szerokie noże kuchenne, zatknięte u pasa. Nieszczęsny oberżysta zorientował się od razu, z kim ma do naczynia.

– Czego... chcecie? – wybełkotał. – Czego chcecie?... Wystąpił jeden z ludzi. Jego potężne, żyłaste i nagie ramiona były spowite żelaznymi obręczami jak beczki, a spocona twarz wydawała się najbardziej odpychająca ze wszystkich.

– Do ciebie nic nie mamy, oberżysto! Wracaj do łóżka i nie ruszaj się!

– Ale chyba mogę wiedzieć, czego chcecie!

– Bądź spokojny! Nie chcemy od ciebie niczego... tylko od pewnej damy! To, za przeproszeniem, „jaśniepani”. Masz takie cudo u siebie, karczmarzu?

– Tak... ale....

– Żadnego ale! Do niej mamy sprawę! Ty zaś pójdziesz grzecznie do swej połowicy, która pewnie spociała się ze strachu w piernatach, a jeśli chcesz, żebyśmy nie nadwerężyli twojej gospody, zajmiesz się starą, pojmujesz?

– Moją starą?... W jej wieku?...

– No i co z tego? W naszych stronach bywają gorsze megieri! A zresztą, nic nas to nie obchodzi! Zmawiaj zdrowaśki albo przeleć starą, tylko nie ruszaj się ze swego pokoju. Inaczej spalimy twój dom i ciebie wraz z nim! Zrozumiałeś?

Nieszczęsny oberżysta szczekał zębami i cały drżał nieprzytomnie, lecz na myśl o klientce tak delikatnej i arystokratycznej zdobył się na odwagę. Na dodatek strach przed panem Eremitą, gdyby coś złego stało się pani, którą mu powierzył, zmusił go do działania.

– Posłuchajcie – wymówił z trudem, próbując się dogadać. – Nie wiem, co wam zrobiła ta młoda dama, ale ona jest taka dobra i miła...

– Nie gadaj, stary, tylko idź po nią!

– A do tego – nie dawał za wygraną imć Renaudot – sam pan namiestnik powierzył ją mojej pieczy, a jest to człek gwałtowny i bezlitosny! Wierście mi, nie powinniście z nim zadzierać...

– Do pana Tristana Eremity nie mamy nic. A zresztą, nie boimy się nikogo! I jeśli nie chcesz, byśmy zaraz z ciebie zrobili pieczeń, leć po nią, a chyżo! Popatrz no, jak się pięknie pali na kominku!

Rzeczywiście, jeden z napastników podsycił żar tłący się pod popiołem i po chwili buchnęły płomienie, liżąc rzucane nań szczapy i polana.

Przerażony Renaudot już widział siebie związanego jak baran i nadzianego na własny rożen, przeżegnał się więc tylko ze trzy razy, po czym

ruszył biegiem po schodach, błagając świętego Wawrzyńca, patrona oberżystów, których specjalnością jest pieczyste, żeby zlitował się nad nim, jego gospodą oraz klientką. Przez głowę przemknęła mu myśl, że mógłby uciec przez okno, lecz wtedy usłyszał znowu głos swego prześladowcy:

– Idź no z nim, Marcinie, żeby mu nie wpadło do głowy uciekać po pomoc do swego namiestnika. A wy tam, reszta, wszyscy pójdziemy po paniusię!

– Robimy za dużo hałasu, Rudy Wilhelmie – zaprotestował jeden z bandziorów. Obudzimy całą dzielnicę.

– I co z tego? Nawet jeśli się pobudzą, nie kiwną palcem. To banda tchórzy. Schowają nosy w pierzynach, żeby nic nie słyszeć.

Chwilę potem Katarzyna została obudzona przez horde, która jak lawa wulkanu wlała się do jej pokoju, wyrwana z łóżka i uniesiona dziesiątkami stwardniałych rąk, które chwyciły ją brutalnie za ramiona, za uda i biodra, zniesiona na dół i postawiona jak przedmiot na stole stojącym najbliżej kominka.

Ukazanie się tej nagiej kobiety* [*Używanie koszuli nocnej należało w tych czasach do rzadkości. Przyp. autorki.], której długie, jasne włosy nie zdołały jednak ukryć ciała stworzonego do miłości, wyrwało z zatwardziałych piersi łotrów dziki pomruk. Płomienie kominka ogarnęły ją całą swoim ciepłym światłem, sprawiając wrażenie, że jest ze szczerego złota.

Wyrwana ze snu spoglądała wokół z niemym przerażeniem. Otaczał ją krąg oczu błyszczących jak rozpalone węgle, obleśne usta oblizujące się łapczywie, ręce wyciągające się już w jej stronę.

– Patrzcie, co za piękna sztuka! – rzucił któryś. – Zanim się z nią skończy, mam ochotę skosztować, jak smakuje.

– Masz rację, brachu! – podjął żywo inny. – Ja też chcę spróbować! Co za piersi! Jakie uda! Palce lizać!

– Zamknijcie wasze zaplute mordy! – zagrzmiął osobnik wyglądający na przywódcę. – Zajmiemy się tym później! Nie myślcie sobie, zakute pały, że ja nie mam na nią ochoty! Ale najpierw musimy ją osądzić!

Katarzyna zrozumiała wreszcie, że nie jest to koszmarny sen i że wszyscy ci ludzie byli prawdziwi, aż nadto prawdziwi. Czuła jeszcze dotkliwy uścisk ich rąk na nogach i ramionach.

Ogarnął ją szaleńczy strach, panika mroząca krew w żyłach i unicestwiająca reakcje. A przy tym jeszcze ten nieznośny żar z kominka. Odsunęła się, by być dalej od ognia, lecz przywódca chwycił ją i zatrzymał w miejscu.

– Hola, piękniśiu! Nie ruszaj się! Pogadamy!

Katarzyna nagle odzyskała głos, który do tej pory odmawiał jej posłuszeństwa ze strachu.

– Czego chcecie? Za co chcecie mnie sądzić? Dlaczego?

– Zaraz się dowiesz! Hej tam, Berto! Wyłaź ze swego kąta!

Spośród strasznych typów wyszła chuda kobieta o siwych, zmierzwionych włosach, żółtej cerze, cała ubrana na czarno. W spojrzeniu jej zielonkawych oczu widniała bezgraniczna, nieugięta nienawiść. Nienawiść istoty ograniczonej, o umyśle przetrawionym przez fałszywą pobożność i chciwość.

Pomimo upływu wielu lat, Katarzyna poznała ją: kobietą tą była Berta Legoix, żona Wilhelma, człowieka zabitego przez Arnolda... zrozumiała więc, że zbliża się śmierć.

Przybrawszy uroczystą minę, która mogłaby rozśmieszyć, gdyby nie była w niej ukryta groźba, podeszła do stołu, pochyliła się i nagle, jak wąż wypuszczający swój jad, wypluła z siebie prosto w twarz Katarzyny:

– Ladacznico! Zapłacisz za wszystko!

– Co ja wam zrobiłam? – spytała Katarzyna gniewnie.

Zawsze nie znosiła Berty, która nawet w młodości nie miała serca, a służące bały się jej jak ognia, gdyż ta wiedźma prała je bez powodu i nie dawała jeść.

– Jeszcze się pytasz? Przywlekłś się tu, by przymilać się do tego osła, konetabla, pewnieś z nim spała, a ten czarci pomiot, twój mąż przypadkiem uciekł z Bastylii! No to zapłacisz za to! Ponieważ nie mogę dostać zabójcy, dostanę ciebie! Do kroćset! Myślałam, że zdechnę, kiedyś się dowiedziała, że stary Lallier zwrócił słowo Richemontowi i potem, jakem się dowiedziała o ucieczce. Wtedy zwołałam tych chłopców za drobną opłatą... Na szczęście, mam jeszcze trochę pieniędzy... a ty zobaczysz, co się stanie!

– Nic się nie stanie! – zawyła Katarzyna. – Jeśli mnie tkniecie, całe życie będziecie tego żałować!

– Jeśli zdechniesz wcześniej, nie zależy nam na cenie, jaką zapłacimy! – zaskrzeczała wiedźma. – A zresztą jak tylko wyrównamy porachunki, ślad po nas zaginie. Hej, wy tam, upuście krwi tej laluni i wrzucie ją do ognia!

– Spokojnie, tylko spokojnie! – wtrącił ten, którego zwano Rudzielcem. – Nie ma pośpiechu i chyba możemy trochę z nią pofiglować! Nie powiedziałaś nam, że to taka sztuka!

– Jesteście bandą świń! – rozzłościła się stara. – Nie płacę wam za baraszkowanie z tą kobietą, ale za zemstę. Ładna czy szkaradna, wszystko jedno! Zabić ją! Jeśli zaraz mnie nie usłuchacie, to ja...

I wyrwawszy wielki kuchenny nóż zatknięty u pasa Rudzielca, uniosła go do ataku i rzuciła się w stronę Katarzyny... W tym momencie rozwarły się z hałasem drzwi, których napastnicy nie zabarykadowali, i do gospody wpadła rozwrzeszczana zgraja, wymachując kijami i siekierami. Zgrai przewodził wysoki chłopiec z radymi jak marchewka włosami. Rzucił się na przeciwników, wykrzykując na całe gardło w najlepszym stylu wojskowym:

– Chazay z odsieczą! Dalejże! Naprzód, chłopcy! Śmiało! Przegnajmy stąd to wszeteczeństwo!

W jednej chwili w gospodzie się zakotłowało. Berta oberwawszy solidnie wpadła bez czucia do skrzyni na chleb. Renaudot, widząc, co się święci, rzucił się do okna i zaczął wrzeszczeć jak opętany:

– Na pomoc! Na pomoc! Dobrzy ludzie, zawiadomcie straże! Tym razem hałas obudził całą ulicę. W oknach zabłyśły światła i po chwili ze swych domów powybiegali na wpół odziani mieszczanie, zaciekawieni, co się dzieje.

Rozświetlona gospoda imć Renaudota rozbrzmiewała odgłosami tępych uderzeń i wyciem walczących.

Katarzyna skorzystała z zamieszania, by szybko zeskoczyć ze stołu i wbiec na schody, gdzie w połowie drogi zetknęła się nos w nos z paziem Bérengerem, który dopiero co wyrwany z pierwszego snu schodził przeciągając

się i ziewając tak szeroko, że niechybnie groziło mu zwichnięcie szczęki.

Na widok swej pani, biegnącej po schodach, tak jak ją pan Bóg stworzył, otworzył szeroko oczy i dostał czkawki. Lecz niesamowita zjawia potrafiwszy go, bez słowa wpadła do swego pokoju, zostawiając go przyklejonego do muru, z rozdziawioną gębą, przekonanego, że ta dziwna wizja była skutkiem gry wyobraźni rozpalonej cienkim winem z Cahors, którym obficie podlewano wieczerzę.

– Hej, przyjacielu! Co tam stoisz na schodach jak słup soli? Masz minę, jakbyś ujrzał diabła! Może przyszedłbyś nam z pomocą?

– Już idę, Walterze, już idę!

I paż Katarzyny, nie wiedząc właściwie, z kim się bije i po co, lecz tylko świadom, że sprawia przyjemność swemu przyjacielowi studentowi, z ufnością dał nura w skłębioną ciżbę, okładając na oślep każdego, kto mu się nawinał pod rękę.

Walka była tak zajadła, że pewnie gospoda wielce by ucierpiała, gdyby nie zjawił się wreszcie strażnik ze swoim zastępem. Skutek był natychmiastowy. Rzeźnicy jak i studenci czmychnęli w popłochu na lewo i prawo jak czereda wróbli. Jedynie ci, którzy zbyt mocno oberwali kijem czy nożem, leżeli pokodem u stóp przerażonego gospodarza. Wśród poszkodowanych był Rudzielec, który stracił świadomość zdzielony stołkiem w łeb, a także wiedźma Legoix, wyciągnięta bez ceregieli ze skrzyni chlebowej przez jednego z łuczników. Obydwoje mieli być bez zwłoki przekazani w ręce pana Jana de la Porte, dowódcy więzienia w Châtelet.

Mając przed sobą dowódcę straży, pana Jana de Harlaya, gospodarz odzyskał pewność siebie i niezwykle kwieciście opisał całe zajście, wzywając często na poparcie swych słów świętą Dziewicę i wszystkich świętych, ganiąc podłych napastników i wychwalając pod niebiosą wybawicieli, którzy musieli chyba być zastępem aniołów zesłanych specjalnie z rajy przez świętego Antoniego, patrona dzielnicy i jego samego, imć Renaudota.

Jan de Harlay, wysłuchawszy w skupieniu panegiryku oberżysty, zauważył, że co do zastępu aniołów to była nim grupa studentów z gimnazjum nawarskiego.

– Może to i studenci – zgodził się skwapliwie Renaudot – lecz przewodził nimi chłopiec o płomiennych włosach, a sądząc po waleczności, musiał to być sam Archanioł! Zresztą całkiem zniknął, jak sam pan widzi...

Istotnie, Walter de Chazay, nie przepadający wcale za panem de Harlayem, z którym niedawno miał scysję w kabarecie Pod Mulicą przy ulicy Świętego Jakuba, gdzie urzędował nader często, wolał zrezygnować z wieńca laurowego i czmychnął cichcem do pokoju Bérengera, który zaproponował mu gościnę.

Pan de Harlay tymczasem złożył Katarzynie przeprosiny w imieniu Grand Châtelet i namiestnika Paryża, po czym oddalił się, zabierając nieprzytomnych więźniów. Imć zaś Renaudot, lamentując i złorzecząc, zabrał się do naprawiania szkód, które, prawdę mówiąc, nie były aż takie wielkie.

Gdy tylko umilkły kroki łuczników, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawili się paż Bérenger i Walter.

Oberżysta, stanąwszy twarzą w twarz z bohaterem o czerwonych włosach, musiał się zgodzić, acz niechętnie, że nie był specjalnym wysłannikiem niebios.

Pomimo że Walter de Chazay okazał się zwykłą, ziemską istotą, zasłużył całkowicie na wylewną wdzięczność imć Renaudota i na stole gospody pojawiła się wielka wędzona szynka w towarzystwie bochenka chleba oraz okazałego dzbanka chambertin, do czego zaprosił obu chłopców.

Student był tak wygłodniały, że w jedną zdrowąskę dotarł do kości szynki. Przyjemnie było patrzeć, jak pochłania mięsiwo, a Bérenger, choć wyposażony przez matkę naturę w równie nieposkromiony apetyt, nie mógł jednak równać się z przyjacielem.

Zafascynowani tym niecodziennym widowiskiem, imć Renaudot, jego połowica i dwie służące, stali z otwartymi ustami, przyglądając się, jak w przepastnych gardłach biesiadników znikają ich zapasy, dotknięte żarłocznością kompanii termitów.

Katarzyna przypatrywała się także, czekając, aż się młodziankowie posilą, a gdy nie został już ani plasterek szynki, ani okruszyna chleba, ani kropla wina, podeszła do stołu, dziękując młodemu Chazayowi, że uratował jej życie.

Widząc nagle przed sobą kobietę, którą jeszcze przed chwilą oglądał w stroju Ewy, Walter de Chazay poczerwieniał i gwałtownie zerwał się z ławy.

– Nic nie jesteś mi winna, szlachetna pani... chciałem rzec... żadnego podziękowania. Miałem wobec ciebie dług wdzięczności! Wyciągnęłaś mnie z więzienia!

– Więzienie za zaczepianie żołnierzy... to nie było groźne przewinienie, byłbyś wyszedł i bez mojej pomocy! A zresztą, to Bérenger uzyskał twoje zwolnienie. Lecz ty uratowałaś mnie od straszliwej śmierci. Powiedz, jak mogłabym ci się odwdzińczyć?

– Ale ja nie chcę podziękowania! – krzyknął student prawie ze złością. – Kiedym przypadkiem natknął się na starą Legoix zbierającą rzeźników, domyśliłem się, że chodzi o jakąś nieczystą sprawę. Usłyszałem też, jak wymawiają twoje imię, mojej wybawicielki. Więc i ja zebrałem kamratów... i Bóg pozwolił, że przybyliśmy w samą porę.

– A ja myślałem, że nic cię nie obchodzimy – westchnął Bérenger. – A ty tymczasem...

– A ja tymczasem – podjął Walter z wielką szczerością – kochałem się z Marion l'Ydole. Kiedym od niej wyszedł, natknąłem się na wdowę Legoix i pomyślałem, że czas spłacić dług wdzięczności.

– Zgoda, lecz ciągle nie mogę się dowiedzieć, co mogłabym dla ciebie zrobić.

Student spojrzał Katarzynie prosto w oczy.

– Czy naprawdę chcesz dla mnie coś zrobić, pani?

– Oczywiście, że chcę!

– No to... zabierz mnie ze sobą! Bérenger powiedział mi, że jutro ruszacie w drogę...

– Żebyś cię zabrała? – zdziwiła się Katarzyna. – Naprawdę chcesz opuścić Paryż? A gimnazjum nawarskie? A studia?

Student skrzywił usianą piegami twarz.

– Jestem tym już znudzony, studiami i gimnazjum nawarskim. Nienawidzę greki, łaciny i całej reszty. Całymi dniami ślęczeć nad opasłymi, zakurzonymi tomami, spać na słomie, pić wodę i zdychać z głodu przez dziesięć miesięcy w roku, zbierać razy, kiedy nauczyciel nie jest w humorze, czy sądzisz,

pani, że to życie dla mężczyzny? Mam dziewiętnaście lat, pani... i umieram z nudów. Z nudów... i wściekłości!

– Ależ to życie, o jakim marzę! – oburzył się paż. – Studiować! Zdobyć wiedzę! Od lat tylko o tym myślę!

– Biedny idioto! – odparł Walter z pogardą. – Od razu widać, że nie wiesz, o czym mówisz. Zaiste, piękny mi żywot! Ty masz wolną przestrzeń, niebo, góry i doliny, strumienie, cały świat. Jesteś paziem, zostaniesz giermkim, będziesz miał prawo nosić zbroję, zostaniesz rycerzem, być może nawet kapitanem – dumnym, niezwykłym, prawdziwym mężczyzną! Podczas gdy ja i mnie podobni garbimy się nad zakurzonymi pergaminami, coraz samotniejsi, coraz starsi... obrastający tłuszczem, zwłaszcza ci, którzy ostatecznie wybrali Kościół...

– Ja nienawidzę wojny i oręża, i wszystkiego, co się za tym kryje! Nienawidzę zarozumiałstwa kapitanów, ich okrucieństwa i nieszczęść biednego ludu! – krzyknął paż, który nagle poczerwieniał. – Jak można marzyć o tym, żeby spędzić życie na łojeniu drugim skóry?

– Można, jeśli się spędziło życie na mamrotaniu Sokratesa, Seneki czy Katona, nie zgadzając się z nimi! Już dosyć się nauczyłem, a jako że nie pragnę zostać księdzem ani urzędnikiem, chcę odejść! Zabierz mnie z sobą, pani! – dodał błagalnie. – Jestem dosyć odważny, jak sądzę, a byłoby wielką nieostrożnością ze strony szlachetnej pani udać się w daleką drogę w kompanii jakiegoś tylko żółtodzioba!

– Nie jestem żółtodziób! – zaprotestował Bérenger. – Już raz się biłem, i to ze zbrojnymi ludźmi! Spytaj panią Katarzynę!

– To prawda – przyznała Katarzyna z uśmiechem. – Bérenger zachował się bardzo dzielnie w trudnej sytuacji.

– No, to dobra wiadomość! – krzyknął student, waląc pazia po plecach. – Będziemy walczyć ramię w ramię, jeśli twoja pani mnie przyjmie. Zresztą – dodał ze smutkiem – jeśli odmówi, i tak będę musiał stąd odejść... albo zostać rozbójnikiem...

– Co to za pomysły? – krzyknęła Katarzyna. – Dlaczego rozbójnikiem?

– Żeby jeść... Przełożony gimnazjum nawarskiego chce się mnie pozbyć. Utrzymuje bowiem, że jestem gałgan, parszywa owca, ponieważ latam za dziewczynami i lubię wino. Tak jakbym tylko ja latał za spódnicami. Po prostu nie podobam mu się i z parszywej owcy zrobi kozła ofiarnego!

– A co powiedzą na to twoi rodzice?

– Nie mam rodziców, pani. Mam tylko wuja, który zarządza resztką moich dóbr, gdyż prawie wszystko strawiła wojna. Wuj Guy ma syna i pochłonięty jest gromadzeniem dóbr dla niego. Dlatego mnie wysłał na studia, by moja część przypadła synowi. To proste, nieprawdaż?...

– Prawdaż – przyznała Katarzyna. – Szczerze mówiąc... mam chęć zabrać pana ze sobą, lecz czy pomyślałeś, że wstępując do mnie na służbę, wstępujesz na służbę do mego męża?... to znaczy zbiegłego więźnia, wyklętego, ściganego przez prawo?...

Walter de Chazay zaczął się śmiać.

– W naszych czasach dziś się jest ściganym przez prawo, a jutro można zostać marszałkiem. Wczorajszy nieprzyjaciel dzisiaj jest bratem, a z nadejściem nocy znowuż staje się najpodlejszym wrogiem. Żyjemy w szalonych czasach,

lecz nadejdzie dzień, gdy zapanuje porządek i królestwo odrodzi się w pełnym blasku. Ale na razie walka nie jest skończona i ja chcę mieć w niej swój udział. A poza tym, nie gniewaj się, piękna pani... że pragnę tobie służyć, ciebie bronić... przede wszystkim ciebie!

Katarzyna nie odpowiadała, czując wzruszenie chwytające ją za gardło. Ten chłopiec przypominał jej innego Waltera... olbrzymiego Normandczyka, z którym spotkanie zawsze kończyło się fatalnie dla wroga. Nieśmiały głos w głębi serca podpowiadał jej, że ten młody człowiek noszący jego imię miał coś z jej starego przyjaciela... Nikt nie miał takiej woli walki i zapalczywości w bronienu słusznej sprawy jak tamten Walter, potomek wikingów. I Katarzyna pomyślała z błogością, że od tej chwili będzie miała przy sobie tego chłopca, który tak przypominał jej tamtego, co odchodząc zabrał część jej serca...

– Postanowione! – krzyknęła wyciągając dłoń do swego nowego sługi. – Od dzisiaj jesteś giermkim pani de Montsalvy. Imć Renaudot przygotowuje ci kąpiel do spania, a jutro o świtaniu udasz się z Bérengerem na targ koński, by kupić wierzchowce i ciepłe okrycia.

Istotnie, łańchmany Waltera były usiane dziurami, lecz ten nie przejmował się takimi błahostkami. Z oczami błyszczącymi ze szczęścia ukląkł przed Katarzyną, podobnie jak ongiś tamten Walter. I oddał swe życie nowej pani.

Następnego dnia, nie opodal młynów w Montrouge, obracających na wietrze swoje skrzydła, pojawiła się grupa rycerzy zmierzających na południe.

Po dwóch dniach spędzonych w Paryżu, które wypełniły jej serce goryczą, pani de Montsalvy w towarzystwie Bérengera de Roquemaurela, Waltera de Chazaya, Tristana Eremity i kilku rycerzy opuściła stolicę.

Zmierziała w stronę Loary szukać ratunku dla Arnolda i prawa dla ludzi z Montsalvy oraz jej samej do życia w spokoju.

CZEŚĆ TRZECIA

SERCE DO WZIĘCIA

Rozdział dziewiąty

DELFIN I FAWORYTA

– Nie, nie, nie, pani... to niemożliwe! Nie mogę dać ci tego – o co mnie prosisz! Najwyższy już czas, by w królestwie zapanował porządek i by szlachta znowu stała się posłuszna! Toteż z przykrością muszę odmówić.

Klęcząc przed tronem w postawie, która przystoi osobie proszącej o łaskę, Katarzyna wzniosła do króla twarz zalaną łzami i złączyła dłonie.

– Sire, błagam cię, sire!... Któż może go ułaskawić, jeśli ty odmówisz?

– Konetabl, pani! To on dał słowo, to jego rozkaz złamano! Jest panem i władcą armii. Nawet księżęta krwi winni mu są posłuszeństwo! Czy zapomniałaś, pani, jaką władzę daje szpada kwiatom lilii? Jest więc moim królewskim obowiązkiem utrzymywać i popierać wszelkie rozkazy mojego naczelnego wodza.

Obowiązek! Utrzymać! Co za słowa w ustach Karola VII! Katarzyna patrzyła na króla bardziej zdziwiona niż zawiedziona, nie poznając go. Co mu się stało?

Po prawdzie zachował swój niewdzięczny wygląd, bladą twarz o pociągłych rysach, duży, opadający nos i wypukłe oczy. Lecz te oczy, ongiś bezbarwne i nieśmiałe, patrzyły teraz pewnie i surowo. Linie twarzy były wyrazistsze pod wielkim czarnym, pilśniowym kapeluszem, otoczonym złotą koroną. Odnosiło się także wrażenie, jakby król urósł, może dlatego, że trzymał się prosto. Jego ramiona w pikowanym żupanie wydawały się szerokie i mocne. Stał przed tronem, nad którym wisiał niebiesko-złoty baldachim, z dumnie uniesioną głową, pieszcząc jedną ręką białego jak śnieg charta z Karamanii.

Katarzyna zrozumiała, że ma przed sobą zupełnie innego człowieka. Ale skoro przybyła, by walczyć, postanowiła nie poddawać się aż do końca.

– Co więc mam robić, sire? Widzisz moją rozpacz... daj przynajmniej jakąś radę...

Karol VII zawahał się tak jak ongiś. Piękna twarz kobiety zdawała się wzruszać władcę... Wreszcie powoli zszedł ze schodów, na których stał tron, by pomóc wstać Katarzynie.

– Musisz wrócić do konetabla, moja droga, i prosić go jak najłagodniej. W chwili obecnej jego ludzie z pewnością schwytali skazańca... i być może jest już za późno...

– Nie, sire! To niemożliwe! Konetabl nigdy nie straciłby głowy Arnolda de Montsalvy bez zapytania ciebie o zdanie!

– Moja droga, posłuchaj mej rady i wróć do Paryża, błagaj Richemonta, a być może...

– Panie, pomyśl, że jestem tylko kobietą i od wielu dni miotam się w zaklętym kręgu. Daj mi, panie, przynajmniej kilka słów skreślonych twą ręką, doradzających konetablowi... Jestem tutaj całkiem sama. Królowa Yolanda, w której pokładałam wszystkie swoje nadzieje, nie wróciła jeszcze z Prowansji i powiada się, że jest złożona niemocą. Moi najdrożsi przyjaciele są przy niej albo walczą w Pikardii i Normandii. Nie mam tu nikogo... nikogo, prócz ciebie, sire!

– To prawda, że moja matka była ostatnio cierpiąca, lecz wczoraj dostałem wiadomość, że przysłała już do siebie i że gotuje się do drogi, by uczestniczyć w zaślubinach swego wnuka. Ujrzysz więc ją niebawem...

Potem nagle zaczął krzyczeć popadając w swoją dawną nerwowość.

– Nie! Proszę cię, pani, nie płacz! Katujesz mnie, Katarzyno. Wiesz dobrze, że zawsze pragnąłem twego dobra. Znasz siłę swych łez... i wykorzystujesz to, by zmusić mnie...

Katarzyna czuła, że król mięknie, że być może zwycięstwo jest blisko, i chciała chwycić rękę króla, by złożyć nań swe usta... kiedy z głębi sali dobiegł do niej łagodny, świeży głos kobiety, głos, który jednak mówił straszne rzeczy.

– Nikt nie może zmusić króla... to zbrodnia obrazy majestatu! Czy zapomniałeś, drogi przyjacielu, o zaleceniach twojej dobrej matki? Musisz być twardy, sire! Musisz zachować autorytet... za wszelką cenę! W przeciwnym wypadku nigdy nie będziesz potężnym władcą!

Katarzyna odwróciła się, wypatrując nieznajomej. Po posadzce usłanej kobiercem świeżo zerwanych kwiatów zbliżało się powoli wysmukłe, niebiańskie stworzenie. Mogło mieć najwyżej siedemnaście lat. Długie, kasztanowe, mieniające się złotym odcieniem włosy spadały spod wianka z blad różowych róż na mlecznobiałe ramiona i okrągłe piersi, ledwie że zasłonięte przez sukienkę z niebieskiej tafty, ściśnięte tak mocno błyszczącym materiałem, że zdawało się, iż za chwilę wyskoczą ze swego więzienia. Lekko wypukłe czoło, okrągłe policzki i usta jak wisienki. Świadomie czy nie, zjawisko to było uosobieniem miłości.

W jednej chwili król zmienił się na twarzy. Jak zakochany paź rzucił się na spotkanie pięknego stworzenia, chwycił je za dłonie i pokrył gorączkowymi pocałunkami.

– Agnieszko! Serce moje! Jesteś więc... a ja myślałem, żeś jeszcze w ogrodzie... że odpoczywasz w słońcu...

Dziewczyna roześmiała się, a jej śmiech podobny był do gruchania turkawka.

– Silne słońce przyciemnia skórę i zaczerwienia oczy, sire... a poza tym... stęskniłam się za tobą.

– Jak ona to pięknie powiedziała! Stęsknił się, mój słodki anioł! A ja co, co ja tu robiłem w tym czasie? Usychałem... cóż mówię, umierałem z tęsknoty, gdyż chwila bez ciebie dłuży mi się jak cały wiek w piekle! Minuta bez ściskania tej małej rączki, bez całowania tych słodkich usteczek...

Katarzyna w osłupieniu uczestniczyła w tej miłosnej scenie. Kim była dziewczyna, w której król zdawał się śmiertelnie zakochany? Przyzwoitość nakazywała jej odejść na czubkach palców, gdyż król wziął Agnieszkę w ramiona i złączył się z nią w długim pocałunku. Lecz z drugiej strony, jeśli odjedzie, nie uzyska nowego widzenia. Toteż cierpliwie czekała, aż pocałunek się skończy, wreszcie cicho, lecz zdecydowanie wyszeptała:

– Sire! Czy dasz mi ten list, o który cię proszę?

Karol zadrzał, jak ktoś nagle wyrwany z pięknego snu. Wypuścił swą piękną przyjaciółkę z objęć i skierował w stronę Katarzyny niezadowolone spojrzenie.

– Pani jeszcze tu, pani de Montsalvy? Sądziłem, że wyraziłem jasno swoją wolę! Udaj się do Richemonta! Ja nic nie mogę uczynić!

– Sire! Litości...

– Nie! Powiedziałem nie! Zaczyna mnie męczyć udzielanie łask twemu mężowi, pani! Przypomnij sobie, że w tej sali kazałem spalić katowi edykt skazujący go. Powinien o tym pamiętać, zanim popełnił kolejne głupstwo! Należy do tych, którym się wydaje, że im wszystko wolno, lecz ja nauczę go być posłusznym! Rozumiesz, pani? Posłusznym!... Żegnam panią!

I chwyciwszy swą piękną przyjaciółkę w pól, Karol VII skierował się do drzwi prowadzących do ogrodu.

Kiedy drzwi się za nimi zamknęły, usłyszała ich śmiech, tak jakby śmiali się z niej, i bardzo ją to zabolalo. Wyciągnawszy chusteczkę z rękawa wytarła oczy i nos i skierowała się do wielkich drzwi prowadzących na dziedziniec. Ta olbrzymia sala z murami wysokimi na sześć metrów, pokrytymi wielkimi arrasami, ten monumentalny kominek, na którym stały wazony wypełnione żarnowcem, sprawiała wrażenie koszmaru. Przywodziła na myśl sen, w którym śni się o nie mającej końca drodze, wydłużającej się w miarę jak się biegnie, nie prowadzącej donikąd.

Ten sen wiódł ku podwójnym drzwiom dębowym i brązowym, strzeżonym przez dwa stalowe posągi, które machinalnie otworzyły oba skrzydła, kiedy się zbliżyła.

Poniżej szerokich schodów rozciągał się skąpany w słońcu dziedziniec zamku Chinon. Jak dawniej, szkoccy łucznicy strzegli tu bram i otworów strzelniczych. Pióra czapli zatknięte u ich czapek kołysały się łagodnie na wieczornym wietrze. Wszystko było tak jak tamtego dnia, kiedy Tristan Eremita prowadził ją schodami, a na górze czekała na nią królowa Yolanda, która osobiście miała powieść ją ku tronowi królewskiemu. Tamtego dnia triumfowała... a dzisiaj opuści zamek sama, bezbronna, nie wiedząc, co robić ani dokąd się udać...

Poniżej schodów czekali Walter i Bérenger, trzymając konie za uzdy i nie spuszczać z niej pytających spojrzeń. Wyraz twarzy Katarzyny nie pozostawiał jednak żadnych złudzeń.

– A więc? – spytał gwałtownie Walter. – Odmawia?

– Tak, Walterze... odmawia. Mówi, że nie ma prawa ułaskawić, kiedy skazuje konetabl. Że pan de Richemont jest jedynym panem swoich żołnierzy i swoich kapitanów. Muszę wrócić do Paryża, prosić konetabla... jeżeli nie jest jeszcze za późno...

– Do kroćset! – rozzłościł się Walter. – To rada szaleńca, a nie normalnego człowieka!

– Nie wracajmy do Paryża, pani Katarzyno! – podchwycił Bérenger. – Moi bracia na pewno uwolnili pana Arnolda! Nie wracaj do Paryża! Po co masz się ponizać, prosić nadaremnie? Wracajmy do domu! Wracajmy do naszych gór, z dala od dworu potrafimy stawić czoło.

Walter patrzył na swego przyjaciela z podziwem.

– Tak jest, jedźmy do was! Co prawda nie znam waszych rodzinnych stron, ale bardzo chciałbym je poznać. Coś mi mówi, że tam będę szczęśliwy. Żleśmy zrobili, przyjeżdżając do Chinon.

To była prawda i Katarzyna wyrzucała sobie, że nie posłuchała Tristana Eremity, który radził jej udać się do Tours i tam czekać na uroczystość zaślubin oraz przybycie króla z Chinon. Ona jednak chciała go natychmiast zobaczyć. A

teraz wszystko przypadło...

– Wracamy, pani Katarzyno? – spytał Bérenger. – Słońce jest już nisko, a ty potrzebujesz odpoczynku.

– Jeszcze chwilę... Chciałabym tam wejść na minutę... Wskazała na małą, przyciśniętą do potężnej wieży Coudray kapliczkę Świętego Marcina, gdzie często chodziła na mszę i modliła się, kiedy zamieszkiwała w zamku po pokonaniu szambelana La Tremoille. Lubiła przychodzić do tego zacisznego sanktuarium, w którym również modliła się Joanna d'Arc, jak to tylko ona potrafiła; dla Joanny modlitwa była źródłem energii i wiary, najlepszym lekarstwem przeciwko zniechęceniu i bóleści. Pograżona w rozpacz Katarzyna pomyślała, że może Bóg zechce ją wysłuchać, jeśli zwróci się do niego w miejscu, w którym ta, którą zesłał na ziemię, modliła się do niego.

Wewnątrz panował przyjemny półmrok. Zachodzące słońce przedzierało się przez różę na portalu i kładło się na sklepieniu, na małym, kamiennym ołtarzu i złożonym tryptyku. Lecz dzisiaj piękno tego miejsca, działające zazwyczaj jak balsam na Katarzynę, było jakby bezsilne i nie mogło uleczyć serca trawionego przez zgryzotę. Tyle nadziei pokładała w królu, który dotąd zawsze okazywał jej zainteresowanie i dobroć. Król jednak ciągle był obiektem igraszek swoich faworytów. Tym razem chodziło o faworytę, która z pewnością będzie równie groźna, jak jej poprzednicy, Giac i La Tremoille.

Przybywając do zamku myślała, że uda się do kapliczki po audiencji u króla, by złożyć podziękowanie... tymczasem wchodziła doń zrozpaczona, nie wiedząc, co czynić – czy wracać do Paryża, czy do Owernii... Nie miała siły na dalsze prośby, dalsze upokorzenia... Klęcząc pod kolumną, przytknąwszy czoło do stołu komunijnego, płakała w złączone dłonie, ślepa i głucha na to, co się wokół dzieje, kiedy jej ramienia dotknęła czyjaś dłoń i nieznajomy głos powiedział wyraźnie:

– Dobrze jest się modlić... ale po co tyle płakać?

Katarzyna podniosła się z gwałtownym biciem serca, jak ktoś złapany na gorącym uczynku, i spojrzała na młodzieńca stojącego nie opodal.

Zmienił się od ostatniego ich spotkania cztery lata temu, lecz nie aż tak, żeby nie poznała delfina Ludwika.

Książę musiał mieć teraz czternaście lat. Urósł, lecz nadal był chudy, przedwcześnie zgarbiony, miał silne, kościste ramiona, taką samą jak przedtem żółtawą cerę i czarne, proste włosy. Jedynie rysy jego twarzy wyostrzyły się wokół dużego, agresywnego nosa i czarnych, głęboko osadzonych oczu tryskających inteligencją. Był brzydki, lecz jego brzydota miała w sobie jakąś nieokreśloną moc, a w sylwetce było coś z subtelnej majestatyczności. Książę roztaczał wokół siebie dziwny urok, który brał się być może z jego przenikliwego spojrzenia.

Pomimo mocno sfatygowanego stroju łowieckiego z grubego płótna flandryjskiego po dumnym tonie i władczym wyrazie twarzy można było odgadnąć płynącą w jego żyłach królewską krew.

Katarzyna uczyniła głęboki ukłon, zaskoczona i zażenowana niespodziewanym spotkaniem.

– Powiedz mi, pani, dlaczego płakałaś – nalegał delfin przyglądając się uważnie jej zrozpaczonej twarzy. – Jesteś pani de Montsalvy, czy tak? Byłaś damą dworu królowej, mojej matki?

– Wasza Wysokość poznaje mnie?

– Twoją twarz trudno zapomnieć, pani... Katarzyno, jak mi się zdaje? A kobiety, które mnie otaczają, są w większości głupie lub bezwstydyne... albo jedno i drugie. Pani byłaś inna... Nadal jesteś inna.

– Dziękuję ci, panie.

– A teraz mów! Chcę wiedzieć, dlaczego płakałaś?

Trudno było oprzeć się temu rozkazowi, gdyż bez wątpienia był to rozkaz. Katarzyna niechętnie opowiedziała przebieg ostatnich wydarzeń, dostrzegając, jak delfin marszczy brew na wiadomość o zabiciu Legoix, a zwłaszcza o ucieczce Arnolda.

– Ci nasi panowie feudalni nigdy się nie zmieniają! – mruknął.

– Dopóki nie zrozumieją, kto jest panem w tym kraju, będą robić, co im się żywnie podoba! Toteż nieposłuszni muszą zginąć!

– Ależ panem jest król, nasz dobroczyńca i nasz ojciec, panie, i nikt nie śmie tego podważać! – zaprotestowała przerażona Katarzyna. A ponieważ nie miała już nic więcej do stracenia, dodała:

– Dlaczego tak się dzieje, że manipulują nim ludzie, nie mający do tego prawa?...

– Co chcesz przez to powiedzieć, pani?

– Tylko to, co widziałam na własne oczy i co stało się ze szkodą dla mnie, panie...

I Katarzyna opowiedziała o swoim spotkaniu z Karolem VII i o przerwanej przez piękną nieznajomą imieniem Agnieszka rozmowie. Za ledwie jednak wymówiła to imię, na twarzy rozmówcy pojawił się wyraz gniewu, a jego ręce zacisnęły się na rękawicach do jazdy konnej.

– Ta mała ladacznica! – wrzasnął nie dbając o święty przybytek. Jego okrzyk sprowadził z zakamarków kapliczki poważnego człowieka z czarną brodą, który bez słowa wskazał ręką na ołtarz. Ludwik poczerwieniał, przeżegnał się nabożnie i klęknął na kamiennej posadzce dla odmówienia modlitwy. Po chwili jednak wstał i podszedł do Katarzyny oczekującej w niemym skupieniu.

– Nie powinienem wypowiadać takich słów w kościele... ale fakt pozostaje faktem! Nienawidzę tej osoby, w której zadurzył się ojciec.

– Kim ona jest?

– To córka niejakiego Jana Soreau, koniuszego, pana na Coudan i Saint-Gerant. Jej matka zwie się Katarzyna de Maignelais. Pochodzi z dobrego domu, ale niezbyt świetnego. Przed rokiem ciotka ma, Izabela de Lorraine, odwiedziła nas przed udaniem się do Neapolu, gdzie wzywały ją interesy męża, księcia Rene, trzymanego w paskudnym więzieniu przez Filipa Burgundzkiego. Pannica ta była jedną z jej dwórek. Jak tylko król ją zobaczył, stracił dla niej głowę...

– Panie, nie zapominaj, że mówisz o królu! – przerwał brodacz, Jean Majoris, nauczyciel delfina.

– Sam wiem najlepiej, o kim mówię! – obruszył się delfin. – Mówię tylko jak jest: król szaleje za tą dziewczyną, a na nieszczęście moja pani babka popiera ją i ochrania...

Katarzyna otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

– Kto?... Królowa Yolanda?...

– Nie kto inny w rzeczy samej! Królowa Yolanda chyba także zakochała

się w Agnieszce, bo jak można wytłumaczyć fakt, że dziewczyna tak szybko została dwórką mojej matki?

– A więc wszystko skończone – westchnęła Katarzyna.

– Chwileczkę! Nie wszystko skończone! Jak zapewne ci wiadomo, za kilka dni król, królowa i cały dwór udadzą się do Tours, gdzie mają się odbyć moje zaślubiny z księżniczką szkocką. – Wypowiadając te słowa delfin skrzywił się, jakby zjadł cytrynę. Pomimo to ciągnął dalej: – Datę ślubu ustalono na 2 czerwca. Małgorzata jest już we Francji od kilku tygodni, gdyż przybyła do La Rochelle pod koniec kwietnia, ale zgotowano jej tak huczne powitanie, że nie może posuwać się zbyt szybko. W tej chwili powinna być w Poitiers... niedaleko stąd!

Tym razem westchnął on. Katarzyna domyślając się, co to mogło oznaczać, szepnęła:

– Wasza Wysokość... zdaje się niezbyt szczęśliwy z tego małżeństwa?

– To małżeństwo jest mi całkiem obojętne. Nigdy nie widziałem Małgorzaty Szkockiej. Lecz złości mnie sama myśl o małżeństwie. Mam wiele lepszych rzeczy do roboty niż zajmowanie się żoną. Ale zostawmy to. Twoja nadzieja, pani, jest właśnie w tym małżeństwie: w dniu zaślubin bądź w katedrze przy trasie orszaku ślubnego. To mnie poprosisz o łaskę dla hrabiego de Montsalvy! W takich okolicznościach król nie będzie mógł mi odmówić! Nawet jeśli Agnieszka będzie temu przeciwna!

Ogarnięta wdzięcznością, Katarzyna zgięła kolano, ujęła dłoń delfina, chcąc złożyć nań pocałunek, lecz on wyrwał rękę, jakby bał się, że zostanie ugryziony.

– Nie dziękuj mi, pani! Nie robię tego dla ciebie ani dla twego postrzelonego męża, który w przyszłości nie powinien opuszczać pól bitewnych... zwłaszcza kiedy ja zostanę królem. Gdyż, daję ci na to moje słowo, potrafię okiełznać swoją szlachtę!

– Dlaczego więc to czynisz, panie? Żeby zrobić na złość tej Agnieszce? – spytała odważnie.

Delfin uśmiechnął się filuternie jak chłopiec, który zamierza spłatać figla dorosłej osobie.

– W rzeczy samej! – odparł wesoło. – Cudownie będzie pokazać publicznie tej aferzystce, że nie ona rządzi królestwem! Lecz to nie jest jedyny powód. Otóż rada, by prosić króla o łaskę, została ci dana przez człowieka, który mi się bardzo podoba. Pan Tristan Eremita to dobry sługa. Jest surowy, twardy i prawy. Kiedy nadejdzie odpowiednia pora, będzie służył mnie... To jemu, twojemu przyjacielowi, pragnę oddać przysługę. Nie chcę, by bezskutecznie wysyłał cię tutaj. Chodźmy, muszę wracać, a ty, pani, musisz opuścić zamek przed podniesieniem mostu zwodzonego.

Ramię w ramię, pani de Montsalvy i delfin Ludwik, wyszli z kaplicy, po czym książę pożegnał się uprzejmie, a Katarzyna wróciła do swego pazia i giermka.

– Kim jest ten podle odziany chłopiec? – spytał Bérenger. – Wydał mi się taki brzydki.

– To twój przyszły władca! Jeśli Bóg pozwoli, pewnego dnia zostanie królem Ludwikiem XI.

– A więc – skomentował Walter – nie da się powiedzieć, że będziemy

mieć pięknego króla.

– Nie, lecz zapewne będzie wielkim królem. W każdym razie otrzymam od niego łaskę, której odmówił mi Karol. Ruszajmy do gospody, młodziankowie! Potem wam opowiem, co się zdarzyło.

– Czy wracamy do Montsalvy? – spytał Bérenger z błyskiem nadziei w oku.

– Nie. Ani do Montsalvy, ani do Paryża. Ruszamy do Tours, gdzie będziemy czekać na dzień zaślubin, jak trzeba było zrobić od razu, gdyby mi się tak nie śpieszyło.

Cała trójka opuściła fortecę zbudowaną ongiś przez Plantagenetów i udała się do centrum miasta, Grand-Carroi, gdzie gospoda Pod Krzyżem Wielkiego Świętego Mexme ciągle przyjmowała podróżnych i gdzie królował olbrzymi imię Baranek, a nad nim jego gadatliwa połowica Pernelka, krzątająca się wśród cizby kelnerczek, kadzi i błyszczących kociołków.

Znad rzeki unosiła się mgła. W blasku zachodzącego słońca lekko zmierzwiona powierzchnia wody przybrała odcień oliwkowy, lecz szczyty wierzb błyszczały jeszcze w słońcu. Dachówki i stare mury miasta rozciągającego się nad rzeką Vienne wyglądały jak wyjęte żywcem ze starego obrazu.

Nagle dwa wielkie łabędzie wypłynęły z gniazda ukrytego wśród szuwarów, sunąc zgodnie w górę rzeki nad samą powierzchnią wody i nie zwracając uwagi na prąd, który na środku rzeki był bardzo silny.

Katarzyna nie mogła oderwać oczu od tego widoku, widząc w nim szczęśliwą wróżbę. Ptaki były dwa, z pewnością para, płynęły razem i dlatego czuły się silniejsze, pozbawione strachu.

Zrozumiała, że powinna wziąć z nich przykład, odnaleźć Arnolda i nie opuszczać go już nigdy, gdziekolwiek by się udał. Tylko pod tym warunkiem staną się niezwyciężeni. Samotność nie była dobra ani dla jednego, ani dla drugiego.

Do wody dał nurka zimorodek z krzykiem zwycięstwa, lecz trzech jeźdźcy byli już daleko, zagłębiwszy się w cieniu domów.

Rozdział dziesiąty

ZAKOCHANE SERCE

Dom Jakuba Serce w Tours i jego składy towarowe ciągnęły się wzdłuż Loary, w pobliżu barbakanu Grand-Pont, za murami broniącymi miasta przed napaścią oraz przed powodzią. Sąsiadowały z klasztorem jakobinów i potężnymi wieżami zamku królewskiego.

Jakub, kuśnierz z Bourges, człowiek, który poprzysiągł sobie, że przywróci w królestwie dostatek i bogactwo, póki co był najpotężniejszym i najbardziej pomysłowym kupcem, posiadał tutaj, jak i w innych dużych miastach, dom i sklepy, w których jak dzień długi uwijali się subiecki i handlarze.

Sam Jakub prowadził życie w siodle, galopując od jednej faktorii do drugiej, od Bourges po Montpellier, gdzie znajdowała się główna część jego handlowych interesów, z Montpellier do Narbonne i Marsylii, do Lyonu, gdzie miał stosunki, do Clermont, Tours i Angers.

Miał już trzydzieści sześć lat, był szczupłym, eleganckim mężczyzną, niezwykle energicznym i wszędzie go było pełno, jego wrogowie powiadali nawet, że podpisał pakt z diabłem.

W drodze powrotnej z Chinon, po bezowocnej rozmowie z królem, Katarzyna z radością odwiedziła starego przyjaciela w jego faktorii w Tours, która w związku z obecnością właściciela rozkwitła niezwykłą aktywnością.

Jakub oczywiście nie pozwolił, by przyjaciółka zatrzymała się w gospodzie. Zmusił ją, by wraz z towarzyszami podróży zajechała do jego domu i oddał ją w ręce zażywej pani Rigoberty, zarządczyni jego siedziby w Tours, która dzięki jej staraniom stale była w pogotowiu, by należycie przyjąć właściciela.

Para przyjaciół odnalazła się po długiej przerwie z wielką radością. Łączyło ich od lat obopólne zrozumienie oparte na wzajemnym szacunku i pewnej dozie czułości. Było to uczucie skomplikowane, coś więcej niż przyjaźń; Katarzyna czuła bowiem, że Jakub zawsze jej pożądał, lecz to jej nie przeszkadzało.

Jakub Serce udzielił schronienia Katarzynie, Sarze i Arnoldowi, gdy uciekali przed nienawiścią La Tremoille'a; dzięki jego pomocy mogli uciec do swojej Owernii. Z drugiej zaś strony, kiedy Jakub stracił cały majątek po zatopieniu galery z Narbonne w drodze powrotnej ze Wschodu, Katarzyna powierzając mu najpiękniejszy i najdroższy ze swych klejnotów, czarny diament, który dostała od pierwszego męża, Garina de Brazeya, pozwoliła mu odbić się od dna i odbudować zrujnowane imperium. Wreszcie, po ucieczce z Alhambry Katarzyna i Arnold mogli opuścić Grenadę na jednym z jego statków i wrócić do Francji.

Przez trzy pierwsze dni wspólnym wspomnieniom nie było więc końca. Jakub zachwycony był, że Katarzyna wcale się nie zmieniła, że nadal jest piękna, pełna wewnętrznej siły i odwagi w obliczu zdarzeń mogących powalić niejednego mężczyznę.

– Gdyby nie moja żona, Macee i dzieci – powiedział jej pewnego wieczoru – i gdybyś ty nie była żoną i matką, porwałbym cię, uwięził, uczynił moją wszelkimi sposobami, mimo że jesteś wielką damą, gdyż wyżyny, na których żyjesz, nie przerażają mnie i wiem, że potrafiłbym cię doścignąć...

– Prześcigniesz nas wszystkich, Jakubie! Będiesz najpotężniejszym człowiekiem we Francji, jednym z najbogatszych w Europie, jeśli nie najbogatszym. Twoje pomysły... te porty, te zakładane przez ciebie kopalnie, ci emisariusze, których rozsyłasz po całym świecie... wszystko to przyprawia o zawrót głowy.

– To jeszcze nic! Zobaczysz za kilka lat... Zbuduję pałac... którego, niestety, nie będę mógł ci podarować... Ale – dodał wesoło – zawsze mogę ci ofiarować kilka worków brzęczących, złotych monet... i jeszcze coś.

Wstał od stołu, przy którym oboje kończyli wieczerzę. Okno pokoju wychodziło na mały ogród wewnętrzny. Rosły w nim aromatyczne zioła, a także wiciokrzewy i jaśminy, których woń pozwalała zapomnieć o wyziewach dolatujących z ulicy, po której spływały ścieki pełne odpadków i nieczystości. Katarzyna została sama. Paż i giermek jak zwykle pobiegli kąpać się w Loarze lub zaopatrzeni w wędki i siatki poszli łowić ryby na jedną z piaszczystych wysepek. Wiedziała, że nie wrócą wcześniej niż o zmierzchu, by rzucić się na jadło przygotowane przez imć Rigobertę, po czym udadzą się na poddasze i zasną kamiennym snem. Wiedziała też, że te chwile spokoju i odpoczynku nie będą trwać wiecznie.

Za kilka dni przyjdzie jej na nowo pochylić czoło przed młodą parą królewską, w obliczu prześwietnych gości, wśród których dawniej było jej miejsce. Oznaczało to kolejne upokorzenie, jednak od tego zależało uratowanie Arnolda. Powinna dziękować Bogu, że dał jej jeszcze jedną, ostatnią szansę. Ale to będzie ostatni raz! – przyrzekła sobie. Nigdy więcej nie uklękne przed ludzką istotą; jedynie przed Bogiem...

Żeby zatrzymać jak najdłużej łagodny majowy wieczór, z całych sił starała się odepchnąć od siebie obraz na czarno ubranej Katarzyny klęczącej na placu przed katedrą. Tymczasem wrócił Jakub.

– Popatrz na to, moja droga! – rzucił zbliżając się do stołu. Katarzynie zdawało się, że to magiczne sztuczki. Handlarz przysunął zaciśnięte dłonie do płomieni świec, po czym otwarł je powoli i oczom Katarzyny ukazał się rząd pereł najwspanialszych, jakie kiedykolwiek w życiu widziała. Wszystkie idealnie okrągłe, z lekkim różowawym odcieniem. Żadna oprawa nie psuła ich doskonałej piękności. Łączyła je jedwabna nić przechodząca przez ich środki. Wyglądały niczym fragment Drogi Mlecznej, jak promień księżyca.

Katarzyna wstrzymując oddech wpatrywała się w palce przyjaciela. Bawił się klejnotami, obracając je we wszystkie strony, dla uzyskania efektów świetlnych.

– Jeszcze nigdy nie widziałam takich pereł! – westchnęła z zachwytem.

– Oczywiście! Nikt do tej pory nie wpadł na pomysł złączenia pereł o tym samym zabarwieniu. Do tego trzeba mieszkać nad ciepłymi morzami, cieplejszymi niż nasze. Te przysłał mi niedawno sułtan Egiptu.

– Sułtan Egiptu? Utrzymujesz stosunki z innowiercą?

– Tak, i to owocne, jak widzisz. Nie powinnaś się dziwić, że handluję z niewiernymi... Przypomnij sobie nasze spotkanie w Almerii. Co do sułtana,

dostarczam mu minerału, którego bardzo mu brakuje: srebra.

– Czy dlatego więc otwierasz stare rzymskie kopalnie koło Lyonu?

– Saint-Pierrela-Pallu i Jossur-Tarare? W rzeczy samej. Można tam znaleźć żelazo, piryty i trochę srebra, głównie w tej pierwszej. Druga zaś zawiera przede wszystkim srebro i... trochę złota, lecz tak ciężko jest je wydobyć, że wolę tego zaniechać. Zresztą, głównie srebro jest mi potrzebne na wymianę. Ale wróćmy do naszyjnika. Podoba ci się? Katarzyna wybuchnęła śmiechem.

– Co za pytanie! Pokaż mi taką kobietę, która powiedziałaaby, że jej się nie podoba!

– W takim razie jest twój!

I Zanim Katarzyna mogła się sprzeciwić, Jakub wprawnym ruchem założył jej naszyjnik i zapiał prosty haczyk na karku.

– Sułtan przysłał naszyjnik, lecz nie zaopatrzył go w odpowiednie zapięcie. Każe do niego dorobić zapięcie godne takiego okazu.

Katarzyna przez chwilę poczuła ulotne zimno pereł, które wkrótce przybrały temperaturę jej ciała. Było to nowe uczucie, jakby perły stały się częścią jej samej.

Jakub, rozbawiony miną małej, zachwyconej dziewczynki, podał Katarzynie lusterko.

– Są stworzone dla ciebie – zauważył. – Albo... ty jesteś stworzona dla nich.

Opuszkami palców, z pewną dozą nieśmiałości, dotknęła kulek delikatnych jak skóra dziecięcia. Wyglądało na to, że chce się upewnić, czy rzeczywiście istnieją. Jakub miał rację: jej wypoczęta twarz nabierała w tym nowym towarzystwie nowego blasku, a w kontakcie z alabastrową skórą perły jakby ożyły...

Nagle jednak Katarzyna odłożyła lusterko i odwróciła się.

– Dziękuję ci, przyjacielu. Lecz... ja nie chcę tych pereł! – powiedziała zdecydowanie.

– A dlaczegóż to? – sprzeciwił się Jakub. – Już wspomniałem: są częścią twoich dochodów. To nie prezent!

– Właśnie. Pani de Montsalvy nie może sobie pozwolić na nowe ozdoby, kiedy jej poddani są w potrzebie. Na wiosnę plony zostały zniszczone do tego stopnia, że miałam zamiar prosić cię, byś w tym roku spłacił w naturze swoje zobowiązanie: w ziarnie, paszach, płótnie, wełnie, skórach, w tym wszystkim, czego może nam zabraknąć w czasie zimy.

Ponure i niezadowolone jeszcze przed chwilą spojrzenie kupca pojaśniało, wypełniwszy się czułością.

– Wszystko to dostaniesz, Katarzyno! Czy uważasz mnie za głupca, który pozwoliłby wam znosić chłód i głód, dając jako jedyną pomoc garść złota i sznur pereł? Wygląda mi na to, że nie zdajesz sobie sprawy z tego, iż twój majątek wzrasta wraz z moim. Jesteś moją najważniejszą akcjonariuszką, a ja co roku używam twojej części udziałów. Nie wiesz jeszcze, że masz procenty w kilku bankach: u Cosme de Medicis, we Florencji, w Augsburgu, u Jacob Fugger, a od dnia podpisania pokoju w Arras także w Brugii u Hildebranda Veckinghusena z Lubeckiej Hansy, u którego kupuję pruskie zboże, futra, tłuszcze i miód z Rosji, smołę i wędzone ryby. Wkrótce także i w Tours

będziesz je miała, gdyż zamierzam stworzyć tu sieć warsztatów tkackich, które, mam nadzieję, będą stanowić konkurencję dla płócien flandryjskich, a zwłaszcza angielskich. Jakub rozgądał się na dobre. Nic bowiem nie interesowało go bardziej niż sprawy handlowe i nowe, zakrojone na wielką skalę, projekty. Wreszcie, widząc zniecierpliwienie Katarzyny, przerwał i rzuciwszy okiem na perły dodał:

– A teraz schowaj je do swej sakiewki i nie mówmy o tym więcej! – Próbował siłą włożyć perły do jej ręki, lecz ona odepchnęła je. Skronie kupca nabrzmiały z gniewu.

– Dlaczego? Obrażasz mnie, Katarzyno!

– Nie zrozum mnie źle, Jakubie. Myślę tylko, że twoje perły mogą przydać się... gdzie indziej... a nawet będą bardziej użyteczne.

– Gdzie indziej? Gdzie?

– Na szyi tej ładnej istoty, w której zakochał się król... tej Agnieszki Soreau, o której mówiłeś, że jesteście w przyjaźni.

Istotnie, kiedy Katarzyna opowiedziała Jakubowi o spotkaniu z królem i o tym, jak się ono skończyło, handlarz tylko roześmiał się i rzekł: – Mylisz się co do niej. To dobra dziewczyna. Tylko trochę za bardzo przejęła się swą rolą.

– Daj jej więc te perły – ciągnęła – i powiedz jej, jakie znaczenie do nich przywiązuję, a także proś, by wstawiła się u króla w sprawie Arnolda.

Jakub ujął Katarzynę za rękę i poprowadził do ławy wyścielonej czerwonymi poduszkami, stojącej przy otwartym oknie, wrócił do stołu, napełnił kielichy winem z Malvoise, podał jeden z nich Katarzynie, po czym, przysunąwszy taboret, usiadł naprzeciwko.

– Wyjašnjmy raz na zawsze sprawę Agnieszki! To królowa Yolanda kazała ją sprowadzić na dwór, by wyrwać króla ze smutku i apatii. Król zakochał się, a ona wśród pocałunków podsuwa mu rady i pomysły królowej. Widziałaś, jak król się zmienił?

– Przyznaję. Do tego stopnia, że zaczęłam się zastanawiać, czy to ten sam człowiek...

– Tak. I to jest dzieło Agnieszki i królowej Yolandy.

– Ale to dziwne, że Yolanda podstawia rywalkę własnej córce, królowej Marii.

– Uspokój się. Wiesz dobrze, że królowa Maria nie mogła dokonać cudownej przemiany. To prawda, król kocha ją. Regularnie płodzi z nią dzieci, czy jednak pamiętasz, jak wygląda jej twarz? Nie pamiętam już który z ambasadorów po ujrzeniu jej powiedział, że królowa Maria swoją twarzą powinna straszyć Anglików. Miłość matczyna Yolandy to jedno, a troska o wskrzeszenie królestwa to drugie. Przestań więc boczyć się na biedną Agnieszkę. Sam podejmuję się powiedzieć jej, że popełniła głupstwo. Zresztą królowa Yolanda, która niebawem tu ściągnie, osobiście się tym zajmie. A teraz, czy zechcesz wreszcie przyjąć te perły?

Katarzyna wychyliła kielich, odstawiła go na stół i roześmiała się.

– Jesteś bardziej uparty, Jakubie, niż twoje mulice!

– Dzięki temu do czegoś doszedłem! A więc chcesz je, czy... mam wrzucić je do Loary? Gdyż przysięgam, że żadna inna nie będzie ich nosić! Dodam tylko, że sprowadzę drugie... dla twojej przyjaciółki Agnieszki, ponieważ zdaje mi się, że bardzo ci na tym zależy!

Katarzyna zamiast odpowiedzi wyciągnęła dłoń i Jakub włożył doń skórzany mieczek.

Zadowolony ze swego niewinnego zwycięstwa, Jakub Serce pocałował przyjaciółkę w czoło, życząc jej dobrej nocy.

– Dzisiaj mamy 30 maja. Za trzy dni wesele: już niedługo przyjdzie ci znosić moje kaprysy. Okaż więc jeszcze trochę cierpliwości!

Jednak dwa dni później, kiedy Katarzyna zastała Jakuba w jego kantorze na porządkowaniu grubych ksiąg, kupiec na jej widok oznajmił z pochmurną miną:

– Wesele przełożone... Ostatnie dziecko królewskie, mały księżę Filip urodzony w lutym, jest umierający. Król, królowa i dwór pozostaną w Chinon.

– Mój Boże – jęknęła Katarzyna – tylko tego jeszcze brakowało. A jeśli zaślubiny odbędą się w Chinon?

Jakub, przekładając papiery porozkładane na biurku, odwrócił się tak nagle, że część z nich spadła na podłogę.

– Gdzie? W Chinon? Król nie zrobiłby takiej przykrości swoim wiernym poddanym z Tours, ani mnie samemu, mnie, który sobie żyły wypruwa, by wszystko przygotować, jak należy!

Mały księżę Filip zmarł następnego dnia, 2 czerwca. Król ustalił datę zaślubin na 24 czerwca.

– Jeszcze przez trzy tygodnie będziesz moim więźniem – radował się Jakub. – Gdy odjedziesz, zostawisz mnie w głębokim smutku!

Istotnie co wieczór, korzystając z pięknej pogody, siadywali po wieczery na ławce w ogrodzie i rozkoszowali się świeżością wieczoru. Przeważnie nie rozmawiali wiele, woląc wdychać w ciszy, przerywanej jedynie szmerem rzeki i krzykiem nocnych ptaków, zapach wiciokrzewu.

Tego jednak wieczoru Jakub nie miał ochoty milczeć. On, zwykle tak poważny, był wesoły jak dziecko. Przedłużenie pobytu pięknego gościa zdawało się wypełniać go radością, której wcale nie starał się ukryć.

Spoglądał na nią, siedzącą tuż obok na kamiennej ławie, z rozanieleniem. Z powodu upałów kupiła u mistrza Jana Beaujeu, krawca królowej, cienki, różowy jedwab w białe gałazki, w którym wyglądała jak młoda dziewczyna. Z białym woalem narzuconym na włosy opadające ciężko na kark i naszyjnikiem z pereł pyszniących się na alabastrowym dekolcie podobna była do istoty przybyłej z innego świata. Zapach, jaki wydzielala z jej ciała cenna esencja różana sprowadzona przez kupca dla niej specjalnie z Persji, atakował nozdrza Jakuba, przywracając jej całą ziemskość.

Pchnięty impulsem silniejszym niż wola chwycił jej rękę i uwięził. Były zimne i instynktownie starały się wyrwać z uścisku.

– Katarzyno – powiedział niskim głosem – nie odpowiadasz mi. Czy cię rozgniewałem?

– Nie, Jakubie. Nie powiedziałaś nic, co mogłoby mnie rozgniewać. To miło słyszeć, że mój odjazd zostawia smutek, ale nie mów nic więcej.

– A jednak...

Żywo wyrwała swą dłoń z uścisku i położyła ją na jego ustach.

– Nic nie mów! Jesteśmy parą przyjaciół. Starych przyjaciół! I niech tak zostanie!

Jakub ucałował z zapamiętaniem palce tak nieostrożnie złożone na jego

ustach.

– To oszustwo, Katarzyno! Ta stara przyjaźń to tylko ułuda i sama dobrze o tym wiesz. Od lat kocham cię, nie śmiać tego powiedzieć.

– Właśnie mówisz... pomimo mojej obrony.

– Twojej obrony! Czy wiesz, że przez te wszystkie lata żyłem tylko wspomnieniem pewnego pocałunku... tego w Bourges, w moim gabinecie, kiedy uciekłaś z Champtoc, ze szponów Gilles'a de Rais'go. Nigdy nie udało mi się o nim zapomnieć.

– Mnie również – odparła chłodno Katarzyna – ale z powodu wyrzutów sumienia, gdyż zawsze byłam przekonana, że twoja żona nas widziała.

– A jednak nie odepchnęłaś mnie. Myślałem nawet przez chwilę...

– Że mi się to podoba? To prawda! Lecz teraz, Jakubie, skończmy na tym! W przeciwnym razie będę musiała cię opuścić.

– Nie, nie odchodź! Byłoby mi strasznie przykro...

– Zostanę, jeśli obiecasz, że przestaniesz. Dzisiaj nie jesteś sobą. To z pewnością ten ogród, te wszystkie zapachy... piękna noc. Ja również jestem zakłopotana.

Wstała z zamiarem opuszczenia tego pełnego pułapek miejsca. Jakub uśmiechnął się z ironią.

– Znowu chcesz siebie oszukać. To nie noc, to ty sama, Katarzyno. Zawsze traciłem głowę przez ciebie. To uczucie ludzie nazywają miłością, jak mi się zdaje... Lecz jeśli nie chcesz, nie będę więcej się naprzykrzać! Śpij dobrze!

Katarzyna wstała z ławy i wielkimi krokami przemierzała ogród, jakby bojąc się tego, co zostawiała za sobą, lecz słowa Jakuba docierały do niej wyraźnie, może dlatego, że ciągle ich słuchała.

Przekraczając próg domu, musiała zadać sobie gwałt, by się nie odwrócić i nie zobaczyć twarzy Jakuba i tej jego zmarszczki w kąciku ust, dzięki której wyglądał, jakby kpił sam z siebie.

Żadna kobieta, nawet najbardziej wyniosła, nie oparłaby się uczuciu takiego mężczyzny. Geniusz i siła intelektu były u niego tak namacalne, jak u innych głupota i pycha. Był to człowiek z żelaza, o oczach wizjonera i, pomimo nieszlacheckiego pochodzenia, o sercu rycerza z baśni.

Wstrzymując westchnienie, skierowała kroki do swego pokoju, gdy nagle, na zakręcie schodów, stanęła oko w oko ze swoim paziem i giermkim, którzy niosąc buty w rękach, ostrożnie schodzili na dół. Na widok swej pani wydali okrzyk zawodu. Najwyraźniej była ostatnią osobą, jaką życzyli sobie napotkać po drodze.

– A gdzież to, młodziankowie?

Światło rzucane przez zatknięte nad schodami łuczywo, choć słabe, wystarczało, by stwierdzić, że obaj chłopcy zaczerwienili się po uszy. Nawet młody Chazay stracił swoją zwykłą pewność siebie.

– No co, straciliście mowę? Gdzie idziecie?

Bérenger widocznie postanowił się poświęcić, gdyż pierwszy zabrał głos.

– Chcieliśmy... eee... chcieliśmy się tylko trochę... eee... przejść po mieście! Tam u nas, na górze, jest tak gorąco, że nie mogliśmy zasnąć!

– No właśnie! – poparł przyjaciela Walter – strasznie tam gorąco!

– Aż tak bardzo? Dzień rzeczywiście był gorący, lecz wieczór jest

chłodny.

– Ale nie na górze! – wyjaśnił Walter z przekonaniem. – Słońce paliło przez cały dzień i dach rozgrzał się do czerwoności. Chyba idzie burza.

Jednak te rozważania barometryczne nie tłumaczyły czerwonych policzków młodzian, chyba żeby na górze było gorąco jak w piecu.

Nagle Katarzyna przypomniała sobie narzekania Rigoberty na pewne sąsiedztwo niegodne uczciwej kobiety: chodziło o kabaret znajdujący się prawie naprzeciwko domu, ściągający klientelę spośród marynarzy i subiektów sklepowych. Rigoberta dowiedziała się też, że oberzysta, niejaki Courtot, zatrudnił u siebie trzy dziewczki swawolne, mające niebywałe wzięcie wśród klienteli.

Katarzyna spojrzała uważnie na chłopców, zatrzymując wzrok na Walterze.

– Czy przypadkiem nie udajecie się do kabaretu imć Courtota, żeby się nieco odświeżyć? Po co tyle środków ostrożności, jeśli to ma być zwykła przechadzka?...

Paź już chciał zaprzeczyć, lecz jego towarzysz nakazał mu milczenie:

– Nie lubię kłamać – oznajmił z wyższością. – Tak, to prawda, idziemy do Courtot. Nigdy nie ukrywałem, że lubię kobiety, pani Katarzyno. Być może przerazi cię, co powiem... ale ja nie mogę się bez nich obyć! Dlatego idę do kabaretu...

Brutalna przemowa młodziana nie zaszokowała Katarzyny przede wszystkim dlatego, że dostrzegła szczerłość w jego słowach. Toteż nie komentując ich, wskazała jedynie na pazia i rzekła:

– Bérenger jest młodszy od ciebie; to jeszcze prawie dziecko i nie ma takich samych potrzeb.

– Wiem. I wcale nie chciałem go zabierać...

– Ale ja powiedziałem, że jeśli mnie ze sobą nie zabierze, to narobię takiego hałasu, że nie będzie mógł wyjść – przerwał bez pardonu Bérenger. – Może jestem młodszy od Waltera, lecz i ja jestem mężczyzną, pani Katarzyno i nie skrywając...

– Jeśli chcesz wyjawić tajemnicę swoich wypadów na ryby w okolicy Montarnal, mój mały, to możesz się nie trudzić! Jednak między tamtymi drobnymi kłamstewkami a wyjściem do spelunki i wystawieniem się na żer łatwych dziewczek jest wielka różnica. A ja myślałam, że kochasz tamtą dziewczynę od nocnych połowów...

Paź spuścił głowę.

– To prawda, pani!... Kocham ją i to nie ma nic do rzeczy. Lecz nie wiem, kiedy ją zobaczę i chcę się trochę zabawić. Jestem mężczyzną, do diaska!

– Zostaw diabła w spokoju i odpowiedz mi na jedno pytanie: czy naprawdę masz ochotę zadawać się z tymi dziewczętami?

Paź rzucił swojemu towarzyszowi spojrzenie tak wyraźnie wołające o pomoc, że aż student roześmiał się. Żartobliwie rozczochrał mu włosy i odpowiedział zamiast niego.

– Oczywiście, że nie! Chodź, Bérengerku, idziemy spać!

– Nie! Chcę iść z tobą...

– No właśnie, chodź!... bo ja idę spać. Jeśli mnie posłuchasz, możesz mieć pewność, że zachowałeś się jak prawdziwy mężczyzna.

Pożegnawszy się niezgrabnie ze swoją panią, chłopcy, chcąc nie chcąc, wrócili na górę.

Katarzyna odetchnęła z ulgą. Była wdzięczna Walterowi za tak bohaterskie poświęcenie. Jednak wracając do siebie, była zmartwiona. Te dni pozostające jeszcze do królewskiego wesela niepokoiły ją. Upalny schyłek wiosny pobudzał do życia tajemne apetyty szybciej niż eglantyny. Bezczyność była zgubna dla wszystkich. Choćby ci chłopcy, gotowi popełnić jeszcze jakieś głupstwo, jeśli nie będzie nad nimi czuwała... A Jakub, czy dotrzyma danej obietnicy?...

Leżąc w łóżku ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, zamknęła oczy próbując zasnąć, lecz nie mogła zmrużyć oczu...

Zza ściany dochodziły czyjeś kroki, ktoś chodził tam i z powrotem, starając się czynić jak najmniej hałasu. Katarzyna wiedziała, że tym kimś był Jakub...

Słuchała, wstrzymując oddech i wsłuchując się w rytm kroków, zdradzający wewnętrzny niepokój przyjaciela. Podłoga skrzypiała dając silniej wyraz jego pożądania niż słowa.

Nagle zatrzymał się i usłyszała jakby lejącą się wodę. Z pewnością chciał się odświeżyć albo nalał sobie coś do picia. Potem znowu zaczął chodzić, wytrwale i bez końca...

Katarzyna z wściekłością odrzuciła nakrycie i otworzyła okno, szukając ukojenia w zimnym nocnym wietrze. Miała ochotę krzyczeć, drapać, żeby uspokoić ogień, który również ogarniał jej ciało. Przycisnęła poduszkę do uszu, żeby nie słyszeć. Jak Jakub śmiał ją tak kusić? Jak on śmiał?

– Niech przestanie! Boże, niech on wreszcie przestanie! – jęknęła. Czy on nie rozumie, że doprowadza mnie do szaleństwa? Nienawidzę go! Nienawidzę... to ciebie kocham Arnoldzie... Tylko ciebie....

Bóg jednak był głuchy, a diabeł ruszył ostro do dzieła. Chociaż ze wszystkich sił starała się przypomnieć sobie chwile rozkoszy z mężem, powracało tylko jedno wspomnienie: dotyk gorącej dłoni Jakuba w ogrodzie...

Nie mogąc dłużej wytrzymać w łóżku, które zdawało się ją palić i w którym przewracała się jak święty Wawrzyniec na rożnie, wstała i spojrzała na drzwi... Były tak blisko... i blisko był pokój, w którym Jakub krążył jak lew w klatce.

Kilka kroków i drzwi otworzą się, a potem?...

Krew wrzała w jej skroniach. Drzwi hipnotyzowały i przyciągały. Zrobiła jeden krok... potem drugi... i jeszcze jeden. Jej ręka spoczęła na rzeźbionej kłamce....

W sąsiednim pokoju kroki przyspieszyły. Tamte drzwi otworzyły się i zatrzasnęły z hałasem. Potem słyhać było tylko szybki bieg na złamanie karku po schodach, wreszcie trzasnęła brama.

W Katarzynie coś się załamało. Upadłszy na kolana, oparła głowę o drewniane drzwi. Czuła, że opuściły ją siły, lecz była wyzwolona, a w jej umyśle żal mieszał się z wdzięcznością. Uratowana!... Jestem uratowana...

Musiała jednak przed sobą przyznać, że ten nieoczekiwany ratunek był mało pociągający. Czuła niesmak.

Rozdział jedenasty

WIADOMOŚĆ Z BURGUNDII

Katarzyna wreszcie zasnęła, lecz spała źle i rano wstała z podkrążonymi oczami i bladą twarzą. Czuła się zmęczona i rozbita. Zrozumiała, że ten stan rzeczy nie może trwać dłużej.

Nie mogła wytrzymać jeszcze trzech tygodni rozdarta między miłością Jakuba a wolą dochowania wierności Arnoldowi. Zostawię Bérengera i Waltera u Jakuba, a sama zaszyję się w klasztorze Świętej Radegundy, po drugiej stronie Loary! – pomyślała. Niebezpieczeństwo jest zbyt wielkie. Potrzebuję przeszkody z rzeki i murów, żeby się czuć bezpiecznie.

Lecz kiedy uzbrojona w to silne postanowienie zeszła do kuchni, by rozmówić się z gospodarzem, Rigoberta, dygając w ukłonie, powiadomiła ją, że „mistrz Jakub” udał się w interesach do Bourges.

– Prosił cię, łaskawa pani, byś czuła się panią tego domu, a my wszyscy dostaliśmy rozkaz, by spełniać wszystkie twoje życzenia. Wyraził nadzieję, że będziesz się tu czuła dobrze, sam zaś pozwolił sobie zabrać twoich dwóch młodych służących.

– To wspaniały pomysł! Ci dwaj chłopcy kręcili się tu w kółko i nie wiedzieli, co ze sobą począć. Przewietrzają się, to im dobrze robi.

Imię Rigoberta uśmiechnęła się uprzejmie, co uwidoczniło znaczne braki w jej uzębieniu.

– Jeszcze jedno: mistrz Jakub zostawił dla pani list. A oto i on. Katarzyna zajadając tartinki z miodem i popijając gorącym mlekiem, które podała jej guwernantka, otworzyła list. Był on krótki, lecz bardzo wymowny.

To ja wyjeżdżam, Katarzyno. Nie potrafiłbym dotrzymać danego ci słowa. Przebacz mi! Dom należy do ciebie. Wrócę na zaślubiny. I chociaż raz, moja miłości, pozwól mi wyznać, że cię kocham...

Wzruszona Katarzyna czytała list dwa, trzy razy. Wreszcie złożyła go i dokończyła śniadanie. W tym czasie imię Rigoberta krzątała się po kuchni, turkoczając rąbkami białego czepek jak mewa skrzydłami i przygotowując się do wyjścia na targ po zakupy.

Po jej wyjściu Katarzyna przeczytała list raz jeszcze, a następnie, po krótkiej chwili wahania, podeszła do kominka i wrzuciła go do ognia...

Pergamin poczerniał, skręcił się i spalił, wydzielając woń spalonej skóry. Wkrótce nie pozostało nic prócz kupki popiołu na największym polanie.

Wtedy odwróciła się i wolnym krokiem ruszyła w stronę ławki w ogrodzie, na którą Jakub już miał nie wrócić i gdzie od tej pory sama miała czekać nadejścia nocy. Tylko nie wiedzieć dlaczego nagle zachciało jej się płakać.

W miarę jak zbliżał się dzień królewskich zaślubin, miasto pęczniało niczym rzeka po burzy. Powodem tego było opóźnienie uroczystości, gdyż ci, którzy przybyli na 2 czerwca, zostali, a ci, którzy nie mogli zjawić się w tym

czasie, przybywali teraz tłumnie, korzystając z okazji.

Trzeszczące w szwach gospody starały się jednak nie odprawiać nikogo z kwitkiem. Lokowano gości, gdzie się dało, po strychach i stodołach. W klasztorach i domach prywatnych także pełno było przyjezdnych. Przybywali dumnie kupcy drogą rzeczną i lądową, a także szlachta z Andegawenii i Turenii. Wokół miasta, na łąkach, wyrastały jak grzyby po deszczu wielkie, wiejskie namioty – purpurowe, szafranowe czy czarne, w gęstwinie różnobarwnych proporców.

Do miasta ścignęli też kuglarze z tresowanymi niedźwiedziami czy psami, żonglerzy potrafiący wypuszczać w niebo kolorowe ognie. Lokowali się tam, gdzie tylko się dało, na polach czy pod dachami hal.

W portowych tawernach zaroilo się od dziewczek swawolnych. Można je było zobaczyć o zachodzie słońca, jak w zwiewnych sukienkach opierały się o drzwi, ukazując swe wdzięki przechodzącym mężczyznom. Ich przenikliwe głosy wypełniały ulicę ku świętemu oburzeniu imć Rigoberty.

Wreszcie... nadciągali chorzy. Po królestwie rozniosła się bowiem wieść, że król po ceremonii ślubnej uda się do opactwa Świętego Marcina, by tam dotknąć żoźowatych. Namaszczenie monarchy w czasie koronacji nadawało mu cudowną moc: moc uzdrawiania chorych na skrofuły, których dotykał mówiąc: „Dotyka cię król Francji, wyzdrowiejesz z woli Boga”. Wieść ta obieęła kraj z prędkością błyskawicy, zdarzało się to bowiem niezwykle rzadko.

Nadciągali ze wszech stron; nie tylko żoźowaci, ale i ślepi, kulawi, świerzbowaci oraz cała ta straszliwa sfera ludzka w plugawych sukmanach opanowała miasto.

Tymczasem Tours ustroiło się w girlandy i wspaniale ukwiecono estrady na żywe obrazy, bez których nie obyłyby się żadne wielkie święto. Wszystkie te przygotowania przypominały jakiś obłędny taniec szkieletów, gdzie najgorsza nędza sąsiaduje z bogactwem i zbytkiem.

Katarzyna prawie nie wychodziła, jedynie o świcie udawała się w towarzystwie Rigoberty do pobliskiej kaplicy jakobinów. Czuła się odrzucona przez dwór, i co rana biegła do okna, wypatrując chorągwi królowej Yolandy, swojej obrończynie. Zamknięta w czterech ścianach, w towarzystwie starej kobiety, czuła się bardziej odsunięta od życia i samotna niż w klasztorze. Wydawało się, że czas stanął w miejscu...

Lecz nagle, dwa dni przed uroczystościami, sprawy ruszyły z miejsca. Powrócił Jakub na czele grupy obładowanej wonnymi pakunkami; były w nich przyprawy niezbędne do przygotowania potraw godnych tak wielkiego święta. Równocześnie przybyły barki naładowane dziczyzną i węgorzami z lasów i stawów Sologne.

Jakub uśmiechnął się i pocałował ją, lecz usta, które dotknęły jej policzka, były zimne, a uśmiech był smutniejszy niż łyzy. Wraz z Jakubem powrócili Bérenger i Walter. Obydwaj mieli radosne miny i błyszczące oczy, co wyjaśniło się natychmiast, gdyż paź z gwałtownością właściwą swojemu wiekowi zeskoczył z konia, podbieęł do niej i potracając Jakuba krzyknął:

– Pani Katarzyno! Przywozimy dobre nowiny! Montsalvy wolne! Bérault d’Apchier i jego banda zostali wygnani!

Kasztelanka krzyknęła z radości i chwyciła młodzieńca za ramiona.

– Naprawdę? Mój Boże! Wprost trudno w to uwierzyć! W jaki sposób się

o tym dowiedziałeś?

Zасыpując pазia pytaniami potrzasała nim jak osiką. Jakub postanowił wkroczyć do akcji.

– Chwileczkę! – rzucił surowo. – To nie takie proste, a ty, paziu, popełniasz błąd, przedstawiając sprawy w ten sposób. Istotnie, Montsalvy jest wolne, lecz rzeczy nie mają się tak dobrze, jak próbujesz je przedstawić swej pani!

– Na miłość boską, przestańcie się spierać! Powiedz, Bérenger, skąd masz wiadomości?

Jakub, nie dając paziowi dojść do słowa, wyjaśnił:

– Trzy dni temu przybył do Bourges, do domu mego teścia, posłaniec z Burgundii, a wysłała go hrabina Ermengarda de Châteauvillain z listem, który ci przynoszę.

– Nie bardzo rozumiem, Jakubie. Jakim to sposobem posłaniec Ermengardy mógł przybyć z Montsalvy?

– To proste. Hrabina wysłała posłańca do Montsalvy. Nie zastał cię, a przeor Bernard i brat twego paziu, pan de Roquemaurel, powiadomił go, że powinnaś teraz przebywać w Tours.

Katarzyna machinalnie wzięła list z rąk Jakuba, lecz nie śpieszyła się, by go przeczytać. Zaniepokoiły ją ostatnie słowa Jakuba.

– Przeor Bernard, powiadasz, i pan de Roquemaurel? W takim razie – gdzie jest Arnold?

– Tego nie wiadomo – odparł cicho Bérenger. – Mam jeszcze drugi list dla ciebie, pani. Od przeora Bernarda. Przeczytaliśmy go i...

– Ależ, trzymaj język za zębami, Bérenger! – przerwał Jakub.

– Oto ten list. Otworzyłem go z obawy, czy nie zawiera jakich złych wiadomości... Pozwól, bym ci go przeczytał.

Do naszej ukochanej córki w Jezusie Chrystusie, Katarzyny, hrabiny de Montsalvy. Rycerze, którzy wyruszyli na Paryż z twoim mężem a naszym przyjacielem, dzięki boskiej pomocy powrócili na czas, by uwolnić nasze ukochane miasto będące u kresu sił i gotowe się poddać. Bérault d'Apchier wraz z synami i całą swoją czeredą odjechał do Gévaudan, a my mogliśmy z odnalezionymi braćmi podziękować Panu Bogu, że powiodła się twoja misja pomocy. Lecz nie zaśpiewaliśmy Te Deum, gdyż pan Arnold nie powrócił wraz z nimi.

Pan de Roquemaurel opowiedział nam, co się zdarzyło w Paryżu i jak ruszył na poszukiwanie pana Arnolda i jego niebezpiecznego kompana i że nie udało mu się natrafić na jego ślad. Jeszcze zanim dotarł do Orleanu, spotkał po drodze pana de Rostrenena, wysłannika konetabla, i jego oddział powracający z pustymi rękami. Rozpytywał ludzi po drodze, lecz nie było żadnego śladu. Opinia ogólna jest taka, że może po ucieczce z Bastylji pan Arnold nie ruszył prosto do Owernii, do swoich. Może postanowił się ukryć, czekając, aż przestanie się go szukać. Sądzę więc, moja córko, że przyjdzie ci uzbroić się w cierpliwość aż do dnia, w którym twój mąż uzna, że może wrócić do ciebie, nie narażając nikogo na niebezpieczeństwo. A ja modlę się z całej duszy, żeby tak było...

– Widzisz sama? – krzyknął Jakub kończąc czytanie. W istocie byłoby to logiczne: człowiek uciekający przed pościgiem nie udaje się tam, gdzie będą go szukać przede wszystkim, to znaczy do domu.

Katarzyna potrząsnęła jednak smutno głową.

– Nie, Jakubie! Twoje rozumowanie byłoby słuszne, gdybyśmy mieszkali w jakim łatwo dostępnym zamku, w jakiej dolinie niedaleko Paryża. Lecz Arnold wie, że nigdzie lepiej nie można się ukryć niż w naszych górach. Król i konetabl wahaliby się, wierząc mi, zanim wysłaliby swoich rycerzy na niebezpieczne ścieżki wiodące wśród naszych wulkanów i nad naszymi przepaściami. Na dodatek Arnold zna wiele kryjówek niedaleko Montsalvy, a nasi poddani oddaliby za niego życie, począwszy od przeora...

– A jednak przeor sam ci pisze...

– Sam nie wierzy w ani jedno własne słowo! Usiłuje tylko podtrzymać mnie na duchu, lecz zna Arnolda równie dobrze jak ja. Jestem przekonana, że w głębi serca... uważa go za zmarłego...

– Ależ to istne szaleństwo, pani Katarzyno!

– A czy zapomniałeś o jego niebezpiecznym towarzyszu, Gonnecie? Czy zapomniałeś, że jego zadaniem było zabić Arnolda? Nie obawiaj się: ten diabeł spełnił swoje zadanie. Zabił skazańca, a teraz uda się do króla, by żądać wydania mu jego dóbr i ziemi, własności moich dzieci!...

Katarzyna płakała ukrywając twarz w dłoniach. Trzej mężczyźni stali nieruchomo, czując się niezręcznie w obliczu jej nieszczęścia. Jakub wycierał chusteczką delikatnie łzy spływające pomiędzy jej palcami.

– Nie stój tutaj, Katarzyno – wyszeptał, zauważywszy ku swemu niezadowoleniu, że subiecki przyglądają się z żywym zaciekawieniem jego poczynaniom. – Pozwól mi zaprowadzić cię do sali... Rigoberto! Pani Rigoberto, proszę tu pozwolić!

Stara ochmistrzyni pojawiła się natychmiast, wycierając ręce w fartuch. W tej samej chwili od strony opactwa Świętego Marcina rozległa się fanfara trąbek, po czym dały się słyszeć wiwaty i tupot setek stóp.

Jakub spojrział w stronę zamkowych wież, na których zaludniło się od rycerzy o błyszczących w słońcu lancach. Na szczycie jednej z nich łopotiała niebiesko-biało-czerwono-złota flaga. Jakub zadrżał.

– Królowa Yolanda! Popatrz, Katarzyno! Królowa nadjeżdża!

Do trąbek dołączyły teraz wszystkie dzwony w mieście, witając królową czworga królestw, władczynię Turenii. Całe Tours rozbrzmiewało owacjami. Katarzyna spojrzała przez łzy na zamkowe wieże.

– Za późno... Już nic dla mnie nie może zrobić...

– Skąd ta pewność? Płaczesz i rozpaczasz, a przecież nikt ci nie powiedział, że zostałeś wdową... Do diaska! To, że pan de Montsalvy nie wrócił do domu, nie oznacza wcale, że nie żyje! A gdyby nawet tak było? Twoje dzieci, a zwłaszcza twój syn, potrzebują królewskich listów ułaskawiających. Tak więc, jeszcze tego wieczoru udasz się ze mną do zamku. Wiem, w jaki sposób udać się do królowej bez zwracania uwagi... A jutro, nie zwlekając, musisz udać się... do Burgundii!

Wyciągnął rękę do Waltera, wziął list Ermengardy, który Katarzyna upuściła na posadzkę, a który młody giermek podniósł, i wsadził go w dłoń przyjaciółki.

– Zapominasz o drugim liście, Katarzyno. A jest bardzo ważny, gdyż przez niego o mało człowiek nie stracił życia! – I przy pomocy Rigoberty posadził ją na wyścielanej poduszkami ławie w pobliżu kominka.

– Czytaj! Ten list także zawiera złą nowinę...

– Ermengarda! Mój boże!... Nie jest chora?...

– Nie, nie o nią chodzi... lecz o twoją matkę...

Katarzyna pośpiesznie rozwinęła cienki zwój papieru, na którym natychmiast rozpoznała zamaszyste pismo swojej starej przyjaciółki i jej wielce fantazyjną ortografię. Jak iście wielka pani, hrabina pogardzała subtelnościami gryzipiórków. Jednak to, o czym pisała, było zadziwiające. Ermengarda donosiła, że jej matka pokłóciła się z wujem Mateuszem. Dijoński handlarz materiałami poczuł na stare lata wolę bożą, a to za sprawą niejkiej Amandyny La Verne, wielce apetycznej, lecz niezbyt bogatej handlarki strojami, z której zrobił swoją kochankę i sprowadził do swego domu. Wkrótce zamieszkiwanie pod jednym dachem stało się dla Jaquette Legoix niemożliwe i matka Katarzyny opuściła dom, w którym czuła się teraz obco.

Jej marzeniem byłoby zamieszkać wraz z tobą, Katarzyno, i opiekować się wnukami. Lecz droga z Lyonu do waszych gór daleka, a jej zdrowie nie pozwala na tak długą podróż. Przyjęła więc gościnę u mnie. Dałam jej twój pokój i wieczorami przesiadujemy razem, rozprawiając o tobie, o dzieciach i twoim niemożliwym małżonku. Twoja matka to złoty człowiek... Lecz na zapusty przeziębila się i od tej pory czuje się coraz gorzej. Boję się, bo z dnia na dzień traci siły. Ty jesteś młoda i nie boisz się trudów podróży. Możesz pokonać drogę, której ona już nigdy nie odbędzie. Myślę, że będziesz chciała ją ucałować, przyjeżdż więc nie tracąc czasu! To ja cię o to proszę, gdyż ona nigdy by się nie ośmieliła, choć tak bardzo cię kocha...

Pergamin wypadł Katarzynie z rąk, zwinął się sam i spadł na posadzkę. Twarz Katarzyny była mokra od łez. Schyliła się, by podnieść list, po czym z trudem, lecz zdecydowanie powiedziała:

– Masz rację, Jakubie... Jutro muszę ruszyć w drogę... Moja biedna matka... Myślałam, że jest szczęśliwa... lecz zaniedbałam ją... Żeby tylko nie było za późno...

– Pomogę ci w przygotowaniach, lecz pamiętaj, że dziś wieczorem idziemy do zamku!

Po zapadnięciu zmroku Katarzyna i Jakub Serce ruszyli pod górę prowadzącą do zamku. Kiedy tylko Jakub pokazał strażnikom szeroki medal noszony na szyi, otwarto przed nimi bramę. Po przejściu przez zaludniony dziedziniec dotarli do małych czerwonych drzwi, przez które weszli na wąskie, kręte schody, słabo oświetlone z rzadka rozmieszczonymi łuczywami. Wreszcie dotarli do małej kaplicy obitej fioletowym aksamitem, zdobionym złotymi frędzlami.

– Królowa została uprzedzona, a drogę znam na pamięć, gdyż często mamy z królową potajemne narady. Bardzo interesuje się moimi przedsięwzięciami, w których widzi dobrobyt dla kraju. A oto i ona!

Chwilę później Katarzyna przyklękła, by ucałować wyciągniętą dłoń kobiety wysokiej, chudej i bladej, której czarny woal upięty był pod złotą

koroną. Przebyta niedawno choroba pozostawiła głębokie ślady na twarzy Yolandy Aragońskiej. Jej włosy, jeszcze do niedawna gęste i czarne, były teraz białe jak śnieg, nadając łagodny blask pięknej, energicznej, lecz naznaczonej piętnem cierpienia twarzy.

Bez słowa podniosła Katarzynę i ucałowała ją serdecznie, po czym przyjrzała się jej uważnie.

– Biedne dziecko – westchnęła. – Kiedy wreszcie los przestanie cię doświadczać?

– Nie mam prawa się uskarżać, pani... Los rzeczywiście dotykał mnie zbyt często, lecz obdarzył także ochroną osób potężnych i wielkiego serca...

– Powiedzmy, że obdarzył cię przyjaciółmi, na których zasługujesz! Tym razem chcę, byś opuściła to miasto ze spokojnym sercem! Król przebaczy!

– A więc ty, pani, wiesz o wszystkim? – spytała Katarzyna nie wierząc własnym uszom.

Królowa rzuciła porozumiewawcze spojrzenie na Jakuba i uśmiechnęła się.

– Przeczytałam dziś najdłuższy list, jaki kiedykolwiek dostałam od mistrza Jakuba. I możesz mi wierzyć, że niczego w nim nie pominął. Tak, wiem o wszystkim. Wiem, że twój Arnold znowu postąpił nierozważnie. I szczerze mówiąc, kiedy się o tym dowiedziałam, pomyślałam znowu, że szkoda, iż nie wysłaś za Piotra de Brézé! Pan de Montsalvy jest doprawdy nieznośny!

– Pani! Pomyśl, że być może w tej chwili jest już martwy!

– On? Martwy? Sama nie wiesz, co mówisz. Kiedy ten człowiek wyzionie ducha, musi stać się coś strasznego: powódź, nie wiem, może trzęsienie ziemi. Nie patrz tak na mnie, Katarzyno. Tacy ludzie jak on są podobni do chwastów: nie można ich wyplenić.

– Więc gdzie jest?

– Tego nie wiem. Lecz wiem jedno: człowiek, który tyle przeszedł, uchodząc z życiem, łącznie z leprozorium i niewolą saraceńską, nie pozwoli zabić się ot tak po prostu za rogiem ulicy jakiemuś zwykłemu rzeźmieszkowi. Powiadam ci, twój mąż żyje! Posłuchaj mnie i udaj się do matki, która bardzo cię potrzebuje.

– Czy więc mogę liczyć, że król wystawi listy ułaskawiające? – spytała nieśmiało.

– O nie, moja droga! Arnoldowi dobrze zrobi trochę frasunku i będzie to dla niego nauczka, by nie składał wszystkiego na twoje barki. Lecz kiedy go odnajdziesz lub dowiesz się, gdzie się schronił, przekaż mu ten glejt i przyślij go mnie. Zajmę się nim, i to on sam stanie przed królem, by prosić o łaskę. Bądź spokojna: uzyska ją bez trudu. Wystarczy, żeby zgiął nieco swój sztywny kark. Co zaś się tyczy mego wnuka, delfina, powiem mu, że musiałaś wyjechać.

– Pani – odparła Katarzyna, skłaniając się w ukłonie – czy jest sposób, bym mogła wyrazić ci swą wdzięczność?

Królowa zaprzeczyła, jednak patrząc z zamyśleniem na Katarzynę spytała nagle:

– A do jakiej części Burgundii zmierzasz? Czy do Dijon?

– Nie, pani. Do Châteauvillain, gdzie hrabina Ermengarda przyjęła moją chorą matkę, lecz to niedaleko od Dijon, gdzie zresztą zamierzam się udać. W rzeczy samej, mam pewną sprawę do wuja Mateusza.

– A więc...

Królowa wahała się przez chwilę, lecz jej oczy zapłonęły żywszym blaskiem, a policzki zaróżowiły się. Przyszła jej bowiem do głowy pewna myśl.

– Mój syn Réené – powiedziała wreszcie – księżę Lotaryngii i Neapolu, jest nadal, jak ci zapewne wiadomo, więziony przez księcia Filipa. Znajduje się w Dijon w jednej z wież książęcego pałacu. Co prawda, król wraz ze mną prosił konetabla de Richemonta, by się za nim wstawił, lecz, prawdę mówiąc, nie liczę na natychmiastowy skutek. Księżę nie chce nawet słyszeć o wysokim okupie. Tak więc, Katarzyno, zrobisz wielką radość matczynemu sercu, jeśli będąc w Dijon zgodzisz się dostarczyć mu list. Masz nadal na dworze Burgundii wielkie wpływy, chociaż wcale z nich nie korzystasz.

Katarzyna wyciągnęła dłoń.

– Daj, pani, list, a przysięgam, że dotrze do adresata!

Yolanda zbliżyła się, ujęła twarz kobiety w swe dłonie i pocałowała ją w czoło.

– Dziękuję ci, moje dziecko. W ten sposób odpłacisz mi stokrotnie za drobiazg, który dla ciebie uczyniłam. Nie obawiaj się, wyciągnę Arnolda z tego godnego pożałowania położenia i nawet nie będzie musiał przyjeżdżać aż tutaj. Możliwe, że ugodzi się z królem, nie ruszając się z domu.

– Nie rozumiem...

– Niebawem król odbędzie podróż do Gujenny, Langwedocji i Prowansji. Ciężko to przeżywa, gdyż nie lubi być w drodze... lecz jest do tego nakłaniany, popychany. Śmierć księcia de Fok czyni jednak ten wyjazd koniecznym, gdyż trzeba uregulować sukcesję po nim. A poza tym Langwedocja potrzebuje pomocy, gdyż jest łupiona przez zbirów wszelkiego rodzaju. Król musi zaprowadzić porządek i ukarać winnych. Jego droga prowadzi przez Owernię... Dalszy ciąg wydaje mi się prosty. A teraz możecie odejść – dodała podając dłoń Katarzynie, która na nowo pochyliła się w ukłonie. – Siadę teraz do mego listu i każę go w nocy zanieść do ciebie, mistrzu Jakubie. Jutro zaś spotkamy się, by omówić wydatki poczynione z okazji zaślubin.

Katarzyna i jej towarzysz zniknęli tak szybko, jak się pojawili. Katarzyna ścisnęła w dłoni glejt od królowej Yolandy. Teraz mogła z lżejszym sercem udać się do matki. Udzieliło się jej przekonanie Yolandy i sama także zaczęła wierzyć, że Arnold żyje.

Jakub nie odzywał się, chory z zazdrości i zły, że znowu mu się wymyka. Gdyby kiedyś – pomyślał – pokochała mnie tak, jak kocha tego de Montsalvy!... Byłbym najbogatszym i najszczęśliwszym człowiekiem na świecie! Ale kocha tamtego... Jakże mu zazdroszczę i jak go nienawidzę... Cieszyłbym się, gdyby się okazało, że nie żyje!

W rzeczy samej Jakub Serce nienawidził Arnolda... Pomimo to, następnego dnia o bladym świetle planował rozesłać swoich ludzi na cztery strony świata, by odnaleźli znienawidzonego rywala... A to z tej prostej przyczyny, by nie patrzeć na jej łzy...

CZEŚĆ CZWARTA

RZEŹNICY

Rozdział dwunasty

TOPÓR I ŁUCZYWO

Płonął las. Na czarnym nieboskłonie unosiła się czerwona luna, przerywana strzelającymi wysoko płomieniami. Krzyki ludzi były coraz słabsze i coraz bardziej rozpaczliwe. Od czasu do czasu słychać było groźne jak znak niebios pomruki piorunów zagłuszające na krótko odgłosy napadniętego miasteczka...

Katarzyna i jej młodzi towarzysze, zaszyci w gęstych krzakach, przywarli do ziemi wstrzymując oddechy. Koszmar zaczął się w Gien, po przekroczeniu Loary... Opustoszałe połacie, popalone i wyludnione miasteczka, wypalone zbiory, zwęglone ruiny, splądrowane zamki pełne trupów. Wszystko wskazywało na to, że przeszły tędy rozpuszczone bandy wojskowe Rzeźników...

Bardziej okrutni i dzicy niż ongiś Wielkie Kompanie, pokazali się zaledwie kilka tygodni po podpisaniu traktatu w Arras, który położył kres wojnie pomiędzy Francją i Burgundią.

Ludzie wojny, walczący do tej pory po jednej i drugiej stronie, nie chcieli pokoju, który oznaczał spokojne i ułożone życie w domowych pieleszach. Umiłowanie przygody, niemożność znalezienia innego źródła utrzymania oraz przyzwyczajenie do łatwego łupu zamieniły żołnierzy zaciężnych w rozbójników, bezlitosnych bandytów zwanych Rzeźnikami.

Będący wśród nich Francuzi, Niemcy, Hiszpanie, Flamandowie i Szkoci – wszyscy rzucili się do plądrowania, a królestwo, które już tyle wycierpiało w czasie wojny, miało jeszcze więcej wycierpieć w czas pokoju.

Traktat z Arras był dla nich niewiele wart, więc z zaostrzonymi apetytami rzucili się na burgundzką ziemię, głosząc, na poparcie swoich niecznych zapędów, że traktat okradał króla. Do tego, pod pretekstem atakowania pozostałych jeszcze angielskich bastionów, pustoszyli wszystko, co stało na ich drodze.

Lecz Burgundia miała także swoich Rzeźników, tylko że ci istnieli już od dawna. Byli wśród nich Perrinet Gressart, który od dawna rządził się w CharitsurLoire, był Francois de Surienne, zwany Aragończykiem, rządzący się w Montargis, i Jacques de Plailly, zwany Ziółkiem, stara znajomość Katarzyny, którego krwiożercze zapędy skupiały się w okolicach zamku Coulanges-la-Vineuse, a z którego ongiś wraz z Sarą uciekły z wielkim trudem.

Nauczona doświadczeniem, omijała starannie te znane sobie niebezpieczne miejsca, klucząc bezdrożami i opustoszałymi połaciami, gdzie nie było niczego, co mogłoby zwabić najchciwszego zbója.

Najniebezpieczniejsze były lasy, do których schronili się wieśniacy wypędzeni ze swych spalonych domów. Pozbawieni środków do życia, stali się gorsi od dzikich zwierząt, którym wrywali zdobycz. Dwa razy udało się trójce podróżnych ująć z życiem dzięki rączym rumakom. Trzecim razem Walter wybawił ich z opalów, rzucając za siebie worek z jedzeniem pod nogi wygłodniałej bandy zarośniętych ludzkich zjaw w potarganych łachmanach, która ich ściagała. Wśród tych strzępów ludzkich dało się także zauważyć

dzieci...

Do Châteaouvillain nie pozostało więcej niż trzy mile. Podróżni posuwali się teraz brzegiem małej rzeki, którą Katarzyna dobrze знаła. Nazywała się Aujon, a jej wody zasilają fosy zamku Ermengardy. Zapadała noc, postanowili jednak, że zatrzymają się dopiero u celu.

Nagle przejrzysty nurt rzeki zabarwił się na czerwono, a wśród jasnych trzcin dostrzegli przesuwaną się z biegiem nurtu sterczącą pionowo strzałę... Nie było wątpliwości: by przesuwać się w tej pozycji, musiała tkwić w ludzkim ciele.

Walter żywo zatrzymał konia, zeskoczył na ziemię i pochyliwszy się wśród trzcin zawołał:

– Chodź mi pomóc, Bérenger! A żywo! Tu jest człowiek i jeszcze żyje!

Podczas gdy Katarzyna chwyciwszy konie za uzdy uwiązała je do drzewa, paź podbiegł do przyjaciela.

Wspólnymi siłami udało im się wyciągnąć na brzeg mężczyznę pokaźnego wzrostu, którego brodata, blada twarz wyrażała wielkie cierpienie. Z jego piersi sterczała strzała.

Katarzyna uklękła przy rannym i chusteczką wycierała jego pobielące wargi.

– Czy on umrze?...

– Z pewnością! – odparł Walter oglądając ranę badawczo. – Strzała utkwiała zbyt głęboko.

W istocie, twarz rannego przybierała coraz bardziej szary, śmiertelny odcień, lecz jego usta poruszyły się i Katarzyna usłyszała:

– Uciekajcie... Nie chodźcie do miasteczka... Rzeźnicy....

– Znowu oni! – rozzłościł się Walter. – Kto tym razem?

– Nie wiem – wyszeptał człowiek. – Nieznajomy... Nazywają go... kapitanem Błyskawicą... To porucznik Paniczyka z Commercy... Uciekajcie...

Czknął, przewrócił się do tyłu w śmiertelnym skurczu, z jego ust bluznęła krew i człowiek zeszytniał.

Walter spojrzał na wielkie, nieruchome ciało z mieszaniną złości i współczucia.

– Błyskawica! – narzekał. – Paniczyk z Commercy! Kim, do diaska, są ci bandyci?

– Nie wiem, nie znam Błyskawicy, lecz mogę wam powiedzieć, kim jest Paniczyk. Jest piękny jak kobieta, szlachetny jak książę, waleczny jak Cezar... młody jak ty, Walterze, i okrutny... jak kat mongolski! Sądząc po nim, po jego kapitanie Błyskawicy nie można się spodziewać niczego dobrego. A zresztą posłuchajcie sami.

Z głębi lasu dochodziły wycia, a za zakrętem rzeki błysnęły łuny pożaru.

– Nie zdołamy przejść! – zdecydował Walter prowadząc Katarzynę do koni. – Musimy ukryć zwierzęta, sami też się schować i przeczekać. Jak wszystko spalą, to pewnie sobie pójda.

Ukrywszy się wraz z końmi w gęstych krzakach, czekali ze ściśniętym sercem, aż skończy się pożoga. Nadchodziła burza, lecz nie spadła ani jedna kropla wody. Tymczasem krąg ognia zacieśniał się wokół nich.

– Musimy uciekać, pani! – rzekł wreszcie Walter. – Inaczej spłonimy tu żywcem.

W ciszy skierowali konie w stronę rzeki. Dzielne zwierzęta zaczęły płynąć, kierując się w stronę piaszczystej ławicy. Kiedy jednak kopyta końskie dotknęły dna i zaczęły się wylańać z głębokiego nurtu, wzgórze nad ławicą zapłonęło światłami, niesionymi przez zbrojnych ludzi. Przez chwilę uciekinierzy znaleźli się w kręgu światła.

– Hej, tam! – krzyknął jeden z bandy. – Zobaczcie no, co tam się rusza na środku rzeki!

Wydając dzikie okrzyki, nieznajomi puścili się w kierunku rzeki.

– Jesteśmy zgubieni! – jęknęła Katarzyna.

– Jeśli to ludzie króla, może jest nadzieja! – splunął z pogardą Walter. – Kruk krukowi oka nie wykole!

– O słodka naiwności! – odparła. – Rzeźnicy są sobie sterem, żeglarzem, okrętem! Na wszystko za późno!

Tymczasem ponad dziesięciu jeźdźców rzuciło się do rzeki, ściskając lejce koni. Paż i giermek wyciągnęli broń, chcąc się nią posłużyć, ale na próżno. W okamgnieniu trójka jeźdźców została zrzuciona na piasek i związana w kij ze zręcznością zdradzającą długą praktykę napastników, a dwaj z nich chwycili konie za uzdę. Bérenger, zdzielony w głowę, stracił przytomność.

– Niezgorsza zdobycz! – cmoknął z zadowoleniem jeden z napastników przyjrawszy się pokonanym. – Piękne konie i, jak mi się widzi, ludzie bogaci! Pewnie kupcy!

– Kupcy! Dobrze sobie! – wrzasnął Walter broniący się jak lew.

– Czy my wyglądamy na kupców, kanalio? Jesteśmy szlachciami, a nasz towarzysz...

Przerwał, widząc, że wyglądający na herszta przyklęknął obok leżącej bez czucia Katarzyny i zerwawszy brutalnie z jej głowy zasłonę, cmokał obleśnie na widok, jaki się ukazał jego oczom.

– No! No! No! A to ci dopiero... miła niespodzianka!...

Aby się upewnić, wyjął sztylet zza pasa i jednym ruchem rozciął sznurówki ściskające żupan kobiety. Spod strzępów rozerwanego materiału wyłoniły się paski płótna, którymi bandażowała zawsze piersi, przebierając się za mężczyznę. Ostrze sztyletu rozcięło i tę przeszkodę, i oczom złoczyńców ukazały się jawne dowody kobiecości więźnia.

Herszt gwizdnął z podziwem.

– Bardzo... bardzo miła niespodzianka! Dokończmy tedy obierać tak apetyczne jabłuszko. Toż to najprawdziwsza kobieta! A na dodatek jedna z najbardziej udanych, jaką widziałem w swoim nędznym życiu!

– Bando dzikusów! – krzyczał Walter na wpół uduszony pętami.

– To nie kobieta, to dama, zgrajo padalców! Wielka dama i jeśli ją tkniecie...

– Uciszcie mi tego zasrańca! – przerwał ze zniecierpliwieniem herszt zbójów. – Przez niego nie mogę się skupić... Powiedzcie no, chłopcy, jeśli mnie pamięć nie myli, nikt nam dotąd nie zabraniał brać wielkich dam, nieprawdaż, moje wy mordy kochane? Dalejże piękniśniu obudź no się!

Kiedy jeden ze zbójów żelazną rękawicą „uciszał” Waltera, inny chlusnął w twarz Katarzyny cały hełm wody. Podskoczyła, otwarła oczy i czując szorstkie ręce miętoszące jej piersi, zasyczała jak rozwścieczona kotka. Odepchnawszy z całych swych sił zbója, który upadł zarywszy nosem w piach,

stała na nogi i wyrwawszy sztylet zza paska, uniosła go ostrzem do przodu.

– Bando zbirów! Rozpłatom brzuch pierwszemu, który się zbliży!

Potężny wybuch śmiechu powitał jej groźbę. Pchnięty przez Katarzynę herszt podniósł się, wycierając w skórzany rękaw twarz czarną od kurzu i sadzy.

– A to mi krewka tygrysyca! Dobra! Porozmawiamy tylko dlatego że podobno jesteś „wielką damą”, ale nie wyobrażaj sobie, że twoje wrzeciono przeszkodzi nam zrobić z tobą to, na co mamy ochotę! Kim jesteś i skąd przybywasz?

Z Tours, kanalio! Jestem damą dworu królowej!

– Słuchaj, Kulawcze! – rzekł jeden z kamratów. – To mi wygląda poważnie! Może lepiej zaprowadzić ich do kapitana?

– Kiedy będę potrzebował twojego zdania, to cię o to poproszę! – warknął tamten i spytał: – A jak się nazywasz, piękna pani?

– Jestem hrabina de Montsalvy, a mój mąż jest królewskim kapitanem! Kulawiec umilkł, przez chwilę drapał się po zmierzwionej szczecinie po czym włożywszy hełm powiedział:

– Zgoda! Zaprowadzić ich do kapitana Błyskawicy! Wolę uniknąć kłopotów. Ale wiedz, piękniśiu, że jego nie oszukasz, gdyż on zna panie z dworu! A ty, Cornisse, przywiąż tych dwóch młodzików do koni, a damie zwiąż ręce i zaprowadź ich do miasta. Ja umyvam ręce.

Całe miasto było ogarnięte płomieniami, strzechy paliły się jak pochodnie, płonął nawet stos gnoju, wydzielając odór niemożliwy do zniesienia. Wszędzie leżały trupy. Kobiety z zarzuconymi na głowę spódnicami dogorywały w kałużach krwi i nieczystości, mężczyźni leżeli pokotem z rozpłatanymi brzuchami, a na sztyldach dyndali wisielcy o fioletowych twarzach.

Główna ulica zamieniona została w cmentarzysko. Przywiązani do drzew mężczyźni dogorywali najeżeni strzałami. Pod drzwiami stodoły, do których przybito wieśniaka z rozkrzyżowanymi ramionami, jakiś zbój gwałcił młodą kobietę, która wylała jak opętana, podczas gdy jego kompan tłukł po głowach dwoje dzieci uczeplonych matczynej spódnicy.

Zbój poprowadził swych podopiecznych w stronę kościoła. Jego drzwi wisiały wyrwane z zawiasów, a z oświetlonego wnętrza dobywały się ryki i odgłosy zwierząt. W środku tłoczyły się krowy, woły, cieleta, barany, kozy, które spisywał zbój w zbroi nałożonej na suknię mnicha. W nawach piętrzyły się zapasy złupione ze spalonych domostw.

Przed ołtarzem trzy zupełnie nagie dziewczyny tańczyły pod groźbą szpad dwunastki żołdaków, z uciechy głośno rechoczących i ostrzami szpad odrzucających włosy, którymi biedaczki starały się osłonić swą nagość.

Cornisse, ogarnawszy wzrokiem to wszystko, zatrzymał wzrok na mnichu spisującym bydło.

– Hej, skrybo! Czy wiesz, gdzie jest kapitan?

Skryba nie podnosząc oczu znad wielkiej księgi wskazał wyjście z kościoła.

Cornisse pociągnął za sznur, którym przywiązana była do niego Katarzyna. Ta zatopiła w bezbarwnym spojrzeniu zbója oczy pełne oburzenia i gniewu.

– Przekłęci! Będziecie wszyscy przekłęci! Jeśli ludzie was nie ukarzą, ukarze was Pan Bóg! Zgnijecie w więzieniach i na szubienicach, a potem

będziecie smażyć się w piekle po wsze czasy!

Ku jej wielkiemu zdziwieniu zbój przeżegnał się trwożnie, po czym kazał jej zamilknąć, jeśli nie chce być zakneblowana.

Odwrociwszy się od niego z pogardą, wyszła pierwsza ze sprofanowanego kościoła z dumnie podniesioną głową. W tej chwili niebo nad miasteczkiem przeszła potężna błyskawica i burza rozpoczęła się na dobre. Apokaliptycznym pomrukem piorunów towarzyszyły strumienie wody lejące się z nieba, które w mig zgasiły płomienie, zamieniając je w dymiące snopy strzelające iskrami.

Cornisse łypnął na swego więźnia z przerażeniem i skierował w jej stronę dwa zagięte palce.

– Czarownica!... Jesteś czarownicą! Pomiotem diabelskim! Jesteś damą czy nie, powiem naszemu kapitanowi, żeby kazał spalić cię na stosie.

Katarzyna roześmiała mu się w nos nerwowo.

– Czarownica? Dlatego że wybuchła burza? To Pan Bóg się na was rozgniewał, pomiotła szatańskie! To on potwierdził moje słowa, a nie diabeł, wasz pan!

Zamiast odpowiedzi, Cornisse ruszył biegiem, nie omijając największych kałuży i ciągnąc za sobą Katarzynę. Deszcz smagał jej twarz i piersi, lecz ona nawet tego nie czuła.

Ciągnąc jedno drugiego, dotarli do podcienia jedyne nie zniszczonego domu w okolicy. Zza oświetlonych okien dochodziły okropne wycia. Cornisse jednym kopnięciem otworzył niskie drzwi i wepchnął Katarzynę do środka.

– Kapitanie! – krzyczał od progu. – Przyprowadziłem ci zwierzynę!... Słowa te zagłuszył jednak harmider panujący w środku. Pomieszczenie było obszerne i poczesne w nim miejsce zajmował okazały kominek, nad którym stał posąg Matki Boskiej. Wycie dochodziło od strony kominka. Brodaty człowiek w sile wieku przywiązany był do deski położonej na dwóch stołkach i przytrzymywany przez czterech ludzi, a jego nogi aż do kolan znikały w płomieniach. Nieszczęśnik zwiżał się z bólu i otwierał olbrzymie usta, z których wydobywał się nie mający końca jęk agonii. Rzeźnicy wyciągali go raz po raz i zadawali ciągle to samo pytanie:

– Gdzie są pieniądze?

Ale człowiek ciągle kręcił głową o tak nabrzmiałych żyłach na skroniach, jakby za chwilę miały pęknąć. I męczarnia zaczynała się od nowa.

Z drugiego końca sali dochodziły jęki i błagania kobiety. Znajdowało się tam wielkie łóżko z czerwonymi zasłonami, trzeszczące pod ciężarem dwóch zmagających się ciał. Spod firanki wystawała naga kobieca noga, ramię i głowa z jasnymi, splątanymi lokami. Kobieta zanosila się od płaczu i jęczała pod ciężarem mężczyzny posiadającej ją z barbarzyńską lubieżnością.

Mężczyzny prawie nie było widać spod żelaznej kolczugi pokrywającej wielkie ciało.

Oniemiała z przerażenia Katarzyna spoglądała raz na męczzonego w kominku, raz na gwałconą kobietę, nie mogąc zamknąć oczu ani odwrócić głowy. Niczym w koszmarnym śnie ujrzała, jak pięść zdzieliła kobietę w usta, jak nieszczęsna straciła przytomność, a gwałciciel z krótkim rżeniem osiągnął szczyt swojej przyjemności... Równocześnie jęki męczzonego w kominku ustały, a jego głowa opadła bezwładnie do tyłu. Jeden ze zbójów wyciągnął go z

kominka.

– Kapitanie! Kapitanie! Zemdlą!... albo nie żyje... – poprawił się, przyłożywszy ucho do piersi nieruchomego mężczyzny. – Nic tam w środku nie słyszę!...

Odpowiedział mu gniewny pomruk z wnętrza alkowy, a po chwili mężczyzna wstał z chrzęstem metalowej zbroi.

– Zgraja tępaków i idiotów! – usłyszała Katarzyna i zadrżała na dźwięk tego głosu.

Kapitan Błyskawica wyłonił się z ciemności, poprawiając skórzany, haftowany pendent. Miał odkrytą głowę, krótkie, czarne, splątane włosy i ogorzałą twarz wykrzywioną ze złości. Uniósłszy pięść, rzucił się na swych ludzi, żeby ich ukarać.

– Kapitanie! – powtórzył wówczas Cornisse, uprzednio odcharknąwszy dla dodania sobie animuszu. – Przyprowadziłem ci wyborną zwierzyne!

Podniesiona pięść opadła. Mężczyzna wzruszył ramionami pod zbroją i kopnął nieruchome ciało mężczyzny.

– Rzućcie to ścierwo do gnoju... jeśli jeszcze jest! – rozkazał, po czym chwyciwszy świecę ze stołu, ruszył w stronę stojącego nieruchomo przy drzwiach Cornisse'a i jego „zwierzyny”. – Wyborną zwierzyne, powiadasz? No to zobaczymy!

Uniósł świecę w górę. Katarzyna wyprostowała głowę. Jej fiołkowe, pełne oburzenia spojrzenie skrzyżowało się czarnymi oczami Błyskawicy... Świeca wypadła kapitanowi z dłoni i potoczyła się po podłodze...

Katarzyna osunęła się bez czucia na podłogę...

Rozdział trzynasty

PANICZYK

Urwanie chmury! Gniew niebios opadł na grzeszną ziemię długimi, ryczącymi nawałnicami, powalającymi drzewa, łamiącymi gałęzie i podmywającymi ziemię czerwoną od krwi.

Siedząc twarzą w twarz w stodole, do której ją zawlókł, kiedy oprzytomniała, Katarzyna i Arnold patrzyli na siebie jak przeciwnicy mierzący swe siły przed bitwą.

Oslupienie Arnolda ustąpiło miejsca bezmiernej wściekłości. Zrozumiał, że czarna postać, która stanęła nagle przed nim jak anioł kary, to nie zjawa powstała z popiołów i zgliszcz czy z przywidzeń demonicznej nocy.

To była istota z krwi i kości... jego żona... Katarzyna we własnej osobie...

Nigdy by nie przypuszczał, nawet podczas nie kończących się godzin bezsenego, nocnego czuwania, w czasie których jej obraz bezlitośnie przeganiał sen z jego powiek i nawiedzał marzenia, nigdy by nie przypuszczał, że mógłby znienawidzić ją do tego stopnia.

Pchnął ją brutalnie w kąt stodoły, tak jak odrzuca się nieznośny ciężar. Na klepisku leżało tam trochę słomy i widły, których ostre zęby skaleczyły ją.

– Ladacznico!... Wszetecznico niegodna!... A więc zostałam wygnana!... A może to ten parszywy pies nasyciwszy się, cisnął tobą stwierdziwszy, że połowa jego ludzi miała cię w łóżku?

Ze zwinnością kota wstała zaciskając zranioną dłoń, po czym czując się bardziej zraniona obelgami, zawrzała świętym oburzeniem.

– Kto mnie przegnał? O czym ty mówisz? To ja złapałam cię jak jakiegoś obwiesia na gorącym uczynku i przekonałam się, kim naprawdę jesteś. Odwracasz kota ogonem, napadasz na mnie i zasypujesz okropnymi obelgami! O jakież to wygodne!

Machinalnie zamykała swój żupan pourywanymi sznurówkami.

– Mówię o moich wasalach, o mieszkańcach Montsalvy, którzy nie mogą pewnie dłużej znieść, jak nurzasz się w rozpuście z Béraultem i jego dwoma synami, wyrzucili cię za mury miasta!

– Twoi wasale? O jakże bym chciała, by zobaczyli cię w tej chwili! Ty, ich pan... prawie ich Bóg! – splamiony krwią niewinnych, podpalacz, rabuś torturujący niewinnych, a na dodatek gwałciciel, który jeszcze dymi od zwierzęcej żądzы ledwie co zaspokojonej w łożu tej nieszczęsnicy, której imienia pewnie nigdy nie poznam! Och! Jakże byliby dumni z ciebie! Rzeźnika! Bo taki chyba jest nowy, zaszczytny tytuł pana de Montsalvy! Och! Byłabym zapomniała: kapitana Błyskawicy! Przybocznego Roberta de Sarrebrucka! Oto kim jesteś!

Rzucił się na nią z zaciśniętymi pięściami, lecz ona nie cofnęła się. Przeciwnie, wyprostowana gotowa była stawić mu czoło.

– Dalej! – rzuciła przez zaciśnięte zęby. – Uderz! Bądź tym, kim się stałeś aż do końca! Widzę, że człowiek, który pomógł ci uciec z Bastylji, który pozbawił cię honoru, widzę, że Gonnet d'Apchier dobrze spełnił swoją misję!

Ręka Arnolda zawisła w powietrzu.

– Skąd... wiesz o tym wszystkim?

– Wiem więcej, niż możesz przypuszczać! Wiem, że Bérault d'Apchier miał swoich donosicieli. Jednym z nich była koronczarka Azalia. Kazał jej dostarczyć sobie ukradkiem jedną z moich koszul, w której miała naprawić koronkę, i fragment listu, który sama napisała, podrabiając moje pismo... Wszystko po to, żeby ci udowodnić, że zachowałam się niegodnie, że wydałam Montsalvy na łup tych wściekłych psów! Lecz jeśli chcesz, żebym mu to wypluła prosto w twarz, temu wściekłemu bękartowi, idź po niego! Gdzie podział się Gonnet d'Apchier? Jak to się stało, że nie zobaczyłam go dziś wieczór podczas waszych orgii? Powinny mu przypaść do smaku!

– Gonnet nie żyje – przerwał Arnold ochryplym głosem. – Zabiłem go... kiedy podał mi to...

Machinalnie wyjął z kolczugi białą chustę, zmiętą i poplamioną krwią, oraz kawałek pergaminu, który cisnął żonie do stóp.

– Wyciągnął mnie z Bastylii. Uratował mi życie... a jednak zabiłem go. Przez ciebie... ponieważ ośmielił się powiedzieć mi... całą prawdę o tobie. Był wobec mnie uczciwy, braterski... a mimo to zabiłem go...

– Uczciwy? Braterski? To temu wściekłemu psu, Gonnetowi, zakładasz wieniec laurowy? Uczciwy? Człowiek, który nasycił cię wierutnymi kłamstwami? Braterski człowiek, który miał przy sobie truciznę przygotowaną przez czarownicę Ratapennadę, aby pozbawić cię życia? Czy postradałeś zmysły, Arnoldzie de Montsalvy?

Arnold wybuchnął na nowo, lecz teraz niepewność, wątpliwości wślizgnęły się w grona jego gniewu.

– Dlaczego uważasz się za kogoś lepszego niż on? Czy mogę mieć pewność, że mówisz prawdę? Oskarżasz, by się bronić, zwłaszcza teraz, kiedy byłem na tyle głupi, że powiedziałem ci o śmierci Gonnet'a!

– A więc nie wierzysz mi! A czy nie uwierzysz także słowom przeora Bernarda? Przeczytaj to!

Katarzyna wyciągnęła z sakiewki list, który dotarł do niej w Tours. Gruba, solidna skóra ochroniła go od deszczu i nawet nie był zawilgocony. Jednym zdecydowanym ruchem podetknęła go pod nos mężowi.

– Podejrzewam, że znasz to pismo! Czy sądzisz, że przeor Bernard de Calmont d'Olt nazwałby swoją najukochańszą córką w Jezusie Chrystusie wszetecznicę wypędzoną z domu przez swoich poddanych?

Rzucił jej spojrzenie, w którym teraz niepewność zabarwiona była niepokojem, po czym podszedłszy do świecy, którą położył na belce, zabrał się do czytania półgłosem, zatrzymując się przy niektórych słowach, jakby chciał zgłębić ich znaczenie.

Katarzyna wstrzymując oddech patrzyła na niego z rozpaczą. Wydawało się jej, że rysy jego twarzy wyostrzyły się i zostały naznaczone piętnem okrucieństwa, którego dotąd nie знаła, a które podkreślało słabe światło świecy. Do tego broda nie golona od czterech czy pięciu dni, zmierzwiona, brudna czupryna i podkrążone oczy... Minęło sześć miesięcy, od kiedy opuścił Montsalvy... a mężczyzna, którego kochała najbardziej na świecie, stał się obcym człowiekiem! Jej smutek był tak ciężki, że nie mogła powstrzymać łez.

Tymczasem Arnold skończył czytać. Obojętnie spojrzał na list, który

upadł mu do nóg. Powoli zdjął naramienniki i żelazną kolczugę, uwalniając szyję, jakby się dusił. Wyrwawszy siekierę zatknietą w pniaku, cisnął ją precz, po czym usiadł nad nim i oparłszy łokcie na kolanach chwycił głowę rękami.

– Nie rozumiem... Nie potrafię pojąć... Chyba zwariuję...

– Pozwól, żebym ci wyjaśniła – wyszeptwała Katarzyna po chwili ciszy.

– Wyjaśniaj – odparł niechętnie, a w jego głosie zabrzmiała uraza podsycana wrażeniem popełnienia straszliwej omyłki.

– Najpierw pytanie: dlaczego po ucieczce z Bastylii nie ruszyłeś prosto do Montsalvy?

– To przecież proste. Zbiegły więzień nie wraca od razu do domu!

– Mogłeś przynajmniej wrócić w nasze strony. Wiesz, że nie brakuje tam kryjówek i fortec, w których przyjęto by cię z otwartymi ramionami.

– Wiem! – krzyknął z gniewem. – Ale ten przeklęty bękart Gonnet powiedział mi, że jestem skazany na śmierć i że egzekucja odbędzie się wieczorem. Chciałem uciec do Owernii, lecz on powiedział, że król już wysłał swoje oddziały, by zajęły moje miasto i moje dobra. A kiedy powiadomił mnie o tym, o czym już wiesz, straciłem na wszystko ochotę... musiałem wyładować swoją wściekłość na wszystkim, co mi wpadło pod rękę. Wtedy dołączyłem do Roberta. Znałem go od dawna. On też uciekł z więzienia. Był tak jak ja: zbiegłym więźniem, człowiekiem wyjętym spod prawa... lecz on miał siłę i liczny oddział. Nie zawiodłem się: Paniczyk przyjął mnie z otwartymi rękami.

– I zrobił z ciebie bandytę! Wybacz, że nie jestem mu za to wdzięczna! A teraz wszystko ci opowiem.

Przykucnąwszy na ziemi nie opodal Arnolda, zaczęła mówić. Słuchał nie przerywając. Na koniec wyjęła z sakiewki glejt.

– Masz! Dostałam go od królowej Yolandy. Możesz wrócić do Montsalvy! Król, królowe i delfin udadzą się wkrótce na Południe, by uregulować sukcesję hrabiego de Fok i... – Zawahała się nieznacznie, po czym zdecydowanie i dobitnie skończyła: – ...i żeby ukrócić wybryki Rzeźników!

– Czy jestem przerażający? – spytał niepewnie.

– Tak, przerażasz mnie! Nie mogę wprost uwierzyć, że to naprawdę ty!

– A kto inny, jak nie ja? – wybuchnął znowu. – Ja wojuję, a wojna to wojna! Nie robię nic innego jak tylko to, co robiłem od dawna i co robią wszyscy, których kochasz: la Hire, Xaintrailles... i wielu innych!

– Oni walczą przecie z Anglikami!

– Ja również! Księżę Filip zostawia ich w spokoju, lecz pan de Rais ruszył do oblężenia Montigny-le-Roy.

– Pan de Rais? Brat Gilles'a?

– Owszem, brat tego potwora. Lecz on jest dzielnym rycerzem. Co do mnie, ja walczę z Burgundią... gdyż to najgorszy nasz wróg!

– Wróg? Czyj wróg?

– Króla... i Francji! Czy podobał ci się traktat z Arras, ten poniżający strzęp papieru, który zmusił króla do przeproszenia księcia Filipa? Nikt z nas go nie zaakceptował i nigdy nie zaakceptuje! Nie chcemy pokoju za taką cenę! A tutaj jest Burgundia!

– Burgundia? Z pewnością, lecz nie widziałam ani murów, ani zbrojnych rycerzy, ani machin oblężniczych! Widziałam tylko pomordowanych starców, kobiety i dzieci, bezbronnych wziętych na tortury, żeby powiedzieli, gdzie mają

schowane pieniądze!

– Nieprzyjaciel jest wszędzie! Zabijając tych, którzy karmią armię, niszczymy ją równie dobrze, jakbyśmy atakowali ją siekierami.

Na nowo zawrzała kłótnia, podsycana własnymi przekonaniem dwóch stron. W obliczu tego pana feudalnego, pogardzającego wszelkimi ludzkimi istotami, Katarzyna poczuła solidarność z uciskany, torturowany ludem, czuła się jedną z nich, nie mniej maltretowaną.

– Kto cię tak odmienił, Arnoldzie? Zawsze byłeś twardy, lecz nigdy tak okrutny! Przypomnij sobie, kim zawsze byłeś... kim byliście wy, rycerze, kiedyście podążali za Dziewicą Orleańską!

– Za Joanną? Ależ ja jej ciągle służę, a nawet lepiej niż kiedykolwiek, ponieważ widziałem ją... i dała mi swoje błogosławieństwo!

Katarzyna otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

– Co ty mówisz? Widziałeś Joannę?

– Tak! Piękną, radosną i silniejszą niż dawniej! Widziałem ją, kiedym przyłączył się do Roberta w Neufchâteau. Jechała w towarzystwie dwóch rycerzy i wszyscy panowie z okolicy zbiegli się, by ją ujrzeć!

– Ty chyba oszalałeś! Joanna żywa!

– Powtarzam: widziałem ją żywą!

– Czyżby? A na stosie w Rouen nie widziałeś jej nieruchomego ciała ogarniętego płomieniami?

– To nie była Joanna! To była inna dziewczyna! Joannie ułatwiono ucieczkę. Bracia Joanny również ją rozpoznali.

– Nie wierzę w to podobieństwo!

– Kiedy ją zobaczysz, zmienisz zdanie! Ale, w rzeczy samej... – Arnold spojrział na żonę, a w jego spojrzeniu błysnęła pewna myśl; jego głos stał się niepokojąco słodki. – A czy mogłabyś mi wyjawić, gdzie się teraz udajesz?

– Już raz ci mówiłam: do umierającej matki!

– Czyli do Dijon?

– Ależ nie! Nie ma jej tam! Wuj wziął sobie kobietę łatwą i moja matka zmuszona była opuścić dom i skorzystać z gościnności Ermengardy. Jest w Châteauvillain.

– W Châteauvillain! A wiesz, że byłbym przysięgł!

Nie rozumiejąc, o co mu chodzi, patrzyła na niego z osłupieniem.

– Przysięgłbyś?...

Nagle rzucił się na nią i chwycił za gardło.

– Tak, przysięgłbym! I wiem teraz, że jesteś zwykłą nierządnicą! Najgorszą ze wszystkich! Domyślam się, kto na ciebie tam czeka! Tym razem nie uda ci się mnie zwieść! Nie nabierzesz mnie na swoje łyzy! Kiedy pomyślę, że już robiłem sobie wyrzuty, podczas gdy ty starałaś się uspić moją czujność, by rzucić się w ramiona kochanka!

– Jakiego kochanka? – zarzęziła na wpół uduszona.

– Jak to jakiego? Śmiesz jeszcze pytać! Przebóg! Ależ księcia Filipa, którego widziano, jak pięć dni temu na czele małego oddziału zajechał do tej flądry Ermengardy, niechaj piekło ją pochłonie! Co na to powiesz? Widzisz, że przede mną nic się nie ukryje!

Potrząsał nią, zaciskając ręce na jej białej szyi i byłby z pewnością udusił nieszczęsną, gdyby nagle z tyłu nie dobiegł cichy, drżący głos:

– To nieprawda, panie Arnoldzie... Księcia Filipa tutaj nie ma... a ty tymczasem udusisz swoją dobrą żonę...

Ręce Arnolda rozluźniły żelazny uścisk i Katarzyna osunęła się na rozmokłe klepisko. Odwrócił się i w drzwiach stodoły ujrzał grupę ludzi prowadzących związanego pazia i giermka Katarzyny, mokrych jak nieboskie stworzenia.

Nieśmiały głos należał do pazia, który odważył się stanąć w obronie swej pani pomimo strachu, jaki zawsze wzbudzał w nim pan de Montsalvy.

Arnold podparł się pod boki i przyjrzał się młodzieńcowi ze zdziwieniem, którego nawet nie starał się ukryć.

– Mały Roquemaurel! A co ty tu robisz, żółtodziobie? Paż dumnie wyprostował głowę i oświadczył:

– Kiedy wyjechałeś, panie, już byłem paziem pani Katarzyny. Jestem nim nadal i wszędzie za nią podążam, służąc najlepiej, jak umiem. Lecz czy aby ty, panie... jesteś nadal tym, którego ona kocha nad życie?

Pod jasnym spojrzeniem pazia Arnold zaczerwienił się i odwrócił twarz.

– Nie mieszaj się do nie swoich spraw! – burknął. – A ten tam – dodał wskazując na Waltera – kim jest?

Student wyduwając usta z pogardą i patrząc na kapitana wyzywająco rzucił:

– Walter de Chazay, giermek na usługach pani hrabiny de Montsalvy, niech Bóg uchroni ją od nieszczęścia i uwolni od tchórzy ośmielających się źle ją traktować!

Arnold niespodziewanie wymierzył Walterowi policzek, od którego student stracił równowagę.

– Powstrzymaj swój język, chłopcze, jeśli ci życie miłe! Jestem hrabia de Montsalvy i mam prawo łąć własną żonę!

– Ty, panie... jej mężem?...

Nie dowierzając spojrzął na pazia, który szlochał z rozpacz i niemocy widząc, że Katarzyna nie wstaje z ziemi.

– To niestety prawda! A teraz ją zabił!! Taką dobrą... taką piękną... Moją biedną panią – paż zalewał się rzewnymi łzami.

– Dosyć tego! – krzyknął Arnold i przyklękawszy obok żony przyglądał się jej z większym niepokojem, niżby wypadało. – Przynieście wody!

– Rozwiążcie mnie! – krzyknął Walter. – Ja ją ocucę!

Montsalvy ruchem dłoni kazał rozwiązać chłopców. Walter przykucnąwszy przy Katarzynie, obejrzał sińce na szyi i delikatnie sprawdził, czy nic nie zostało złamane. Następnie zanurzywszy dłoń w sakiewce Katarzyny, wyjął zeń mały, kryształowy flakonik i odkorkował go.

Arnold przyglądał się mu z zainteresowaniem.

– Doprawdy, dziwny z ciebie giermek! Jesteś medykiem?

– Byłem studentem, a medycyna interesowała mnie bardziej niż pozostałe nauki, co nie znaczy, że pasjonowała mnie... Nareszcie... wraca do siebie!

W istocie, Katarzyna otworzyła oczy.

– Moja matka jest umierająca... muszę do niej jechać – jęknęła. Arnold znowu zacisnął pięści.

– Nie! Nie pozwolę, byś spotkała się z księciem! Ermengarda wymyśliła chorobę matki, by wciągnąć cię w pułapkę!

Twarz Katarzyny wykrzywiła się z bólu. Oparłszy się na ramionach Waltera i pazia, próbowała wstać, wlepiając oczy w Arnolda.

– Cokolwiek powiesz... udam się do matki... Przypomnij sobie swoją... Nie mogąc dłużej znieść oskarżycielskiego, pełnego wyrzutów spojrzenia, Arnold de Montsalvy wybiegł ze stodoły.

Przez otwarte drzwi wpadł wiatr niosący krople deszczu i unoszący wirujące źdźbła słomy. Ale burza już przeszła i nad dogasającymi zgliszczami i dymiącymi dachami tego, co jeszcze niedawno było miasteczkiem, zapanowała cisza. Kiedy wstał szary świt i Katarzyna zwinięta w kłębek na wiązce siana otwarła oczy, ujrzała w kącie stodoły śpiących chłopców, przytulonych do siebie. Na policzku starszego widać było krwawy ślad od ciosu Arnolda. Spod dachu spływały krople wody...

Miała pragnienie i była głodna, lecz najdotkliwiej dokuczało jej uczucie całkowitego opuszczenia. Pomimo że Arnold znajdował się o dwa kroki stąd... oddzielała ich przepaść, przepaść tak głęboka, że z obawy, by nie dostać zawrotu głowy, nie śmiała w nią spojrzeć...

Z zewnątrz dochodziły odgłosy kroków i rzenie koni. Po chwili drzwi stodoły otworzyły się i do środka weszli Kulawiec i Cornisse. Obydwaj ze zgarbionymi, mokrymi od deszczu plecami.

– Widzę, że już nie śpicie! – rzucił pierwszy, podając Katarzynie dzban z wodą i kawałek chleba, podczas gdy jego towarzysz potrząsał chłopcami, mając w pogotowiu analogiczne racje żywnościowe.

– Masz! Wypij! Ale chleb schowaj do kieszeni i chodź za mną. Zjesz go po drodze! – rzekł Kulawiec do Katarzyny.

Wzięła chleb, wypła duży haust wody, która była zimna i miała przyjemny smak. Po czym, rzuciwszy spojrzenie na swoich młodych, ślaniających się na nogach towarzyszy o zapuchniętych oczach, rzekła do Rzeźnika:

– Dokąd pójdziemy? Gdzie jest kapitan?...

– Czeka na zewnątrz! Pośpiesz się, gdyż nie ma w zwyczaju czekać!

– Wiem! Lecz nie odpowiedzieliście mi: dokąd idziemy?

– Wracamy! Too... znaczy... chciałem powiedzieć: wracamy do Châteauvillain! Paniczyk czeka na nas!

Podszedł do nich paż, gryząc chleb z nadzieją w oku.

– Do Châteauvillain? Czy pan kapitan zgadza się, byśmy i my tam się udali?

– Oczywiście! Nie ma wyboru! – odparła Katarzyna z pogardą i zarzuciwszy płaszcz na ramiona, dodała: – Jestem gotowa!

Wyszli ze stodoły. Na zewnątrz nieruchomo czekali Rzeźnicy z Arnoldem na czele. Kiedy Katarzyna zrównała się z nim, wymienili spojrzenia, lecz ani jednego słowa. Arnold był blady i miał podkrążone oczy... był ogolony. Najprawdopodobniej uczynił ablucje za pomocą tego, co miał pod ręką, gdyż na jego policzkach widać było świeże zadraśnięcia.

Ruszono na północny zachód. Okolica zdawała się wymarła. Rzeźnicy, nasyceni wczorajszą rzezią, wlekli się noga za nogą. Katarzyna patrzyła prosto przed siebie, nie odwracając się do Arnolda. Był tak blisko, lecz ona czuła, że dzieli ich przepaść groźniejsza niż mury Bastylli. Straszliwa noc pozwoliła jej zrozumieć, że wcale go nie znała albo że źle znała świat ludzi wojny. Pomimo

licznych przejść, nie miała pojęcia o wielu sprawach dotyczących kapitanów, wspaniałych i walecznych na polach bitew, którzy od samego dzieciństwa przesuwali się przed jej zachwyconymi oczami jak kolorowy fresk. Teraz wiedziała, że byli zdolni do najlepszego, jak i najgorszego, że rzadko stawali się obrońcami matki i sieroty, a lud traktowali jak ongiś w Rzymie patrycjusze niewolników.

Około południa z mgły unoszącej się nad rzeką wyłoniły się wieże Châteauvillain i oddzielone przełomem rzeki Aujon miasto.

Katarzyna rozpoznała szare mury, hurdyce z czarnego drewna i stożkowate dachy, pokryte niebieską dachówką, błyszczącą od deszczu. Wszystko wyglądało tak jak dawniej, a na szczycie wieży wisiała ciężka od wody czerwona chorągiew rodu Châteauvillain. Lecz to było jedynie złudzenie, gdyż w pobliżu małego, rzymskiego mostu wyrósł obóz z wyblakłymi namiotami i ogniskami, podobny jak dwie krople brudnej wody do tego, który banda Apchiera założyła przed Montsalvy, z wyjątkiem chorągwi.

Ta przedstawiała srebrnego lwa ze złotą koroną, czołgającego się na lazurowym polu pośród złożonych krzyżyków: herb rodu Sarrebruck, który Katarzyna powitała pogardliwym uśmiechem.

Miasto na pierwszy rzut oka nie ucierpiało od Rzeźników. Wszystkie domy stały nietknięte, lecz wkrótce okazało się, że mieszkańcy zeń uciekli.

Widząc nadciągający oddział, ludzie Sarrebrucka ożywili się na myśl o spodziewanych łupach. Ludzie Paniczyka nadbiegli, bełkocząc powitania, w których przekleństwa mieszały się ze sprośnościami. Przybyli odpowiadali na nie z ochotą.

Kapitan jakby nie zauważył, że dotarto na miejsce. Posuwał się powoli do przodu, nieczuły na ożywienie spowodowane jego powrotem. Tylko nieliczni jeźdźcy, naśladując zachowanie dowódcy, dotrzymywali mu kroku, otaczając ściśle, jakby w obawie przed ucieczką, wierzchowce Katarzyny, Waltera i Bérengera.

Kiedy dotarto do mostu, którego omszałe przesło obejmowało wartki nurt rzeki, a w górze ukazał się zamek, Arnold podjechał do Katarzyny. Zdawał się jeszcze bledszy niż przed wyjazdem, a jego szara twarz w cieniu hełmu wyglądała jak twarz ducha. Żelazną rękawicą wskazał na milczący zamek.

– Oto ceł twej podróży – powiedział bezbarwnym głosem. – Czekają tam na ciebie! I tutaj się rozstaniemy!

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytała głucho.

– Że nadeszła dla ciebie godzina wyboru...

– Wyboru?...

– Tak: między przeszłością a twoim obecnym życiem. Albo nie udasz się do zamku, albo zrezygnujesz ze swego miejsca przy mnie... na zawsze!

– Oszalałeś zgoła, Arnoldzie! Nie możesz tego ode mnie żądać! Nie masz do tego prawa!

– Mam wszelkie prawa! Póki co, jesteś nadal moją żoną!

– Lecz nie masz prawa zabronić mi zobaczyć się z umierającą matką!

– Oczywiście! Lecz ja wiem, że nie o matkę tu chodzi! To nie ona na ciebie czeka, lecz twój kochanek!

– To kłamstwo! Przysięgam ci, że to kłamstwo! Jak mam cię przekonać?... Pozwól mi tam wejść, ucałować ją ostatni raz... A potem,

przysięgam na nasze dzieci, że wyjdę!

Po raz pierwszy spojrział na nią i Katarzynę uderzył wyraz jego zimnych, przeraźliwie pustych oczu.

– Być może twoje słowa są szczerze. Lecz ja wiem, że jeśli wejdiesz tam, to już nie wyjdiesz. Zbyt wiele trudu sobie zadano, żeby cię tu sprowadzić. Nie wypuszczą cię.

– Więc chodź ze mną! Przecież umierająca jest także twoją matką, nawet jeśli nie jesteś z tego dumny. Kiedyś byłeś dla niej dobry... Ona... będzie podwójnie szczęśliwa, widząc nas razem.

Na samą myśl jej oczy zabłyśły nadzieją, a na policzki wystąpiły rumieńce. Ale Arnold roześmiał się i był to najbardziej twardy, najbardziej demoniczny i najbardziej tragiczny śmiech, jaki przyszło jej słyszeć.

– Ależ, Katarzyno, pomyśl tylko! Gdzie się podziała twoja inteligencja? Jak mogę wejść z tobą do zamku, który oblegamy od trzech miesięcy? Ty chyba kpisz ze mnie! Nie wyszedłbym z niego żywy. Dla Filipa byłaby to jedyna w życiu okazja: dostać żonę pozbywając się męża!

– Postradałeś chyba zmysły, Arnoldzie! – jęknęła. – Przysięgam, że postradałeś zmysły! Księcia Filipa tu nie ma! Jestem tego pewna!...

– A jednak jest tutaj! – wtrącił łagodnym głosem rycerz, który podjechał do Arnolda.

Katarzyna po wyglądzie poznała Paniczyka z Commercy. Siedział na wielkim ogierze, bez hełmu, ukazując piękną, delikatną głowę otoczoną równie pięknymi, złocistymi lokami jak jej własne. Miał wielkie, niebieskie oczy otoczone frankami nieprawdopodobnych rzęs, piękne usta i białe zęby, zabójczy uśmiech kontrastujący z twardym spojrzeniem, w którym czaiło się wyrachowanie. Cała jego elegancka postać wydzielala zapach piżma, kontrastując z surowym, wojennym ekwipunkiem pana de Montsalvy, który przy pięknym Robercie wydawał się jeszcze bardziej surowy, istny żołdak zalatujący smarem broni i odchodami końskimi.

Jednak z nich dwóch to młodzieniec o prawie kobiecej urodzie był bardziej groźny i niebezpieczny. Przeżuwając niedbale goździki, jak to miał w zwyczaju, by mieć świeży oddech, Paniczyk wskazał końcem pozłacanego, drewnianego pręta na Katarzynę:

– Zachwycająca!... Po prawdzie, brudna jak święta ziemia, lecz zachwycająca!... Kim jest?...

– To moja żona! – odparł Arnold gwałtownie, co z trudem można by uznać za właściwą prezentację.

Robert wytrzeszczył szeroko oczy.

– No, no! Co za miłe spotkanie! Ale co taka piękna i szlachetna pani robi w tej zabitej dziurze?

Pomimo czaru i elegancji, Paniczyk nie wzbudził sympatii Katarzyny. Przeciwnie, odczuwała obrzydzenie zmieszane z urazą. Bowiem gdyby nie on, Arnold szukałby pewnie schronienia w Montsalvy, a ona nie byłaby narażona na wszystkie nieprzyjemności, jakie ją z tego powodu spotkały.

– Moja umierająca matka jest w tym zamku, który ty, panie, oblegasz wbrew wszelkiemu prawu!

– Oblegam? A skąd to przyszło do tej ślicznej główki, że go oblegam? Czy widzisz tu jakieś maszyny wojenne, inżynierów przy pracy, drabiny,

wycelowaną broń? Ja nawet nie mam hełmu. Nie, my tylko przebywamy nad tą czarującą rzeką... i czekamy...

– Na co?

– Żeby ksiązę Filip zdecydował się wyjść, po prostu, gdyż ksiązę jest tutaj, jestem tego pewny!

Katarzyna wzruszyła ramionami i wydeła pogardliwie usta.

– Pan śni na jawie, panie hrabio! Zakładając jednak, że się nie mylisz, w co ja szczerze wątpię, nie sądzisz chyba, iż ksiązę, stwierdziwszy, że tu jesteś, czeka na ciebie. W zamku, jak w większości jemu podobnych, jest przejście podziemne i w tej chwili ksiązę z pewnością jest już daleko.

– W zamku są nawet dwa podziemne przejścia – odparł niewzruszenie Paniczyk. – Na szczęście wiemy, gdzie wychodzą, i strzeżemy wyjść w dzień i w nocy.

– A skąd ty, panie, tak dobrze je znasz?

Paniczyk uśmiechnął się, głaszcząc końską grzywę. Jego głos stał się jeszcze bardziej słodki, jeśli to w ogóle możliwe.

– Widocznie nie wiesz, pani, jak skuteczne może być porządne ognisko lub odrobina ołowiu, by zmusić do gadania. Dzięki nim można uzyskać wszystkie niezbędne informacje.

Katarzyna zadrżała z oburzenia. Znowu ogień!... Obraz poprzedniej nocy był jeszcze zbyt żywy w jej pamięci. Zaciskając zęby, by nie rzucić w twarz temu pięknemu chłopcu swego wstrętu, który doprowadzał ją do mdłości, jakby hrabia był najobrzydliwszym wężem, powiodła wzrokiem po obu mężczyznach.

– Jesteście potworami! Jeśli chodzi o ciebie, panie hrabio, to mnie wcale nie dziwi, gdyż twoje godne pożałowania wyczyny są powszechnie znane, lecz mój mąż...

– Dosyć tego! – przerwał ostro Arnold, który do tej pory zdawał się nie interesować potyczką pomiędzy żoną a współnikiem. – Nie zaczynamy wszystkiego od nowa! Słyszałaś przecież: ksiązę jest tutaj! Jak brzmi twoja decyzja?

Milczała przez chwilę, szukając rozpaczliwie drogi do skamieniałego, zamkniętego serca Arnolda. Lecz on trwał w swym uporze, opanowany gorzką zazdrością i zasklepiony w niej bardziej hermetycznie niż w swojej zbroi.

Z bolesnym westchnieniem wyszeptwała:

– Błagam cię... Pozwól mi tam wejść... choć na dziesięć minut... Na zbawienie mej duszy i moich dzieci przysięgam, że nie zostanę tam dłużej! Proszę cię tylko dlatego, że chodzi o moją matkę. Potem zapomnę na zawsze o Burgundii i razem wrócimy do domu...

Lecz on odwrócił wzrok, starannie unikając spojrzenia mającego nad nim silną władzę.

– Nie wracam teraz do Montsalvy. Mam tu jeszcze wiele do zrobienia, potrzebują mnie. Dziewica Orleańska...

– Do diabła z tą czarownicą i twoim szaleństwem! – krzyknęła Katarzyna, którą na nowo ogarnęła złość. – Wszystko utracisz, pozycję, honor, może nawet życie i duszę, jeśli będziesz się uganiał za awanturnicą, która nie ujdzie katu! Błagam cię, bądź sobą! Masz glejt: idź do królowej!

– Najlepszym glejtem będzie dla mnie głowa Filipa Burgundzkiego! Co do ciebie...

Nie dokończył, gdyż cichy do tej pory zamek nagle się ożywił. W okamgnieniu mury wypełniły się łucznikami i kusznikami, a wielki zwodzony most opadł z hukiem.

Z głębin fortecy wyjechało około pięćdziesięciu jeźdźców z pochodniami w dłoniach.

– Do mnie! – krzyknął Paniczyk wyciągając swą długą szpadę, a Arnold sięgnąwszy po maczugę wiszącą u siodła, ruszył na wroga dając przykład swym żołnierzom.

Katarzyna i jej dwaj chłopcy zostali odepchnięci pod mur. Paź chwycił ją za rękę.

– Uciekajmy, pani Katarzyno, proszę, uciekajmy! Pan Arnold chyba oszalał i na pewno nie pozwoli ci wejść do zamku! Uciekajmy! Pomyśl o swoich dzieciach... potrzebują cię!

Katarzyna nie mogła jednak ruszyć się z miejsca, jej wzrok przykuwał widok rozgorzałej obok walki. Otoczony przez czterech napastników Arnold bił się jak lew. Potężny cios maczugi pozbawił go hełmu i bił się teraz z odkrytą głową, rozdając ciosy na lewo i prawo. Jego maczuga wirowała w powietrzu, kładąc na ziemię widma odziane w zbroję.

Paniczyk również poczynił sobie dzielnie. Od czasu do czasu rzucał niespokojne spojrzenie na swój obóz, który płonął od rzuconych przez ludzi z zamku pochodni. Nierówna z początku walka nabierała równowagi. Okrzyki Paniczyka sprowadziły na pomoc ludzi z obozu, których liczba wzrastała z minuty na minutę.

Pojąwszy, że szala zwycięstwa przechyla się w drugą stronę, rycerze z Châteauvillain wycofali się w zgodnym szyku w stronę zamku, unoszeni silnymi udami swych koni, osłaniani przed pościgiem przez łuczników czuwających na murach.

– Dosyć! – krzyknął Paniczyk! – Wycofujemy się! Trzeba ugasić pożar!

Lecz Arnold albo nie słyszał rozkazu, albo nie miał zamiaru na tym poprzestać, gdyż rzucił się w pogoń za uciekającymi, przebył most galopem, przyciągany widokiem wielkiej bramy, za którą ukryty był nieprzyjaciel.

W jego gorącej głowie zrodziła się myśl szalona i uparta: dotrzeć wszelkimi sposobami do znienawidzonego Burgundczyka. Jego nienawiść miała smak kwaśnego wina i mogła się nasycić jedynie krwią wroga lub własną.

– Wychodź! Filipie Burgundzki! – zawył. – Wyjdź, zdrajco, byśmy mogli skrzyżować szpady!...

Jego nienawiść nie znała granic. Dla niego obecność księcia za murami nie pozostawiała żadnych wątpliwości, gdyż wśród tych, którzy ich zaatakowali, większość nosiła na zbroi herb książęcy.

Katarzyna również rozpoznała herb księcia Filipa i ogarnęły ją wątpliwości. Czy było możliwe, by Ermengarda zastawiła na nią tak poniżającą pułapkę? Całe jej zaufanie do hrabiny, jej poczucia honoru, przemawiało przeciwko tej myśli, lecz z drugiej strony największym marzeniem hrabiny de Châteauvillain było zawsze wepchnąć Katarzynę w ramiona księcia, którego kochała jak własnego syna...

Opierając się swoim młodym towarzyszom, którzy namawiali ją do ucieczki, śledziła z niepokojem szaleńczy pęd Arnolda. Zobaczyła, jak jego koń, spięty zbyt mocno ostrogami, stanął dęba i o mało nie stoczył się po zboczu.

Słysząc było jego opętane rżenie i pokrzykiwania Arnolda, lecz nie można było rozróżnić słów.

– Oszalał! – usłyszała tuż obok głos Paniczyka, który nie przyszedł jeszcze do siebie po bitwie. – Zabijają go!

Katarzyna uczepliła się jego ramienia.

– Nie zostawiaj go, panie, samego! Poślij posiłki! Inaczej...

Jej słowa zakończyły się okrzykiem trwogi na widok rycerzy walących z kuszy do samotnego jeźdźca. Nagle Arnold zachwiał się i zwałił bezwładnie na ziemię. Koń także upadł, lecz po chwili podniósł się i rzucił do ucieczki w stronę obozu, wlokąc za sobą ciało Arnolda za nogę uwięzioną w strzemieniu.

– Zatrzymajcie konia! Zabije go! – krzyknęła bez tchu, chcąc rzucić się w jego stronę.

– Z pewnością nie żyje! – stwierdził zimno Paniczyk, powstrzymując ją. – Z góry mogą dalej strzelać.

Oszalała z gniewu, zaczęła walić go po piersi zaciśniętymi pięściami, lecz on nie uczynił nic, by jej w tym przeszkodzić.

– Tchórz! Jesteś zwykłym tchórzem!

– Ja pójdę! – usłyszała tuż obok zdecydowany głos, i już po chwili Walter de Chazey rzucił się w stronę mostu, do którego zbliżał się oszalały koń. Zwinnym ruchem skoczył ku zwierzęciu, chwycił je za uzdę i trzymał z całych sił. Koń zwolnił bieg. Wtedy rzuciło się na niego dwóch ludzi i unieruchomiło spienionego rumaka.

Rycerze na murach przestali strzelać i przyglądali się scenie z zainteresowaniem.

Walter wstał, wytarł spocone czoło i rzucił się do Arnolda, którego złamana noga zwisała bezwładnie pod dziwnym kątem. Widząc to, Katarzyna rzuciła się w ich stronę i upadła obok męża, walcząc z zawrotem głowy na widok, jaki ukazał się jej oczom. W ciele Arnolda tkwiły dwa pociski z kuszy. Jeden znajdował się pod prawą łopatką przebiwszy kolczugę. Drugi pod lewym policzkiem...

– Nie żyje! – jęknęła, nie śmiąc jednak dotknąć zakrwawionego ciała, skuliła się i ukryła twarz w dłoniach.

– Żyje! – odparł Walter – ale niewiele brakuje...

Zdjąwszy nałokietnik przytknął go do ust rannego. Błyszcząca stal pokryła się odrobiną pary. Młody człowiek przez moment przyglądał się nieruchomemu ciału ze sceptyczną miną, a następnie pokręcił głową.

– Przydałby się ksiądz...

– Niedaleko jest klasztor – wymamrotał Paniczyk. – Lecz zanim nam się uda wyciągnąć zeń jednego z tych strachliwych szczurów, Montsalvy wyzionie ducha! Wszystko, co możemy dlań zrobić, to zanieść go do kościoła: przynajmniej umrze na stopniach ołtarza... Hej, tam! Czterech ludzi i nosze!

„Umrze! Wyzionie ducha!” Słowa te jak ostrze noża przebiło ogrom cierpienia, które ogarnęło Katarzynę. Uniosła twarz przypominającą maskę bóleści i uczepliła się Waltera, który próbował ją podnieść.

– Nie chcę, żeby umierał! Nie chcę! To nie może się stać! Nie w gniewie i złości! Boże, nie możesz mi go zabrać! Uratuj go... inaczej serce mi pęknie...

Walter spoglądał na nią z niedowierzaniem. Nigdy jeszcze nie był świadkiem tak przeszywającej, nagiej rozpacz. Nie wiedział zbyt wiele o życiu

tych dwojga ludzi oprócz tego, że dogorywający na ziemi sprowadził na tę kobietę najgorsze nieszczęścia, a w tej chwili doświadczał ją jeszcze bardziej niż zwykle.

Jednak zdawało się, że nagle o wszystkim zapomniała: o obelgach, pogardzie, okrucieństwie i zdradzie. Była tu, klęczała przy nim wstrząsana bólem, gotowa w przyływie szaleństwa popełnić nawet świętokradztwo... A więc, czy to właśnie jest miłość, ta tortura, ten szal, ta gorączka?...

– Pani... czy kochasz go jeszcze po tym wszystkim... co ci wyrządził? Spojrzała na niego z roztargnieniem, jakby przemawiał w obcym języku.

– Czy go kocham?... Nie wiem... lecz wiem, że moje ciało przeszły strzały, że pali mnie ramię... że krwawi każda cząstka mego ciała... Wiem, że umieram...

Pobladła jak pergamin, a jej oddech stał się krótki, tak że młody człowiek przestraszył się, iż naprawdę umrze tu, w tym miejscu, u jego stóp, w chwili gdy ten, którego kochała nad życie, wyzionie ducha.

Tymczasem używając dwóch długich tarcz, rycerze sklecieli prowizoryczne nosze, na których ułożyli nieruchome ciało i ruszyli w drogę.

Krzyknawszy jak ranne zwierzę, zapomniawszy wstać, powlekła się na kolanach za nim.

– Arnoldzie!... Zaczekaj na mnie...

Walter, ogarnięty nagłym przyływem gniewu, chwycił ją pod pachy i siłą postawił na nogach, po czym pobiegł do Roberta de Sarrebrucka.

– Nie zanoście go do kościoła, panie! Każcie go umieścić w którymś z domów... gdzie można by go leczyć.

Paniczyk podniósł brwi.

– Leczyć go? Ty chyba majaczysz, przyjacielu. Jest umierający...

– Wiem, lecz chciałbym spróbować walczyć o jego życie aż do końca... dla niej.

– Po co? Jest nieprzytomny. Po co go jeszcze męczyć? Pozwólmy mu umrzeć w spokoju!

– Ale on nie zasłużył na to, by umrzeć w spokoju! – zawołał Walter. – Zasłużył na piekielne męki i zniesie je, jeśli jest choć jedna szansa oddania go tej nieszczęsnej kobiecie!

Paniczyk wzruszył ramionami, niemniej kazał zanieść Arnolda do domu, w którym on i Montsalvy mieli kwatery. Uczynił to niechętnie, a nawet był gotów odmówić, gdyż należał do tych ludzi, którzy nie widzą żadnego powodu opóźniania chwili śmierci. Leczyć tak poważnie rannego było czasem straconym, a nawet grzechem, obrazą niebios, które postanowiły, że nadszedł na niego czas. Lecz Katarzyna przemieniła się nagle w jego oczach w obraz Matki Boskiej Bolesnej i jej udręczona twarz wywarła na nim pewne wrażenie... Poza tym przyszła mu do głowy pewna myśl, nad którą chciał się zastanowić...

Kiedy dotarło do kwatery, założonej oczywiście w najładniejszym domu w okolicy należącym do ksiązęcego notariusza, Arnold oddychał jeszcze.

Żołnierze ułożyli go na kuchennym stole. Katarzyna szła za nimi jak we śnie, popychana obietnicą Waltera, że uczyni wszystko, co w jego mocy, by zachować rannego przy życiu; gotowa spełnić każde jego życzenie.

Przy pomocy Kulawca Walterowi udało się zdjąć z rannego wszystkie części zbroi. Katarzyna poszła po wodę do studni i postawiła ją na kominku w

dużym kotle, po czym z pięknego kufra, który ongiś stanowił dumę pani notariuszowej, wyciągnęła sztuki pościeli, którą podarła na szarpie, a następnie, zgodnie z poleceniem młodego medyka, udała się po wino i oliwę.

Tymczasem Walter delikatnie obmacywał głowę chorego, by sprawdzić, czy nie ma złamań kości.

– To niewiarygodne – rzekł po chwili. – Wszystkie kości w porządku. Musi mieć twardą czaszkę!

– Najtwardszą, jaką znam! – poparł go Kulawiec. – Sam widziałem, mój chłopcze, na własne oczy, jak rzucił się na dębowe drzwi i roztrzaskał je sobą bez najmniejszego zadrażnienia. To Owerniak! Jak ja!

Katarzyna spojrzała ze zdziwieniem na człowieka, który jeszcze wczoraj wzbudził w niej taki strach. Nie mogła sobie wyobrazić, że ci okropni żołdacy mogli urodzić się w chrześcijańskim kraju, że mieli jakieś swoje miejsce, dom rodzinny. Byli tak przerażający, iż wydawało się, że zostali wypluci prosto z piekieł, jak ten tutaj, ze swoją kretyńską facjatą, złamanym nosem i krwiożerczą szczęką.

– Jesteście z Owernii? – spytała mimo woli. – A z jakich stron?

– Z Saint-Flour! Ale dawno nie byłem w rodzinnych stronach. Miałem szesnaście lat, kiedym uciekł przed zemstą tego przeklętego psa, biskupa, który chciał mnie powiesić za to, że zabiłem rogacza na jego ziemiach.

Tymczasem Walter przemywał rany winem. Należało wyciągnąć pociski kuszy z ran. Ten tkwiący w ramieniu nie niepokoił Waltera, lecz drugi przerażał go, gdyż tkwił w kości policzkowej mocno jak w skale.

– Nie mogę go wyjąć – powiedział pod nosem.

– Spróbuj, Walterze, błagam...

Chłopiec przeżegnał się, i owinąwszy końcówkę pocisku kawałkiem materiału, pociągnął... Lecz pocisk ani drgnął. Ranny zajęczał.

– Potrzebne mi są obcęgi! Najdłuższe, jakie znajdziesz! – dodał zwracając się do Kulawca.

Kulawiec uwinął się szybko i po chwili wrócił z potrzebnym narzędziem, długim co najmniej na trzy stopy. Walter spojrzał na nie z zadowoleniem, wyczyścił je gorącą wodą i natarł oliwą, po czym wrócił do rannego.

– Pomóż mi! – rzucił do Kulawca. – Ułożymy go na podłodze przy kominku.

Rzeźnik bez słowa ruszył do pomocy. We dwóch podnieśli Arnolda i ułożyli go przy kominku, gdzie posadzka była ciepła. Wielkie, na wpół nagie ciało, które wyglądało, jakby cała krew z niego wypłynęła, podobne było do kamiennych posągów nagrobnych.

Walter pochylił się nad nim i tak przekreślił twarz chorego, by spoczywała na nie tkniętym policzku.

– Odwróć się, pani! – rzekł do Katarzyny. – To, co muszę zrobić, nie spodoba ci się.

– Wiem, że robisz to wszystko po to, by go uratować. Zapomnij, że tu jestem, i działaj!

Walter nie nalegał, lecz mocno chwyciwszy obcęgi, oparł stopę na szczęce Arnolda.

– Módl się, pani! – syknął. – Będę ciągnąć!

Katarzyna upadła bez czucia u stóp męża i wznosiła do nieba nie

kończące się błagania. Pozostali wstrzymali oddechy. Od wysiłku nabrzmiały studentowi żyły na skroniach.

– Ruszył się... – wysapał Walter.

Śmiertelny pocisk wyszedł za jeszcze jednym szarpnięciem, a wraz z nim popłynęła strużka krwi. Wszystkie piersi odetchnęły z ulgą. Walter uklęknął, by posłuchać pracy serca.

– Jest słabe, ale ciągle bije! – rzucił podnosząc uradowaną twarz.

– Zgrabny z ciebie chirurg, chłopcze – zauważył Paniczyk. – Od tej pory biorę cię do siebie na służbę.

– Jestem na usługach pani de Montsalvy!

Na twarzy pięknego Roberta pojawił się jeden z tych jego leniwych uśmiechów, dzięki którym wydawał się jeszcze groźniejszy, niż kiedy się złościł.

– Nie będziesz miał wyboru. A za chwilę twoja pani nie będzie cię potrzebować!

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nic ważnego! Kontynuuj! Będziesz przyżegać, jak sądzę?

– Nie. Ranny nie zniósłby przypalania. Uczyniłem wszystko, co się dało, lecz jego życie nadal wisi na włosku. Zrobię mu tylko opatrunek z wyciągu z dziurawca, który pani Katarzyna ma w swoich bagażach, następnie założę łubki na złamaną nogę... a potem pozostanie już tylko modlić się... Jeśli Bóg zechce, uratuje go...

Z brzmienia jego głosu Katarzyna rozumiała, że nie liczy zbyt wiele na pobłażliwość Boga wobec człowieka, który tak mocno go obraził, i że nie wierzy w wyzdrowienie Arnolda, pomimo wysiłku, jaki włożył w jego uratowanie.

Przeniesiono rannego na stół i student zabrał się do roboty. Katarzyna usiadła na ławie i delikatnie głaskała czarne włosy męża.

Od chwili kiedy został tak ciężko raniony, pamiętała tylko o jego miłości. Wszystko inne zapomniała, przebaczyła, nawet straszliwy obraz wczorajszego dnia, ponieważ wymykał się z jej rąk jak zbyt piękny sen, który po przebudzeniu na próżno chce się zatrzymać.

Jak wierzyć, że niebo nad Montsalvy będzie jeszcze kiedyś niebieskie, wiosna triumfująca, jeśli ich pan będzie już tylko cieniem, jego pusta zbroja będzie stać nieruchomo w rogu komnaty, a wielka szpada zawiśnie na ścianie...

Wzdychając ciężko, Walter zakończył swą pracę. Znad nieruchomego ciała, nad którym unosiła się przenikliwa woń aromatycznych oliwek walcząca z mdlącą wonią krwi, próbował uśmiechnąć się do Katarzyny, lecz na próżno. Widok tej szczupłej, tragicznej postaci, o oczach tworzących wielkie jeziora cienia, chwycił go za serce.

Wytarłszy odruchowo ręce w kawałek prześcieradła, odrzucił do tyłu ruderę, mokre od potu kosmyki opadające mu na oczy.

Był jednocześnie zadowolony ze swej pracy i wściekły z poczucia niemocy, gdyż chciałby posiadać całą wiedzę świata, żeby móc wyrwać Bogu tajemnicę życia i śmierci. Zrobił dla tego człowieka, którego znienawidził od pierwszego spojrzenia, wszystko, co potrafił, lecz cóż mógł uczynić dla tej zrozpaczonej kobiety, jaki lek mógłby usmierzyć jej niemy ból?

– Zanieście go do łóżka!

Po czym, zniżając głos, kazał posłać po księdza. Śledził przy tym wyraz twarzy swej pani, lecz ona nawet nie zadrżała. Jej ręka nadal gładziła czarne włosy męża.

Kiedy Kulawiec i dwóch innych Rzeźników podniosło rannego, by zanieść go do pokoju, wstała, by iść za nimi. Ale zatrzymał ją Paniczyk.

– Zostań, pani! Mamy z sobą do pomówienia.

Katarzyna powoli odwróciła wzrok w jego stronę. Patrzyły na nią lodowato zimne oczy tkwiące w nieruchomej, kamiennej twarzy.

– Arnold nie potrzebuje cię już, pani. Sprowadzi się do niego księdza, a ten chłopiec będzie przy nim czuwał. Tak czy siak, nie przetrzyma nocy.

– Dlatego muszę przy nim być!...

Paniczyk zagroził jej przejście. Próbowwała się wyrwać, lecz ludzie, którzy przyszli zobaczyć poczynania młodego medyka, otoczyli ją ciasnym murem, nie pozwalając na najmniejszy ruch. Zrozumiawszy, że na nic zda się sprzeciw, usiadła zrezygnowana i spytała:

– Czego ode mnie chcesz?

– Tylko przypomnieć, po co tu przybyłaś. Czy już nie spieszysz się do łóżka umierającej matki?

Nie odpowiedziała od razu, tylko zwilżyła tampon zimną wodą i przetarła płonąca twarz. Ten człowiek mówił prawdę: widok umierającego Arnolda kazał jej zapomnieć o biednej matce, lecz z zamiaru udania się do zamku zrezygnowała już wtedy, kiedy zobaczyła rycerzy księcia.

– Nie mogę tam iść – powiedziała wreszcie. – Arnold miał rację i ty, panie hrabio, także: możliwe, że księżę rzeczywiście jest w zamku. To wystarczający powód, bym musiała zrezygnować z oddania ostatniej usługi mej matce. Będę się za nią modlić w Montsalvy.

Wzruszył ramionami i Katarzynie wydało się, że przystaje na to. Oddalił się na chwilę, po czym wrócił z kawałkiem pergaminu, piórem i atramentem, i położył to wszystko na stole przed Katarzyną:

– Pisz! – rozkazał wygładzając papier spodem dłoni.

– Co mam pisać?

– Do swojej przyjaciółki, pani de Châteauvillain. Napiszesz, że przybyłaś do jej miasteczka i że jesteś zaskoczona przyjęciem, jakie ci zgotowano, kiedyś udawała się do zanku. Napisz też, że podróżujesz z giermkim i... swoim spowiednikiem... i że prosisz, by ci otworzono bramę.

– Mówiłam już, że nie chcę iść do zamku! Co to wszystko znaczy?... Jednak to, czego od niej chciał ten potwór, zrozumiała w mig: miał zamiar wprowadzić swoich ludzi do zamku... Zresztą wkrótce obleśnym uśmiechem potwierdził swój niecny zamiar.

– To znaczy, że jeśli diabeł podsuwa mi klucz do zamku, chyba byłbym głupcem, gdybym z tego nie skorzystał! Pisz, piękna pani!

– Nigdy!

Odepchnąwszy dłonią pergamin, wstała z takim impetem, że ława przewróciła się do tyłu, lecz Paniczyk chwycił tę dłoń i przygwoździł do blatu żelaznym uściskiem.

– Powiedziałem: pisz!

– A ja powiedziałam: nigdy! Podły łobuzie bez honoru! Czy sądzisz, że jestem ulepiona z takiej samej cuchnącej gliny co ty? Żądasz ode mnie, bym

wydała dom przyjaciółki, w którym dogorywa moja biedna matka? Udało ci się sprowadzić mego męża na swoją nędzną drogę, lecz on nigdy nie posłużyłby się tak podłym sposobem, by dosięgnąć wroga!

– To możliwe, a nawet pewne! Ten Montsalvy potrafił czasem mnie zadziwić swoimi subtelnościami! Lecz on nie ma już głosu w tej rozgrywce, więc zostaw go w spokoju i pisz!

– Nigdy nie zmusisz mnie do tego!

– Jesteś pewna?

– Najzupełniej!

– Doskonale!... Lecz ja ci powiadam, że zaraz zmienisz zdanie! Klasnął w dłonie i natychmiast człowiek pilnujący drzwi podbiegł do niego.

– Przeprowadź no mi pazia!

Po chwili dwóch żołdaków wprowadziło Bérengera do sali. Paź miał związane na plecach ręce. Był blady ze strachu i ze wszystkich sił zaciskał usta, żeby nie dostrzeżono, jak drżą. Katarzyna zrozumiała, że grozi im wielkie niebezpieczeństwo.

Paniczyk podszedł do ognia, chwycił długi, żelazny pręt i dorzuciwszy polan włożył doń narzędzie, po czym uśmiechnął się uprzejmie i rzekł:

– Otóż, moja pani, jeśli nie będziesz rozsądna, nadziejemy tego tu młodzieńca jak kapłona na rożen, uprzednio napacykowawszy go oliwą, by ładnie się przyrumienił!

Przerażonemu okrzykowi Katarzyny zawtórowało opętańcze wycie pazia, skręcającego się jak wąż w szponach Rzeźników.

– Nie zrobisz tego! Czy nie boisz się Boga?

– Bóg jest daleko, a zamek jest tuż tuż i wiedz, że nigdy nie mówię po próżnicy! Rozbierzcie chłopca i wysmarujcie go oliwą!

Jeden z Rzeźników ręką zatkał paziowi usta, podczas gdy oczy chłopca wychodziły z orbit.

Katarzyna nie mogąc znieść myśli o tym, co mogło nastąpić, chwyciła za pióro.

– Uwolnijcie go! Będę pisać!

Rozdział czternasty

SŁUGA BOŻY

Wkrótce posłaniec ruszył w drogę z listem do zamku. Katarzynie pozwolono udać się do rannego męża. W pokoju panował półmrok, jedynie przy łóżku chorego stała świeca, rzucająca skąpe światło.

Pierwszą rzeczą, jaką dostrzegła Katarzyna, był Walter klęczący na podłodze i zajęty cuceniem pazia, którego po rozwiązaniu strażnicy wrzucili do pokoju. Szczupła twarz chłopca była blada jak воск i z ledwością oddychał. Kiedy skrzypnęły drzwi, student odwrócił się.

– Podaj mi, pani, twoje krople wzmacniające! Nie mogę go ocucić. Co mu zrobiono?

Powiedziała mu, co zaszło, podając fiolkę z lekarstwem, które Walter chwycił z gniewem.

– Jeśli istnieje sprawiedliwość, Paniczyk powinien umrzeć w najcięższych torturach! Toż to potwór nie człowiek!

– Tak... poderznąłby gardło własnej matce, gdyby to mu było potrzebne – odparła kierując niespokojny wzrok na męża, potem na Waltera.

– Nie... nie umarł. Co prawda oddycha z trudem i znajduje się w stanie nieświadomości, który Grecy nazywają „koma”.

Tymczasem paż odzyskał świadomość, otworzył oczy i ujrawszy przyjaciela, rzucił się na jego pierś i zaczął łkać spazmatycznie.

Walter nie starał się go nawet uspokoić. Wiedział, że człowiek musi się wyplakać po strasznym napięciu. Oddał Katarzynie fiolkę, głaszcząc pazia po zmierzwionych włosach.

– Co zamierzasz, pani? – spytał, kiedy paż przestał szlochać.

Katarzyna nie zdążyła odpowiedzieć, gdyż w tej chwili drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł Paniczyk. Na jego anielskiej twarzy malował się diabelski uśmiech.

– Posłaniec wrócił z odpowiedzią! Jutro o brzasku udasz się do zamku! Twoi przyjaciele czekają na ciebie! Za chwilę każę wam przynieść coś do zjedzenia... Och, byłbym zapomniał...

Otworzył drzwi i na progu ukazała się czarna postać benedyktyna w kapturze zasłaniającym twarz i z rękami schowanymi w szerokich rękawach.

– To pustelnik z pobliskiego lasu. Zgodził się dopomóc naszemu przyjacielowi odejść na tamten świat. Zostawiam was samych!

Mnich zbliżył się i nie patrząc na nikogo podszedł do łoża. Był przerażający w swoim spuszczonej na twarz kapturze. Katarzyna przeżegnała się trwożliwie, cofając się w stronę okna, gdyż zdawało się jej, że to sama śmierć przyszła, by zabrać Arnolda.

– Przyniosłem wszystko co trzeba do udzielenia ostatnich sakramentów – powiedział pustelnik, zdejmując kaptur.

Jego twarz okazała się niezbyt piękna, lecz energiczna i pogodna, a perkaty nos zdradzał wesołość usposobienia. Sporą tonsurkę otaczał wianuszek rudych, skręconych we wszystkie strony włosów.

Kiedy zbliżył twarz do świecy pochylając się nad umierającym, Katarzyna krzyknęła z zaskoczenia. Nie wierzyła własnym oczom.

– Landry?... Ty tutaj?...

Mnich wyprostował się i spojrzał na nią bez zdziwienia, a w jego piwnych oczach błysnęła radość i nietknięta żywotność przyjaciela dzieciennych lat.

– Ależ tak, to ja, Katarzyno! Jak mogłaś tak długo kazać nam na siebie czekać?

– Nie rozumiem... Czy to znaczy, że czekaliście na mnie?

– Oczywiście! Hrabina de Châteaouvillain, która jest chodzącą dobrocią, podarowała nam, moim braciom i mnie, ich niegodnemu przewodnikowi, kawałek lasu, żebyśmy mogli założyć w nim naszą pustelnię. W zamian oddajemy mieszkańcom zamku wszelkie boże posługi. To ona powiedziała mi, że wezwała cię do siebie! No więc czekaliśmy na ciebie...

Mówiąc rozkładał na stojącym przy łożu kufrze krucyfiks, dwie małe świeczki, gałązkę bukszpanu oraz flakoniki z olejami świętymi i wodą święconą. Następnie poprosił, by podano mu pojemnik z wodą i czyste szmatki.

Katarzyna uklękła przy łożu i nie spuszczała wzroku z Landry'ego. To było niezwykle spotkać w tym miejscu Landry'ego Pigasse'a, chłopca z Pont-au-Change, którego ongiś zostawiła w opactwie Saint-Seine znajdującym się w tej okolicy.

– Co z moją matką?

– Nie mogła na ciebie czekać, Katarzyno! Tydzień temu zasnęła w Panu. Jednak bądź spokojna – dodał widząc w jej oczach łzy – nie cierpiała, lecz do końca rozprawiała o tobie i wnukach. Sądzę, że była szczęśliwa mogąc wreszcie dołączyć do swego męża, a twego ojca. Nie żałowała życia...

– Domyślałam się, że nigdy nie przyszła do siebie po jego śmierci – szepnęła Katarzyna. – Przez długi czas nie zdawałam sobie z tego sprawy, gdyż na własnych rodziców nie patrzy się jak na zwykłych ludzi... lecz sądzą, że bardzo się kochali...

Jej oczy zaszyły łzami. Nigdy nie wyobrażała sobie rodziców jako zakochanej pary. Nie potrzebowali wielu słów, by się zrozumieć. Ich miłość była cicha, spokojna i trwałaby długo, gdyby nie okropne wypadki.

Pochyliwszy głowę na piersi, zagłębiła się w modlitwie za matkę, której nie było już wśród żywych, i za męża, który wkrótce również miał udać się w ostatnią drogę... Ich miłość natomiast była utkana z kontrastów: dramatów i szczęścia, łagodności i gwałtowności, radości i cierpienia, lecz wiedziała, że kiedy Arnolda zabraknie, jej życie stanie się podobne do życia jej matki, do życia Izabeli de Montsalvy i do życia tych wszystkich kobiet opuszczonych przez ukochanego mężczyznę – będzie długim oczekiwaniem, powolnym umieraniem, długą drogą do wieczności...

Podczas gdy się modliła, Landry skończył przygotowania, założył jedwabną stułę na siermiężny habit i przyglądał się umierającemu.

– Kim jest ten człowiek? – spytał cichym głosem. Katarzyna zadrżała. Ujęła bezwładną, rozpaloną dłoń Arnolda.

– To... mój mąż... Hrabia de Montsalvy...

Czuła, że Landry nie rozumie, choć nie stawia pytań. Zanurzwszy gałązkę bukszpanu w święconej wodzie, pokropił pokój, co widząc zgromadzeni padli na kolana.

Pax huic domui! Adjutorinum nostrum in nomine Domini...

Rytuał ostatniego namaszczenia, uspokajający i prosty. Landry pochyliwszy się nad ciałem wziął nieco świętego olejku, namaścił oczy, uszy i usta rannego, także dłonie i stopy, a Walter i Bérenger zaintonowali litanię za umierających.

Kiedy przebrzmiało ostatnie „Amen”, Landry umył ręce i wytarł w ściereczkę podaną mu przez pazia, zdjął stulę i zgasił świece. Katarzyna otworzyła okno.

– A teraz opowiedz mi o wszystkim – wyszeptał Landry. – Słucham...

– Co chcesz wiedzieć?

– To, czego nie rozumiem. Skąd się tu wziął twój mąż, i to ciężko ranny. Czy napadli na was Rzeźnicy? Słyszałem o ich rannym dowódcy, niejakim Błyskawicy, jeśli się nie mylę...

– Tak... Musisz poznać prawdę...

W zwięzłych słowach opowiedziała, co się zdarzyło w Montsalvy, potem w Paryżu, Chinon i Tours. Resztę znał z opowieści Ermengardy. Najtrudniej było wyznaczyć, że Błyskawica to Arnold de Montsalvy, jej mąż. Na koniec jej oczy wypełniły się łzami.

– Kocham go, Landry, i już mu przebaczyłam, nawet jeśli teraz się go boję... ta miłość to całe moje życie...

Mnich pochylił się nad Arnoldem i przyglądał się mu zmarszczywszy brwi...

– Jest u progu śmierci... lecz... jeśli powróci?

– Co mówisz?

– To tylko hipoteza, mająca zmusić cię, byś zajrzała w głąb swego serca. Czy temu umierającemu, któremu przebaczasz w ostatniej jego godzinie, przebaczyłabyś również, gdyby pan Bóg zdecydował, że jeszcze go do siebie nie zabierze?

Katarzyna upadła na kolana, wznosząc ręce do mnicha, sługi bożego, którego modły miały dość mocy, by sprowadzić boskie miłosierdzie.

– Zgodziłabym się na wszystko... nawet na rozdzielanie, na ślepe posłuszeństwo... gdybym tylko wiedziała, że będzie żył!...

– Czy kochasz go do tego stopnia?

– Tylko jego jednego zawsze kochałam. Powiedz mi, czy jest choć isierka nadziei... Ty, który jesteś wysłannikiem Wszechmogącego!

– Jestem jedynie mnichem i nie czynię cudów. Co prawda, widziałem kiedyś w klasztorze Saint-Seine człowieka, który przeżył z podobnymi ranami. Uzdrowił go pewien mały mnich zajmujący się zielarstwem...

– Zabierzmy więc Arnolda do tego mnicha! To niedaleko stąd!

– Uspokój się, Katarzyno! Wiesz, że nie możemy wyjść z tego domu wcześniej niż jutro rano. Czy zapomniałaś, co cię jutro czeka?

Katarzyna otarła spocone czoło. Landry sprowadził ją brutalnie na ziemię, w chwili gdy w jej serce wstąpiła isierka nadziei... Nie miała wyboru, żadnej możliwości, by uratować Arnolda. Musiała czekać do jutra, wprowadzić do zamku podłych Rzeźników, zdradzić przyjaciół z konieczności. W przeciwnym razie los pazia był przesądzony...

Spojrzała błagalnie na Landry'ego, szukając w jego wzroku wsparcia.

– Nie uda im się przedostać do środka. Kiedy książę jest tu, strażnicy...

– Księcia tu nie ma – przerwał Landry. – Wysłał jedynie do zamku swój oddział pod wodzą pana de Vandenesse’a. Rzeźników zmyliło podobieństwo i książęcy herb na zbrojach rycerzy. Hrabina prosiła księcia o posiłki, obawiając się angielskich oddziałów.

Katarzyna westchnęła z ulgą, dowiadując się, że hrabina wcale nie zastawiła na nią pułapki.

– Trzeba natychmiast powiedzieć o tym Paniczykowi! Uwierzy ci, gdyż jesteś sługą bożym! – krzyknęła rzuciwszy się do drzwi.

Ale Landry zagroził jej drogę.

– Jesteś szalona! Zamek rodu Châteaouvillain jest jednym z głównych punktów obrony Burgundii: czy książę jest w środku czy też nie, to nie ma dla Paniczyka znaczenia! Zależy mu na zdobyciu zamku, do którego bez twojej pomocy nie zdołałby wejść! Jesteś zmuszona ułatwić mu zadanie i wprowadzić ich do środka... Co zaś będzie potem, łatwo zgadnąć...

– Co zatem mogę uczynić?

– Uciec!

– Myśleliśmy już o tym! – powiedział z goryczą w głosie Walter uznając, że czas włączyć się do rozmowy. – Ale jak? W sąsiednim pokoju jest pełno żołdaków, a w naszym znajduje się tylko to małe okienko, przez które nawet Bérenger się nie prześlizgnie. Na dole pełno strażników. A więc, pobożny ojcze, najpierw pomyśl, zanim co powiesz!

– Jeśli mówię, że trzeba uciekać, to trzeba, mądralo! I nawet wiem jak! Popatrz tylko...

Podszedł do małych drzwi w ścianie prowadzących do niedużego składziku.

– Ta dziura? – spytał pogardliwie Walter. – Przebadaliśmy ją niedawno. Same puste słoje, trochę konopi i kilka wrzecion...

– Żleście patrzyli! Przynieście mi świecę.

Landry wziął stołek, wcisnął się do składziku, wlaź na stołek zgiąwszy się wpół, by nie uderzyć głową o sufit.

– Popatrzcie – szepnął naciskając obiema dłońmi sufit – można go podnieść, usuwając dwie żelazne śruby. A oto i one!

– Właz! – ucieszył się paż. Dokąd prowadzi?

– Na strych! Właściciel domu, znany z tego, że ugania się za spódnicami, własnymi rękami wykonał ten właz, żeby móc potajemnie wychodzić na strych. Przez otwór służący do ładowania siana można wydostać się do sadu, a stamtąd nad rzekę...

– A potem... skąd weźmiemy konie?

– Musicie przepłynąć rzekę i wspiąć się na wzgórze zamkowe. W pobliżu barbakanu rosną gęste krzaki, tam przeczekacie do świtu, a kiedy most zostanie spuszczone, schronicie się w zamku. Tam będziecie bezpieczni.

W obliczu tej perspektywy chłopcom zaśniły oczy z radości, lecz Katarzyna milczała.

– Ja nie mogę iść z wami... Zostanę z nim aż do końca... Uciekajcie, chłopcy! Bérengerowi grozi śmiertelne niebezpieczeństwo, a kiedy go tu nie będzie, Paniczyk nie będzie mógł mnie szantażować!

– Pan Arnold przecież jeszcze żyje! – odparł Landry. – A poza tym, jak zareaguje Paniczyk, kiedy dowie się, że chłopcy uciekli? Weźmie cię na

tortury?... O, nie! Jest na to zbyt sprytny! To twojego męża będzie torturował zamiast pazia! Jego nadzieje na rozeń!

– Nie!... Nie ośmieli się!... Arnold jest jego towarzyszem broni!...

– O, słodka naiwności! Czy jeszcze niczego się nie nauczyłaś? W tym demonie nie ma ani krzty ludzkiego uczucia! Ale jeśli wolisz ryzykować...

Katarzyna czuła się znowu pokonana. Landry miał rację: powinna uciec wraz z chłopcami, zostawiając ukochanego i nie wiedząc, co się dalej z nim stanie.

– A kto mnie zapewni, czy nie zabiją go, jeśli uciekniemy? Nie mogę go zostawić samego, Landry... nie mogę zostawić bezbronno w rękach tych dzikusów!

– Nie będzie sam! Ja zostaję!

– Oszalałaś! Zmasakrują cię!

– Nie sądzę... Zanim wyruszyście, zwiążcie mnie w kij i zakneblujecie jak się patrzy. Pęta zrobimy z firanek. Walter ogłuszy mnie, aby wszystko wyglądało wiarygodnie. Reszta należy do mnie!

Walter i Bérenger bez zwłoki rzucili się odczepiać franki, podarli je na wąskie paski i skręcili jak konopie. W mgnieniu oka mnich został skrepowany, lecz Katarzyna patrzyła na te przygotowania zagubionym wzrokiem, nie mając siły przyłączyć się do nich...

Ująwszy dłoń męża przycisnęła ją do piersi. Dłoń była gorąca i pulsująca. Wiedziała, że za chwilę go zabraknie, a ona nie może przeciwstawić się nieubłaganemu losowi... że ta pieśczość będzie ostatnia... Moje kochanie... chciałabym odejść wraz z tobą... chciałabym, byś zabrał mnie z sobą do grobu... Ale nie mogę... muszę wracać do dzieci... muszę odejść... muszę zostawić cię samego...

Ukryła twarz w gorącej dłoni, pragnąc śmierci, chcąc już nigdy się nie podnieść.

– Pani Katarzyno! – usłyszała jak przez mgłę ochryply głos Waltera – musimy ruszać w drogę, jesteśmy gotowi.

Spojrzała na chłopców. W oczach mieli łzy, lecz postanowienie było twarde.

Solidnie związany Landry stał na nogach i mógł jeszcze mówić.

– Chciałem pożegnać się z tobą, Katarzyno, zanim zakneblują mi usta. Zaufaj mi i ruszaj bez trwogi. Wiesz, że kocham cię jak brat.

Katarzyna rzuciła się spętanemu przyjacielowi na szyję, ścisnęła go zapalczywie i ucałowała kilka razy.

– Uważaj na siebie, Landry... czuwaj nad nim... i módl się do Boga, by się nad nami zlitował!

– Szybciej! – krzyknął Landry nie chcąc okazać wzruszenia. – Nie traćmy czasu! Szybciej, załóżcie mi knebel!... I walnijcie mnie w łeb stołkiem! Tylko postarajcie się mnie nie zabić, chłopcy! Będę się za was modlił! Żegnaj, Katarzyno...

Chwilę potem mnich Landry Pigasse, zdzielony w głowę przez Waltera, leżał rozciągnięty na posadzce. Na jego ogolonej czaszce perliły się krople krwi.

– Uważałem, jak mogłem, żeby zanadto go nie nadwerężyć, ale wyrośnie mu potężny guz – stwierdził domorosły medyk. Na szczęście dycha normalnie! Uciekajmy!

Rzuciwszy ostatnie spojrzenie na twarz Arnolda, wydało się jej, że jego zakrwawiony profil zastygł na wieczność w złotym blasku świecy...

Odrywając siłą Katarzynę od nieruchomego ciała Arnolda, Walter powlókł ją w stronę schowka.

Długa noc dobiegała końca. Kiedy nad borami nareszcie wstał dzień wezwany pianiem nielicznych ochrypłych kogutów, a niebo, z którego nie zniknęły jeszcze wszystkie spóźnione gwiazdy, pojaśniało i stało się szare, potem zaś różowe... zakwitła zorza, zwycięska i zapowiadająca piękny dzień.

Trzech zbiegów zaszytych w krzakach ogarnęło zmęczenie, a ich zeszywniałe w mokrym odzieniu członki przeszywał ziąb. Przebycie rzeki wymagało dużego wysiłku z powodu silnego prądu, a pokonanie wzgórza pokrytego haszczami i skałami wyczerpało ich do reszty. Kiedy wreszcie dotarli do podnóża imponujących murów, rzucili się do kępy krzaków jak do spokojnej przystani. Wiedzieli, że są dobrze ukryci, a jednak czekali na spuszczenie mostu jak na zbawienie.

Miasteczko w dole wydawało się malutkie, nieważne, jednak pośród tych wszystkich dachów koloru ziemi Katarzyna widziała tylko jeden: ten, pod którym został jej najdroższy mąż.

Czy jeszcze oddychał... czy też śmierć, zwinnie wślizgująca się do ciał słabych i chorych o tej mrocznej jeszcze godzinie poranka, spełniła już swoją powinność?... Czy Landry odzyskał zmysły?... Czy już odkryto ucieczkę?...

Miasteczko było spokojne... nawet za spokojne. Na rynku kilku na wpół nagich żołdaków, przeciągając się ospale, zmierzało do studni, żeby przegnać opary nocy. Inni, uzbrojeni po zęby, szli zmienić strażników. Z komina domu notariusza wydobywało się wąskie pasmo dymu...

Katarzyna poczuła przy swoim policzku oddech pazia, który również patrzył na miasteczko ze łzami w oczach.

– Ty płaczesz, Bérenger? – spytała wzruszona.

Odwrócił w jej stronę smutną, zmęczoną twarz, której strach przywrócił dziecinny wygląd. Jednak wyraz jego oczu należał do mężczyzny. W ciągu kilku dni Bérenger zmężniał, choć miał nadal tylko czternaście lat.

– Pan Arnold – wyszeptał. – Czy jeszcze kiedyś go ujrzymy? Czy Bóg się nad nami zlituje?...

– A więc chciałbyś mu nadal służyć... po tym wszystkim, co zobaczyłeś?...

– Tak! Dla ciebie, pani!... Kochasz go tak bardzo... A jednak to przeze mnie zdecydowałaś się go opuścić... nie mając nawet pewności, czy będzie żył...

– To nie z twojego powodu, Bérenger! Paniczyk i tak znalazłby inny sposób, żeby mnie szantażować...

– Mówisz tak, pani, żeby mnie pocieszyć, lecz to ja jestem winny, gdyż pan Arnold jest moim panem, a ja go opuściłem. Jeśli umrze... wrócę do klasztoru i zostanę mnichem!

Żałość dziecięcia i jego potrzeba poświęcenia, a także pakt, który zamierzał zawrzeć z panem Bogiem, wzruszyły Katarzynę do głębi. Łagodnie odwróciła twarz i położyła usta na mokrym od łez policzku pazia.

– Nie pleć, Bérengerku! Nie jesteś stworzony do klasztoru...

Coś jednak chwyciło ją za serce. Landry także nie wydawał się stworzony do klasztoru, kiedy był w wieku pazia... Wezwanie niebios obiera czasem

przedziwne ścieżki.... Co prawda, Bérenger chciał jedynie spłacić coś, co uważał za swój dług: stać się zakonnikiem, by odpokutować za samotną śmierć swego pana...

Wzniosła oczy do nieba, czekając na jakiś znak. Było piękne, czyste, zwiastujące spokój i szczęście. To nie było niebo rozpacz, a w jego ciepłych, różowych odblaskach ogarniających przyrodę Katarzyna wyczytała rodzaj obietnicy...

Zdało jej się, że ponad przestrzenią dochodzi do niej pełen przekonania głos Sary, która pierwszego dnia oblężenia Montsalvy powiedziała:

– Pan Arnold wróci!!!

Niestety... Nie uściśliła wtedy... w jakiej postaci powróci, podkreśliła tylko, że Katarzyna jeszcze niejedno przez niego wycierpi...

Dzwony w zamkowej kaplicy uśpionego zamku rozdzwoniły się na jutrznię. Strażnicy odpowiedzieli sobie z wieży do wieży... gdzieś w oddali odezwał się róg wzywający ludzi do codziennego znoju.

Walter, zmęczony snem, przebudził się, przeciągnął się i ziewając spytał:

– Czy już czas?

Zamiast odpowiedzi Katarzyna wskazała na słońce, które wyłaniało się nad zielonym morzem koron drzew. W istocie, nadeszła pora! Po długim oczekiwaniu...

Jaką przyszłość zwiastowało to słońce dla pani de Montsalvy? Odnalezioną miłość w schronieniu męskiej piersi ukochanego mężczyzny... czy też smętny los kobiety w czerni, żyjącej w osamotnieniu w swoich włościach, o pół drogi od nieba, stanowiącego jej ostatnią nadzieję, i od ziemi, gdzie kochający lud, dumny, lecz uparty, nadal zapisywałby własną krwią i własnym znojem piękną historię krainy owerniackiej?

Wiedziała, że odpowiedź nie należy do niej, lecz tym razem nie próbowała przeciągnąć losu na swoją stronę nowymi błaganiami. Ich czas minął. Z prostotą i skromnością oddała się silniejszemu od siebie:

– Niech stanie się wola twoja, Panie...

Z samozaparciem odwróciła wzrok od domu notariusza, gdy tymczasem zwodzony most opadał z grzmiotem pioruna...